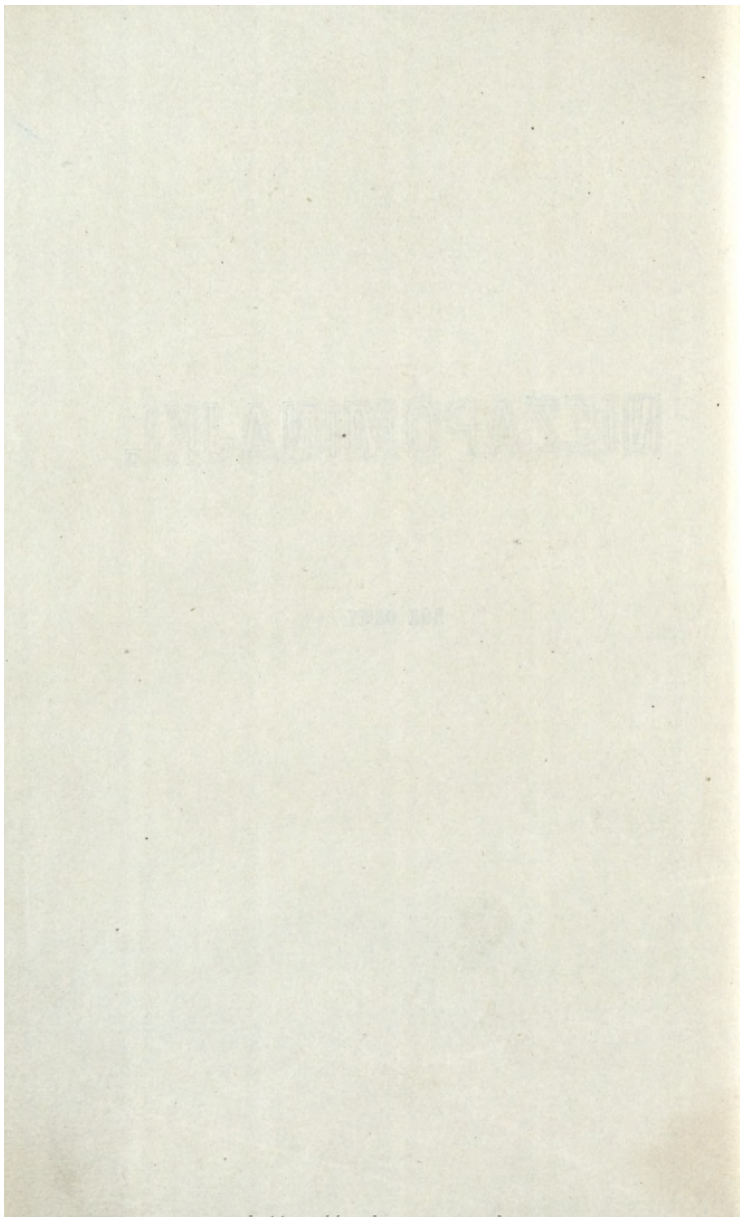
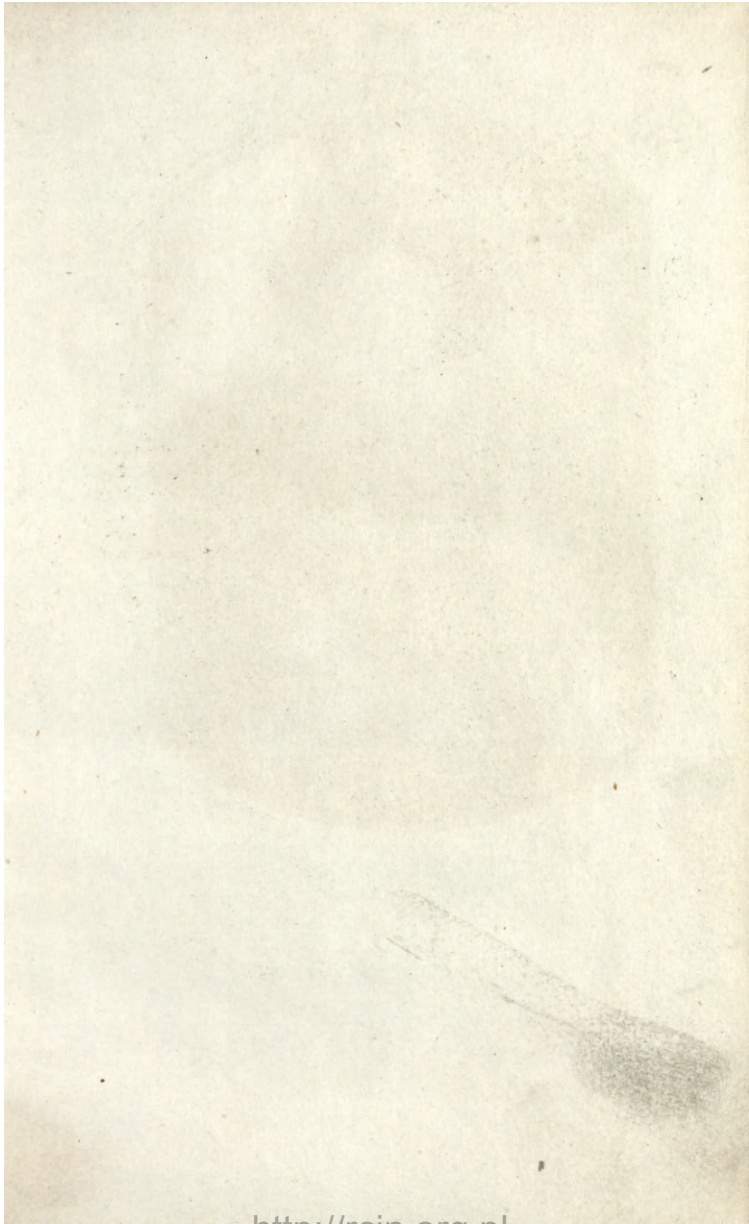


NIEZAPOMINAJKI.

ROK ÓSMY.







WŁADYSŁAW IV
Król polski.

NEZAPOMNAJKI

NOWOROCZNIK

NA ROK

1847

WYDANY

przez

KAROLA KORWELLA.

K. Korwella

Ozdobiony rycinami

Karola Mayhara

WARSZAWA,

W DRUKARNI KOMISSYI RZĄDOWEJ SPRAWIEDLIWOŚCI

NAKŁADEM WYDAWCY.



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby
Exemplarzy.

w Warszawie dnia 31 Października (12 Listopada) 1846.

CENZOR Wierabitoński.



~~P. T. 659~~
P. T. 659

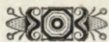
PORANEK.

Błysła już zorza — i szary skowronek,
Wzbiwszy się w górę, miłą piosnkę spiewa,
Zdała na jutrznię, wiernych woła dzwonek—
I rosa kwiatki na łące oblewa;
Nim jeszcze słońce wychyli swe czoło,
Wstańcie do pracy nuąc pieśń wesołą!

Bo kto poranka, niezaspał — szczęśliwy
Temu i lube błysną kłosem niwy
Rannego ptaszka kto posłucha spiewu,
Temu niezbraknie na później zasiewu,
Z Bogiem i pieśnią kto zacznie poranek
Ten później zbierze nadziei swych wianek!

Spieszmy się spieszmy, naśladujmy kmieci,
Zacznijmy pracę nim słońce zaświeci —
I w pocie czoła uprawiajmy skiby
Bo z plonem wracać miło do siedziby.
A gdy nas później i starość przywita
Słodko nam będzie, że ziemia zakwita.

J. 96.



POPAS W ALTA-WIEDA.

OPOWIADANIE STAREGO ŻOŁNIERZA.

— »**P**anie poruczniku, widzę światło!»

Ten wykrzyk sierżanta przewodniczącego orszakowi którym dowodziłem, zabrzmiał równie miło w mych uszach, jak żeglarzowi wyraz: „łąd” zwiastujący koniec długiej i pełnej niebezpieczeństw podróży.

Jakoż wyobraźcie sobie ówczesne położenie moje: wysłany od pułkownika do generała brygady z pilnym raportem, zbłądziłem w drodze, i to zbłądziłem nie w kraju równym, spokojnym i w dzień, lecz o ciemnej nocy wśród stromych skał, wśród gór pełnych

przepaści, i w okolicy która jakkolwiek po świeżych zwycięztwach Sucheta i Sulta, oczyszczona była od nieprzyjaciół, pozostało ich przecież tyle, że łatwo zbłąkanego dziesięciu tylko ludzi pod swém dowództwem liczącego, mogliby do niewoli zagarnąć, lub zdradziecko życia pozbawić.

Błądziliśmy zaś już od trzech godzin, konie znużyły się, my sami koniecznie pragnęliśmy wytchu, nadto, drzeliśmy z zimna, chociaż bowiem znajdowaliśmy się w Hiszpanii, w kraju pomarańczy, aloesów i mirtów, w kraju spieki, dziecięciu słońca, jak opiewają stare arabskie piosenki; zimno było dokuczliwe, błąkaliśmy się bowiem w północnej stronie Asturyi, w kraju o kilkaset stóp nad powierzchnią morza wzniesionym, wśród skał i na początku stycznia, a ten miesiąc za najzimniejszy jak u nas tak i w Hiszpanii słusznie uchodzi.

Otóż wykrzyk sierżanta, jak to już wspomniałem, uradował nas wielce, radość zaś powiększoną była gdy wysunąwszy konia naprzód spojrziałem przed siebie, światło było ledwo o trzy staja odległe i wychodziło z okien domu jakiegoś obszernego, piętrowego.

Sierżant znał nieco okolice, przebiegał po niej wzdłuż i w szerz z szablą w ręku od lat dwóch, — mówił:

— Jeśli się nie mylę, to Pueblo Alta-Wieda, o pięć godzin przynajmniej nadłożyliśmy drogi.

— Jakto o pięć? do Ogunia (miasta gdzie stał kwartera jenerał) od nas dwie mile tylko.

— To prawda, lecz my zamiast pójść w prawo, poszliśmy w lewo, a że nieszczędziliśmy koni, Bóg wie gdzie nas one zaniosły; czy tam wstąpiemy panie poruczniku?..

— Ma się rozumieć, choćby też dla wzięcia przewodników.

— O już teraz sam trafię, ni na cal drogi nie zmylę, jestem jak w domu; pojedziemy naprzód tą drogą na prawo, potem weźniemy się na lewo, będą tam ruiny starego zamczyska, w którym przed rokiem wycięliśmy parę setków Gerylassów, od ruin na prawo znajdziemy las; biliśmy się w nim temu ośm miesięcy, nasz kapitan zginął: od lasa już prosto do Ogunia, trzeba tylko trzy wąwozy, kilka gór i dwa potoki przejechać, to bięda że niewiem czy znajdziemy mosty, jeden z nich spaliliśmy przed półrokiem, a te przeklęte rzeki hiszpańskie, choć mróz, nie zamarną nigdy jak się należy.

Opis drogi wzmiankowanej przez sierżanta, wcale zajmującym nie był, nadto, mógłżem mu ufać? na honor i swe lata służby w błąkanii poprzednim za klinał się, że zna drogę, każdą górę i skałę, a jednak poprowadził w stronę całkiem przeciwną celowi podróży; trzeba też było samemu odpocząć, koniom wytchnąć, jakże niekorzystać z dobrej sposobności ogrzania się i wypoczynku? rzekłem więc: gdyśmy

z twojej winy, jak sam mówisz, pięć godzin stracili, mogę stracić i pięć kwadransów: dojedziem do Pueblo, odpoczniemy nieco, przewodników weźniemy i bezpieczniej już do Ogunia pojedziem.

Mój rozkaz nie był sierżantowi do serca, tém mniej jeszcze żołnierzom, kazałem im sformować się w dwójki i kłusem przebiegliśmy w kierunku światła.

Za kilka już minut stanęliśmy przed obszernym murywanym domem, był to wyraźnie dworzec właściciela, a przynajmniej zamożnego dzierżawcy wioski: z jednej strony otaczał go ogród, z drugiej dziedzińiec, po dwu stronach wznosiły się rzędem gospodarskie budowle, stajnie i składy.

W domu, szczególnież też na pierwszym piętrze, ruch był widoczny, powiększył się on na brzęk naszych szablic, szum rozmowy i tentent koni, zanim zdołaliśmy z nich z siąść, drzwi główne rozwarły się z łoskotem, wybiegło dwóch mężczyzn w czarnych płaszczach z pochodniami w ręku.

— Viva Hispanija! wykrzyknął z nich jeden, nie spodziewaliśmy się tak prędko waszego przybycia, na świętego Jakóba chyżo musieliście jechać.

Przybliżył się do mnie, dojrzał uniform, przestрах wybił na śniadych licach. Maladetto francesi! wykrzyknął, rzucił pochodnię o ziemię i uciekł do domu, jego towarzysz uczynił toż samo, drzwi zaś na rygle zamknęli za sobą.

— Cóż to znaczy, wyrzekłem zdziwiony, powitali nas z niezwykłą radością, a uciekli niby ujrzeni szatánów, czy zmysły postradali!

— Hm, odparł sierżant, spodziewali się oczewiście kogoś innego; potarł wása, — panie poruczniku, co robić?

— A cóż, przecież nocować pod bramą nie będziem, zapukaj, niech nam otworzą.

Sierżant pukał, nikt się nie odzywał, co więcej, światła jedne po drugich w oknach domu gasnąć poczęły, gwar ucichnął, to mnie niepokoiło i gniewało razem.

— Na szatana! wyrzekłem, a kiedy z dobrej woli nie chcą puścić, wejdźmy gwałtem, hej żołnierze! trzech lub czterech niech podważą bramę.

Wiarusów nie trzeba było zachęcać, nie trzech lecz sześciu poskoczyło z koni, do drzwi podbiegło, podważało je silnymi ramionami, że skrzypieć po swych zawiasach poczęły.

Małe okienko tuż przy drzwiach umieszczone, za brzękło w tej chwili, pokazała się w niém twarz śniada, ospowata, chuda i szpetna, twarz czysto gerylasowsko-hiszpańska.

— Per Dio immortale! co znaczy ten hałas, czego żądacie panowie?

— Niezego więcej prócz małego kontka, izby do odpoczynku i trochę ciepła dla ogrzania się, odparłem czystym hiszpańskim językiem, którego wyuczy-

łem się stojąc przez półtora roku w Segowii kwaterą.

— A ktoż jesteście, i zkąd przybywacie, podejrzliwie Sennor zagadnął.

— Że jesteśmy francuzkimi wojskowymi, poznać możesz po uniformach, przybywamy zaś z Villa-Ribejra, a jedziemy do Ogunia.

— Do Ogunia! tędy, to jakby przez Kadyx z Madrytu do Toledo, moi panowie, puścić was nie mogę w tem jakieś żarty, lub....

— Zbłąkaliśmy się w drodze, cała rzecz, rękę moim honorem, żadnych złych zamiarów niemamy, lecz otwórzcie czem prędzej, stać na mrozie nie miło.

Hiszpan wahał się jeszcze, ale żołnierze rozgniewani odwłoką, silnie ramionami i szablą podważali bramę, to go skłoniło do zdecydowania się.

— A iluż jest panów, zagadnął?

— Jedy nastu razem ze mną, nie wiele zatem sprawimy ci kłopotu, nadto mamy z sobą suchary i wino.

— Jedy nastu? nie więcej?

— Możesz przeliczyć gdy niewierzysz.

Hiszpan odstąpił od okna, zamknął je, lecz za to drzwi odryglował, weszliśmy, ja naprzód.

— A to pan widzę oficer, rzekł do mnie, pogładając na mundur i szlifę, która przy usunięciu się płaszcza zabłysła, przepraszam za zwłokę w roztworzeniu, lecz w tych czasach na ostrożności mieć się należy, maruderów włóczy się mnóstwo, niedawno

w tój wiosce zrabowali jeden dom na uboczy stojący.

— Przecież z razu otworzyliście chętnie i nieproszeni.

— Ach, to była omyłka, oczekiwaliśmy na przyjazd kilku z naszych.... przyjaciół.

— Przyjaciół? aby nie Gerylassów la Romany lub Blanca, śmiejąc się rzekłem.

Hiszpan podejrziwe spójrzanie mi zwrócił. Sante Giuseppe, co pan sądzisz? alboż nie jestem znany w całej okolicy z przywiązania do Króla Józefa i waszego Cesarza.

— Tém lepiej dla nas i dla pana, ależ spodziewam się że tu w sieni do rana rozmową przetrzymać nas nie zechcesz, jesteśmy zziębnięci, chętnie ugrzejem się przy ogniu.

— Trudno mi przecież uczynić zadosyć woli pańskiej, drew ani komina w całym domu niema, jedno tylko brassero.

— Żartujesz chyba! gdyśmy jechali wyraźnie z okien błyszcząło światło, za mocne aby od świec miało pochodzić, zechciej tylko, a znajdziesz ogień.

Hiszpan coś mruknął, ale naprzód postąpił i wprowadził nas do obszernej izby, mebli w niej było mało; pieca ni komina niedopatrzyłeś.

— Każę przynieść brassero i trochę siana, panowie odpoczną, rzekł hiszpan, i nieczekając odpowiedzi za-

kręcił się i wyszedł drzwiami którymi nas wprowadził.

— Coś on niebardzo gościnny, szepnąłem sierżantowi, nieosobliwą kwaterę nam daje, na jedenaście osób jedno brasserero, ciepła za mało, jeszcze w tak ogromnej a pustej izbie.

Sierżant wesa pomusknął — Panie poruczniku, wartyby ognia poszukać.

— Ale gdzie i jak?

— Ho! kto szuka, ten znajdzie, nienadaremnie już od lat sześciu kwatruję w tym kraju, znam się na panach hiszpanach, dobrowolnie choćbyś z głodu umierał ni kęsa chleba ci niedadzą, choćbyś marzył z zimna nieogrzeją cię, to nie tak jak u nas, jeśli pan porucznik pozwoli za parę minut nie brasserero ale komin pełen drzewa znajdziemy.

— I owszem, nic nie będę miał przeciw temu, aby się tylko bez nadużyć obeszło.

— Ma się rozumieć, powiódł bacznie okiem na okrąg, przecież tu muszą być jakie drzwi w domu, nie ta jedna tylko izba; wziął świecę w rękę — przeszedł koło ściany, otóż mam! zawołał.

Istotnie znalazł drzwi do następnej izby, nie tak to było łatwo uczynić jak się zdaje, drzwi te bowiem ukryte były za obiciem, bystrego oka było potrzeba aby dopatrzeć małą żelazną klamkę, trochę tylko z za płótna wysterczającą.

— No, kiedy jest gniazdo, to się znajdują i ptaszki, szepnął uradowany sierżant, niech tu na straży jeden z żołnierzy zostanie, a my pójdźmy dalej.

— Chętnie zastosowałem się do tej porady, lecz izba do której weszliśmy, równie była pusta i chłodna jak poprzednia, zwątpiłem już o wyszukaniu ognia, zwłaszcza że sierżant nadaremnie szukał nowych drzwi, gdy jeden z żołnierzy zawołał.

— A to co, panie poruczniku? wskażesz to podłoga ugina się podemną?

Ten wykrzyknik zwrócił wszystkich uwagę, sierżant przybiegł, uderzył się w czoło — na biesa, ja szukam po murze, a zapomniałem że w tej przeklętej Hiszpanii, wszystko na odwrót; tu ludzie sypiąją na dachu, a mieszkają w piwnicach, — postąpił na miejsce gdzie stał żołnierz, silnie tu i tam tupnął nogą, podłoga istotnie ugięła się, popatrzył pilnie:— ot tajemnica odkryta, mamy skobel, niech no pan porucznik trochę odstąpi, stoi właśnie na drzwiach.

Ujął za małe żelazne kółko, wzniosł je, część podłogi usunęła się, bujne światło z głębi buchnęło, i oświetliło małe kręte schody, sierżant poszepnął:

— Otóż jest i kotlina, jest ciepło, niezawodnie znajdzie się coś i do jedzenia, chodźmy śmiało.

Za parę już minut ujrzeliśmy się w obszernej sklejonej a niskiej komnacie, bujny ogień trząskał w niej na kominie, przy nim kilkunastu Hiszpanów różnego wieku i obu płci zasiadło, mężczyźni wszyscy uzbro-

jeni byli w krótkie szpady i pistolety. Jakkolwiek zaś wejście nasze dość gwarliwe było, nie dosłyszeli go jednak, tak się zagadali między sobą; dopiero gdyśmy się na kilka kroków zbliżyli, powstał między całą gromadą gwar, popłoch, nie do opisania. Kobiety przeraźliwie krzyżąc odskoczyły od ognia, toż samo uczynili mężczyźni, jeden i drugi schwycił za szpadę, obnażył ją.

Zawołałem! Per Dio! przyjaciółmi waszemi i do-
breimi katolikami jesteście, niemiejcie zatym obawy,
zgodnie możem przy kominie pozostać.

Te słowa uspokoiły nieco strwożonych, mężczyźni jednak swoich szpad nie schowali do pochw, kobiety podejrzliwe rzucały na nas spojrzenia. Chcąc do reszty przestraszyć ukoić, mówiłem:

— Przysiądź wam mogę, że o niczém złem niemyślemy, przypadkiem tylko zbłąkaliśmy się w górach i tu zasłaliśmy, zresztą nie jesteśmy heretycy francuzi, ale dobrzy chrześcijanie i katolicy jak wy — Polacy!

Hiszpanie poglądali na nas z ukosa, a między sobą domyślne zwracali spojrzenia, mało na to zważałem, przysunąłem się do ognia, toż samo sierżant i żołnierze uczynili, gdy wszedł Sennor który nam drzwi otworzył domu.

Wyraźnie pobladł ujrawszy nas tutaj, i »per Dio e Santo Jakobo di Compostella, panowie co to znaczy, jak tu weszliście! zawołał.

— Podłogą, odpartem śmiejąc się z trwożonej mi-
ny hiszpana, a sierżant dodał:

— Szukając brassero.

— Lecz tam na górze wszystko przyrządzone na
wasze przyjęcie.

— Tu nam bardzo dobrze, ręczę ci za to, i bez
zawodu lepiej niż byłoby gdzie indziej.

Hiszpan podumał — tam, byłoby dobre wino, wy-
rzekł.

— Jeśli istotnie chcesz być gościnnym, możesz go
i tu kazać przynieść.

Sennor zrozumiał że nas niewywidzie w pole, albo
raczej z ciepłej komnaty, skinął na ciekawie nas pod-
słuchujących swych domowników, ci zrozumieli go,
i powoli wyszukując kapeluszy i cygar pozostawionych
przy ogniu, chcieli opuścić komnatę.

Rzekłem im: — I dla czegoż oddalać się chcecie?
alboż nie dość miejsca w tej ciepłej izbie dla wszy-
stkich? powiedziałem już wam, że nikomu przykro-
ści czynić nie myślę, wiernie dotrzymam słowa.

Hiszpanie cichym szeptem naradzali się z sobą. Go-
spodarz wyrzekł: — przynajmniej kobiety niech się
oddalą!

— Przyjemniej by nam było gdyby zostały, ale kie-
dy to nie może być, niezatrzymujemy.

Senory i Seniority, ociągając się nieco, jakby nie
rade z propozycji Hidalgi i naszego łatwego zezwole-
nia, opuściły izbę. Kilka chwil strawiłem na wyda-

nie rozkazów sierżantowi, dotyczących znużonych koni i żołnierzy pozostałych przy nich na straży, potem zawiązałem z hiszpanami rozmowę. Było ich siedmiu, wszyscy jeden w drugiego pochmurni, ponurzy, mało mówiący, duszą i sercem ci Arturujęzykowie, o których to miejscowe przysłowie powiada, że raz rzekną dwa razy uderzą. Monosylabami tylko zbywali moje pytania i uwagi, mrukiem grzeczności, skinieniem głów, uprzejme oświadczenia, jeden tylko mównością odznaczał się od innych.

Tego człowieka niezapomnę nigdy, jego fizognomija tak silnie utkwiała mi w pamięci, że ani czas ani różne następne przygody, niezdolały jej zatrzeć: był on śniady do zbytku nawet na hiszpana, wysoki a chudy: oczu czarnych błyszczących, brwi gęstych szerokich, łączących się z sobą. Jego ubiór składał się z czarnej sukiennej obszerniej manty, pstrokatego kaftana i pasa, po za którym tkwił pistolet i szeroki pugiuał. Tak uzbrojony i ubrany, istotną miał minę gerylassa, lub bandyty, i niebardzo życzyłbym sobie zejść się z nim sam na sam w dzień w wąwozie gór, a w nocy choćby na otwartém polu. Towarzysze przecież hiszpanie, wyraźne mu okazywali uszanowanie, gospodarz głos miękczył i dzwięczył gdy z nim mówił, dawał mu pierwszeństwo przy ogniu na ławce, a Sennorem Taddeo lub Donem, mianował.

Otóż ten Sennor Taddeo, wyłącznie prawie utrzymywał rozmowę, zręcznie rzucając pytania dotyczące

stanu naszej armii, rozłożenia pułków i kampanii, mało jednak czego mógł się dowiedzieć odemnie, przeciw własnemu i wszystkich moich ziomków zwyczajowi, miałem się na ostrożności znając od lat kilku Hiszpanów, bałem się jakowej zdrady, mówiłem to tylko, co przy surowej ostrożności mogłem być powiedzieć, i o czem zapewno dobrze i dawno wiedział już mój Sennor.

Po kwadransie podobnej rozmowy, jakby niezadowolniony jej skutkiem, zwrócił się do gospodarza i wyrzekł:

— Ależ mój kochany Sennor Giuseppe, złe dajesz wyobrażenie tym panom o gościnności Iberów. Kwaśne wino ich manierek i grube puchary, warto przecież domowem Albacetra i kawałkiem mięsa zastąpić.

Hiszpan zdziwionym okiem towarzysza zmierzył, coś mruknął z cicha, ten dodał:

— No, niewzdragaj się, nieobfitą będzie uczta lecz miłą, bo szczerem sercem ofiarowaną. Ci panowie jako Polacy, mieszkańcy północnych stron Europy, dobry mają apetyt i pragnienie w miarę, idź więc do piwnicy, przynieś jedną i drugą butelkę, ja ci towarzyszyć będę.

Powstał z ławki, gospodarz rad nie rad musiał toż samo uczynić, wyszli, sierżant mi szepnął: — na biesa, skądże podobna uprzejmość w Hiszpanie, ależ czemu się dziwić! częstuje nas nie ze swojej spiżarni.

Zanim mogłem się zdobyć na jaką odpowiedź, nie wiem sam dobrze, którądy i jak weszła do komnaty, młoda jakaś dziewczyna, była to niby fantazyjna wizyta naszego hiszpańskiego popasu. Wysmukła, wysoka i blada, włos jej w grubych kędziorach niedbale rozwiewał się po śniadych ramionach, długa manta spuszczone z barków, szeleściła po ziemi, oko pełne, czarne wypukłe, błyszczało dzikim jakimś blaskiem niezwykłym, niepojętym. W rękę trzymała gitarę dziwacznie przystrojoną w zwiedłe kwiatki i różno kolorowe gałganki. Hiszpanie ujrawszy wędzającą zmarszczyli brwi, ona przystąpiła do ognia.

Oko jej dziwnie jak to już wspomniałem błyszczało, powiodła nim na okrąg, z razu zdawało się że niedojrzała nikogo, pogrążona w swych myślach, lecz nagle wzrok baczniej, dłużej, ponuro zatrzymał się na mnie, na mym uniformie i szlifach, na całej odzieży. Konwulsyjny dreszcz obiegł ciało, rumieniec dobył się na twarz, i zanim mogłem usunąć się, o pomoc wykrzyknąć, zatrzymać jej dłoń, wydobyła z zanadru iskrzysty puginał i uderzyła nim w moją pierś.

Całe wydarzenie niezabrało tyle czasu, ile go do mego opowiadania używam, sierżant i żołnierze podskoczyli co żywo na mą obronę, gwałtownym a co nadewszystko niespodziewanym uderzeniem wstrząśniony, straciłem równowagę, i upadłem z ławki na ziemię.

— Zabiła go, zamordowała! wykrzyknął sierżant, ujął dziewczynę za rękę, przytrzymał, szamotała się krzycząc przeraźliwie:

— Vendetta! Vendetta! pozwól niech się pomszczę, przysięgłam że go zabiję!

Hiszpanie porzuciwszy swoją narodową flegmę, poskoczyli ku mnie, toż samo jeden i drugi z żołnierzy, podniosłem się z ziemi, przyłożyłem rękę do piersi, bólu niebyło, niebyło krwi, odpiąłem mundur, ostrze pugiuału lekkiego nawet nieponiosło draśnięcia, zagadka rozwiązana była, depesze pułkownika, dla jej lepszej ochrony, jako też dla przyniesienia ciała trochę ciepła, ukryłem za nadrzem, były dość grube i z mocnego papieru, wstrzymały cios sztyletu, wyznać też trzeba, że on niewprawną i słabą ręką był poniesiony.

Śmiałem się z mimowolnej trwogi, jaką w obawie rany przejęty byłem przed chwilą, postąpiłem ku mej morderczyni, przytrzymywana silną ręką sierżanta, krzyczała a raczej piszczła przeraźliwie.

— Na biessa Sennora! co to znaczy, z jakiegoż powodu mnie wcale ci nieznajomego zamordować chciałaś?

Zwróciła mi spójrzenie, martwe ono było, choć niby iskrzyste, czarne oko błyszczało nie siłą zemsty lub gniewu, nie było w niem nawet życia, lecz chciwy blask, niby szkła, zamęt myśli i uczuć — obłąkanie.

Jeden z hiszpanów pokornie zbliżył się.

— Per Dio immortale, panowie, zmiłujcie się nad nią, ona niewiedziała co robi.

— Pięknie niewiedziała! na szatana! odparł sierżant, niewiniątko, nie wie że sztylet zabija!

— Ależ ona szalona!

— Szalona, szepnąłem, istotnie musiało tak być, czy sposób bowiem, rozważając przytoczone dopiero co zdarzenie, czy sposób, mówię, przypuścić, aby istota przy zdrowych zmysłach, śmiała postępować jak ta dziewczyna, grozić śmiercią nieznajomemu, obcemu sobie człowiekowi; wreszcie słysząc jej pisk, dziwne gesta jakie robiła, wijąc się i starając się wyswobodzić z silnych rąk sierżanta, wątpić niemożna było o prawdzie słów hiszpana.

— Lecz czemu pozwalacie jej wolno chodzić, czemu ją niezamkniecie?

— Ona córką naszego Hidalgi, a nadto szaleństwo jej dotąd całkiem było spokojne, po raz pierwszy dopiero groźną postać przybrało, przebac pan, zwłaszcza że dzięki Bogu żadnej nieponiosła szkody.

Zwróciłem się znowu ku dziewczynie.

Kilka chwil daremnych szamotań, wysiliwszy fizyczne władze, uspokoiły ją nieco. Oko już mniej jak poprzednio iskrzyło się: zaprzestała pisków.

— Puść ją, wyrzekłem sierżantowi, ale wprzód odbierz sztylet.

Sztylet sama dobrowolnie oddała, sierżant mruczał.

— Ależ panie poruczniku, z nią żartów niema, gotowa znowu co zbroić.

— Mieścież ją na oku.

— My ją wyprowadzimy, rzekł występując jeden z hiszpanów, Sennorita chodź z nami.

Biedna odepchnęła jego dłoń i szepnęła:

— Nie, nie, ja tu zostanę!....

— Nie sposób, trzeba pójść.... i zbliżył się do nieszczęśliwej i chciał ją siłą wyprowadzić, zaczęła znowu krzyżeć i przeraźliwiej jak poprzednio piszczeć. W czasie tych szamotów, wbiegli dwaj hiszpanie, gospodarz i Sennor Taddeo.

— Co to jest, co to znaczy, rzucając butelki o ziemię, wykrzyknął Hidalgo, szybko gniewnie ku słudze postępując, lotrze ty śmiesz obrażać me dziecię!

Hiszpan zadrżał na widok gorejącego oka i płomienistych lic pana i szeptał: — Przebac Sennor, Donna chciała zabić porucznika.

— Co ty gadasz, człowieku, kłamiesz!

— Bóg mi świadkiem że nie, zresztą niech się Sennor zapyta francuzów.

W kilku wyrazach opowiedziałem całe zdarzenie, nieszczęsna obłąkana słuchała moich słów, wyraźnie ich znaczenia niepojmując, tuliła się do łona ojca, niby u niego pomocy i opieki szukając.

Hidalgo brwi zmarszczył, ale rękę mi podał: — przebac pan, wyrzekł, widzisz w jakim znajduje się stanie, obłąkana.

— Ja też wcale niegniewam się, a tym mniej nie chcę mścić się, lubo pojmujesz że wcale z całego tego zdarzenia niebyłbym zadowolniony, gdyby jej cios silniej poniesionym został, lub gdyby szczęsnym dla mnie trafem, depesza pułkownika nie były go zatrzymały.

Jak przed chwilą sługa, tak teraz sam Hidalgo chciał wynieść z izby szaloną, wszystkie jednak jego usiłowania były daremne, znudzony szamotaniem się, piskiem i skargami biednej, sam prosiłem aby ją pozostawiono spokojnie, zwłaszcza że po odjęciu sztyletu, żadne niebezpieczeństwo nie groziło w jej towarzystwie.

Naturalnie że zapragnąłem znać przyczynę cierpienia młodej dziewczyny. Hiszpan półgębkiem tylko objaśnił, z czego przecież dorozumiewałem się że istotnym powodem jej okropnego stanu, było uwiedzenie i opuszczenie przez jakiegoś z oficerów francuzkiej armii, stojących tu niedawno kwaterą.

— A ten podły człowiek ziomkiem był twoim poruczniku, dodał kończąc swoje opowiadanie Hidalgo.

— Jak to? — Polak?

— Tak! dziko zabłyśło jego oko, brwi groźnie ściągnęły się: Bóg jednak dozwoli dożyć dnia zemsty, osłodzi moje cierpienia, jej hańbę nagrodzi.

Szanowałem ojcowski smutek starca, niegniewały więc mię ani dziwiły złowrogie jego słowa; na Don Taddeo przeciwnie inny skutek wywarły, uchwycił rękę towarzysza, silnie nią wstrząsnął i pomruknął:

— Per Dio! co mówisz Sennor Giuseppe, zastanów się.

Hidalgo niby ze snu przebudzony, oczy przetarł, a chcąc wyraźnie inny tok nadać rozmowie, spojrzął na rozbite butelki i wyrzekł: — a toż sprawiłem się dobrze, broniąc nieszczęśliwej, rzuciłem o ziemię i stłukłem llażki z winem, trzeba innych poszukać.

— Możesz to uczynić, ja zaś z tych co przyniosłem, na początek poczęstuję gości, wtrącił Taddeo, odkorkował butelkę w ręku trzymaną, nalał pełną szklanekę, wychylił do dna, zwróciwszy się do mnie: — Wasze zdrowie Sennor!

Naturalnie że wyzwaniu uczyniłem zadosyć, toż samo sierżant i żołnierze, wkrótce wypróżniono butelki i te co on miał i dwie które przyniósł Hidalgo, dobry humor z dobrym napojem i ciepłem powrócił. Lecz sierżant poszepnął:

— Panie poruczniku, a nasza droga?

Spojrzałem na zegarek, nie pół, ale półtóry godziny w towarzystwie hiszpanów spędziłem, rzekłem więc:

— Masz słuszność, odpoczęliśmy już i ogrzaliśmy się, czas jechać, daj rozkaz pozostałym na dziedzińcu żołnierzom, aby byli gotowi, za parę minut odjeżdżiem.

— Jakto! czy sposób w noc tak ciemną, w takim czasie, wtrącił Sennor Taddeo.

— Dobrze nam tu, lecz obowiązek służby przed przyjemnością iść winien.

— Do Ogunia mil pięć, droga niebezpieczna i mylna.

— Sierżant ją zna, z resztą będę was prosił o przewodnika.

Hiszpanie spojrzeli po sobie — lecz skąd go wziąć?

— Darmo nie chcę, gotów jestem zapłacić.

— Nie mój Sennor, za sto dukatów nawet nikt się niepodajmie, w dzień przez wąwozy i góry droga mylna i przykra, cóż dopiero w nocy, jeden fałszywy krok, pośliznięcie się lub przypadek, stracić może w bezdenną przepaść, nadto mosty na rzece zerwane.

Zwróciłem sierżantowi badawcze spójrzenie, — mruzczał:

— Bogiem a prawdą panie poruczniku, hiszpanie chociaż to ludzie bez sumienia i wiary, ot, w połowie szatani, dobrze radzą, tutejsze drogi, toż nie tak jak trakty na naszym Mazowszu, trochę błotniste i wyboiste, lecz bezpieczne i proste, tu przeciwnie gdzie stąpisz góra, gdzie spojrzysz przepaść, postergnąwszy się przypadkiem, na wieki z karkiem pożegnać się musisz.

— Cóż więc czynić?

Sierżant wąsa pomusknął: — zaczyna świtać o szóstej, a teraz już północ, gdy się spóźniło z oddaniem depeszy na wieczór, mniejsza czy generał je odbierze jutro wcześniej lub później, mojem zdaniem przeno-

ujmy tu, a o wczesnym poranku marsz w drogę. Za dnia prędej się jechać będzie, a bezwątowania bezpieczniejszej.

— Porada nie była złą, Don Taddeo dodał: — o kilkanaście kroków stąd, stoi dom całkiem próżny na kwaterę dla wojskowych francuzkich przeznaczony, jest w nim komin i obszerna sień, tak więc i panowie będziecie mogli wypocząć, i konie blisko siebie umieścić.

Zgodziłem się na ten projekt, chociaż milej mi było w izbie w której obecnie znajdowałem się, nocować, alez niechciałem nadużywać i tak już nie zwykłej gościnności hiszpanów, wyszli oni aby w wspomnianym domu przygotować wszystko na nasze przyjęcie, pozostał z nami tylko jeden sennor Taddeo i biedna szalona.

Szczególniejszą zmianą uczuć, chociaż to w obłąkanych nie jest nic dziwnego, z nieprzyjaciółki śmiercią grożącej, w przyjaciółkę dla mnie zmieniła się ona, przywabiwszy ją raz do siebie, już jej niezem oddalić niemogłem, bawiła się z rękojęścią mej szpady, szlifą i adjutanckimi frędzlami, szczególniejsz też gwiazda legii honorowej zajmowała ją, pieściła ją w rękach całowała, i kilka razy — daj mi ją, szeptała.

Chętnie to uczyniłbyin, gdyby ta honorowa oznaka podwójnie świętą dla mnie nie była, raz jako pamiątka najniebezpieczniejszej chwili w życiu, przejścia wąwozów Somo - Sierra, potem że ją miałem

z własnych rąk marszałka Sulta, zbywałem więc jak mogłem prośby szalonej, zwracałem uwagę na inne przedmioty, nadaremnie jednakże, zawsze upornie do mej legii wracała. Don Taddeo objaśnił mój podziw, słowami:

— Jej kochanek ozdobiony był podobnym pańskiemu orderem, biedna nie zapomniała o tém, jej pamięci bez zawodu jakieś miłe wspominki nasuwa.

Znużony coraz większem natręctwem obłąkaniej, ująłem leżącą na ziemi gitarę, zanuciłem jedną z powszechnie znanych melodyjnych ojczystych piosneczek. Trzeba było w tedy poglądać na biedną: już za pierwszym brzękiem strun, lekki rumieniec wywinął na jej lica, w miarę mej pieśni wzrastał on, słuchała z baczną uwagą, oko iskrzyło, lecz już nie jak poprzednio samym szałem obłąkania, było w niem coś z pamięci, podziwu, rozumu, gdy piosnka doszła do końca, rzekwnie zaczęła płakać. Jej łzy wzruszyły mię, rzekłem hiszpanowi:

— Ona nie jest całkowicie chorą, przy baczmem leczeniu może do rozumu powrócić, czemu jej ojciec niepostara się o to, zdaje mi się dość jest majątny na opłacenie bieglego lekarza.

Sennor czoło pochmurzył: — tak, masz pan słuszność, doktorzy jednomyślnie zapewniają, że może być jeszcze uleczoną, lecz Hidalgo nie chce tego.

— Czemuż? zadziwiony pytałem, uważałem przecież że ją kocha.

— Dla tego właśnie że kocha, chce ją zostawić na zawsze w okropnym obecnym stanie.

— Nierozumiem pana.

— Ach to przecież nietrudno, zastanowiwszy się trochę, obłąkana niepojmuje strasznego swojego położenia i hańby którą siebie i cały ród swój splamiła, cierpiąca może żyć, zdrowa powinna umrzeć.

Zadrzałem: lecz mój panie, to barbarzyństwo!

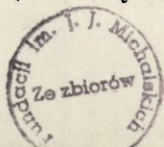
— To straszne, a niczem nieprzełomne przeznaczenie tylko, mój Sennor.

— Ależ wszystkoby można jeszcze naprawić, nieznacież nazwiska uwodziciela błąd mógłby ślubem załagodzić.

— Błąd! hańbę swoją chcesz pan powiedzieć, o tak, znamy dobrze nazwisko, ale na cóż się to przyda, czyż ją zechce nazwać swą żoną? raz już odpowiedział że nie, to człowiek bez serca, bez litości, kamień, głaz.

— Znalazłby się jednak sposób, czemuż nieudacie się do pułkownika lub Jenerała, bezwątpienia sprawiedliwość wam byłaby wymierzona.

— Ach! ponuro roześmiał się, dobra pańska porada, lecz czy hiszpanowi przystoi, czyż Hidalgo dobrej krwi szlachcic przyjąć ją może; skarżąc się nietrzebaż by swęj hańby, niesławny odwiecznego rodu, światu objawić. Nie znasz jeszcze hiszpanów: potomkom Cyda, Gonzalwa z Korduby, Toledów, hańba ich córek, osobistą ich hańbą, nieobmyjesz jej chyba krwią!



Tak, dodał w entuzjazmie cierpienia, brzęcząc po rękojeści swęj szpady, jedna krew skazę honoru zatrzed jest w stanie, i przyjdzie czas — Bóg się zmiłuje!

Milczałem, bo cóż można rzec było! Sennor Tadeo jak sam poprzednio mówił bliskim był krewnym Hidalgi, a więc i jego córki; jego wyrazy jak niedawne sennora Guiseppo, bratem za wyskok rozpaczy, za słuszne uczucie: wypadek poniesionej obelgi niemiałże słusznie boleć, zwłaszcza widząc codzien co chwila nieszczęśliwą ofiarę podtęj lekkomyślności człowieka bez zasad i prawości, nadto młode serce poemowało honor w całym znaczeniu tego wyrazu, honor może skrzywionych wyobrażeń, lecz święty sam w sobie: będąc na miejscu hiszpana, mógłżem inaczej myśleć i mówić jak on? Biedna płacząca uspokoiła się nieco. Gitarę w tłoczyła mi do ręki, piękne czarne oko prośbą iskrzyło, a szeptała, drobne małe ręce jakby do modlitwy składając.

— Graj Sennor graj! proszę, błagam cię, tę samą piosnkę on śpiewał!

— Nieśmiałem ani mogłem odmówić, struny instrumentu znowu zabrękły. Słuchała w milczeniu, składną sniadą twarz oblewały perły łez, niby w rozpaczem cierpieniu, pierś się wznosiła i opadała gwałtownie.

Niedośpiewałem jednak połowę piosnki, gdy wstrzymując się przedemną hiszpan, gwałtownie wyrwał z ręki gitarę.

— Per Dio! co pan czynisz? spójrz na nią, nie maszże ni iskierki litości w sercu, tyle dać cierpieć biednej.

Nie bardzo była mi do smaku ta przerwa, a zwłaszcza sposób w jakim uczynioną została, już chciałem w dość cierpkich wyrazach niezadowolenie moje objawić, gdy Hidalgo ze swoją służbą powrócił.

— Wasza kwatera już gotowa, ogień napalony, może przedziecie tam, wyrzekł.

Poszedłem z całym orszakiem. Dom był nie wielki, ściany jego z piaskowego kamienia, dach ze świerkowych desek, trzy izby znajdowały się wewnątrz; w pierwszej najobszerniejszej umieszczono konie, strawy dla nich nie było brak, gościnnie hiszpan do zbytku nagromadził siana i owsa, w drugiej bujny ogień na kominie trząskał, słoma rozłożona była na ziemi, — tu będą noclegować żołnierze, pan gdy zechcesz, możesz zająć trzecią izbę. Wprowadził do niej, niebardzo była obszerną, lecz dosyć porządnie urządzoną, na ścianach wełniane obicie, żelazne pościelą zastlane łóżko w kącie, para krzesłek i stolik obok, co zaś najważniejsza na kominku ogień, a na stole butelka Xeres, znajdowały się.

Gdym moją radość z niespodziewanie dogodnej kwatery i podzięką za nią gospodarzowi wynurzał, mruknął ponuro, niby pragnąc niemiłym sobie oświadczeniem koniec położyć.

— Kiedyś ta izba była zajęta przez kolegę pańskiego, stał w niej kwaterą długi i za długi czas, dla mojego szczęścia, cały kwartał w zeszłym roku.

Niepytałem się kto był ten mój kolega, z dźwięku słów, z błysku oczu hiszpana, pojąłem że to musiał być podły uwodziciel jego córki, mimowolny jakiś smutek, oświadczył moim sercem.

Hidalgo nieco rozpogodził czoło, poszepnął:

— Chciej się pan rozgościć, noc nie długa, niewiele ci zatym czasu do spoczynku zostaje, a podróż daleka, życzę szczęśliwej nocy, niech Bóg cię ma w swojej świętej opiece!

Wyszedł miarowym krokiem.

Ostatnie słowa, zwykle wszystkim hiszpanom błogosławieństwo, nie wiem czemu niemiło w moim uchu zabrzmiały, zdawało mi się, że ukrywają jakieś tajne złowrogie znaczenie, że mi grożą zemstą, zgubą. Przeszedłem do izby przeznaczony dla żołnierzy, po znoej podróży i nie wywczasie grzeli się przy ogniu, a popijali wino, gościnność bowiem Hidalgi rozciągnęła się aż do nich, każdy dostał po butelce niezłego Alicante.

Wydałem stosowne rozkazy, to jest zaleciłem umiarkowanie i baczność, dwóch miało pilnować koni, jeden śpiących w izbie kolegów, strażę zaś co godzina zmieniać się powinny; sierżant który z uszanowaniem słuchał moich poleceń, rzekł gdy je wydawałem:

— Pan porucznik jak widzę obawia się zdrady, dalipan niema powodu, za nim umieściłem tu konie, pilne miałem oko na hiszpana i jego domowników, jest ich razem pięciu mężczyzn, cóżby nam złego mogli uczynić, reszta mieszkańców folwarku, same kobiety i dzieci, których w gościnnej izbie widzieliśmy.

— Ostrożność niezaszkodzi jednak, wiesz w jakim kraju i pomiędzy jakimi ludźmi znajdujemy się; nasz gospodarz może być najpoczciwszym człowiekiem, lecz on hiszpan, wróg nasz z urodzenia, nadto, ciężką, wołającą o pomstę krzywdę poniósł od jednego z naszych rodaków.

Sierżant zamilkł, staremu żołnierzowi moje uwagi słusznymi zapewne się wydawały, powtórzywszy rozkazy i urządziwszy porządek czuwania warty, wróciłem do kwatery i nierozebrany rzuciłem się na łóżko.

Usnąć jednak długo nie mogłem, nerwy moje były w dziwacznym rozprężeniu, pamięci bezustanku nasuwał się obraz nieszczęśliwej obłąkanej, jej krzywdy. Słowa gospodarza i Sennora Taddeo dręczyły także, nastęrczały wzburzonej wyobraźni mojej wszystkie aż nadto prawdziwe a straszne wydarzenia tej wojny. Krwa- we zdrady ludu, mordy niewinnych naszych żołnierzy, nie dziw więc, że gdy nareście usnąłem, sen był żywym odbiciem tych wrażeń, najdziwaczniej pogrupował kiedyś zdarzone wypadki, a we wszystkich główną kazał mi grać rolę.

Ostatnie marzenie szczególnież też utkwilo w pamieci: snilo mi sie iz sie znajdowalem w goscinnej izbie Hidalgi, grzalem sie przy ogniu, za mna wszyscy zolnierze oddzialu, gdy nagle pociehu Sennor Taddeo, a z nim gospodarz i tłum Geryllasow napadl na nas, biada wam! biada! przerazliwie krzyczac. Bronilem sie zaciecie, jeden i drugi z napastnikow poległ z mej reki, juz bylem bliski ocalenia sie, juz sie wydobyłem z rak bandytow, gdy nadbiegła biedna szalona, sztylet błyszczał w jej reku, utkwila go w mej piersi, a z lepszym skutkiem niz na jawie, czulem bowiem zimno zelaza dotykajacego ciata. Rana przeciez smiertelna nie byla, odepchnalem precz od siebie zbrodniarke, gdy w tej chwili grozac naga szablą w jednej rece, druga ponury Sennor Taddeo obalil mnie na ziemie, gnioltl calym ciezarem ciata, zgin! zgin! wołajac. Chcialem sie broniec, niesposob, — chcialem wołac o pomoc, tchu w piersi nie-stalo, utrudzony szamotem snu, oeknalem sie nagle, zimny dreszcz obiegl ciato, istotnie ktos ciezka dlonia przyciskal mi piersi, glucho, niby szydersko smial sie, a dzikim ponurym wzrokiem pogladal w me oczy.

Szybko unioslem sie z lozka, schwycilem za obok stojaca szable, niewydobyłem jej jednak z pochwy: przy mdlym blasku dopalajacych sie na kominie glowni, poznalem kto byl ow niespodziewany napa-stnik, byla nim oblakana corka mojego goscinnego gospodarza.

— Dla Boga Sennorito! co tu robisz, czego chcesz, jakim sposobem tu weszłaś?

Ho! roześmiała się swoim zwykłym sposobem, głucho, piersiowo, — ja tu codzień przychodzę, co noc tu muszę być, ty wiesz czemu? on tu kiedyś mieszkał.

Usiadła na krawędzi łóżka: — tu go widywałam! słyszałam — on mnie kochał! — przysiągł to! kochał!... a jednak.....

Febryczne wzdrygnięcie wstrząsnęło nieszczęśliwą.... a jednak! zawołała, zwiódł mnie, oszukał, poszedł, odjechał i niepowrócił, wyparł się i mnie i mojego dziecka, swojego dziecka, — czy ty to pojmujesz! czy ty pojmujesz jaki to człowiek!

Obłąkanie biednej w całej sile wzrosło, oko dziecko iskrzyło, twarz zbladła, wtłoczyła rękę w zana-drze, niby tam czego szukając, a szeptała....

— I ja też przysięgam że on zginie, że on musi zginąć z mej ręki, mam ostry sztylet, noszę go zawsze przy sobie, gdy go ujrzę, o choćby niewiem jak był zbrojny, zabiję go! zabiję! pomszczę siebie, biedne dziecie!

Pokryła piękną twarz drobnymi dłońmi, ocierała łzy płynące po niej potokiem, zwróciła się znów do mnie.

— Bo ty niewiesz, oni mi wydarli me dziecie, zabrali go, próżno płakałam, jęczałam, wydarli go i... o ja dobrze pojmuję co z nim zrobili!..... Zamordowali!

— Czy sposób! wykrzyknąłem, lecz któżby! . . .

— Któż! jeśli nie ojciec i Don Taddeo! ach straszny to człowiek ten Don Taddeo! Kochał mnie tak — przyłożyła rękę do czoła, niby zbierając rozpierchnione myśli, — pamiętam dobrze. On mnie kochał i był moim narzeczonym, nie kochałam go nigdy, lecz ojciec chciał, byłabym zezwoliła na szlub... Ale on tu przyszedł ze swoim wojskiem, lud strojny, piękny, — tu mieszkał, widywałam go codzień, taki był przystojny, mówił tak dzwięcznie, słodko, miło dla ucha, dla serca, pokochałam go też, zapomniałam o Sennorze, o ojcu! podeptałam honor kobiety! Za nic sobie nie miałam hańbę rodu, dla niego byłabym wyparta się raj, nieba, wiary! Wierzyłam mu bowiem zaufałam, obiecywał że mnie nazwie swoją żoną, że zawiezie do swej ojczyzny; dziwne o niej mówił rzeczy, że tam gór niema, że zima puł roku trwa, że skał ludzie nie znają; obiecywał że będę ulubioną córką jego matki, jej pociechą jej perłą Mówił mi swoim językiem, uczył go, chrapliwy to język, ostry, ale brzmiał miło, bo z jego ust szedł i śpiewał swoje piosenki, piękne one, posępne, melodyjne, kilku wyuczył, zabaczyłam przecież do szczętu, lecz ty je znasz, umiesz na pamięć, dla tego przyniosłam gitarę, zaśpiewaj

Istotnie tłoczyła mi w rękę gitarę, i miłowała się i śmiała, o śpiewaj, śpiewaj! niepojmujesz jak to miło słuchać! Przetarła czoło dłonią, tu tak pali tak

piecze, oni powiadają, ojciec, służący, że mnie Pan Bóg opuścił, że ja szalona. Tak, prawda, wiem to, czuję, od czasu gdy odjechał, gdy mi odebrano dziecko, dwóch myśli razem skojarzyć nie mogę, głowa pęka, ciepło w niej, war, szum, dziwne jakieś gorąco, często sama niewiem co mówię, ale gdy posłyszę śpiew, gdy zabrzękną struny gitary, zaraz inaczej — łąza idzie do oka, w piersi lżej, w głowie widniej, i pamięć w niej jest i rozum, — tak było wczoraj gdyś śpiewał też same piosneczki co on kiedyś! Boże mój! czuję zaraz że mi lepiej, już widzę i słyszę co się w okrag mnie dzieje, i pomnę wszystko co się stało, — już ja nie obłąkana!

Żal mi było nieszczęśliwój, prawie skłaniałem się do jej prośby, gdy znów mówiła:

— O tak, ja już nie szalona! widzę jak inni i słyszę, i wiem co chcą uczynić, przy mnie bowiem mówili i układali się, niepojmując abym ich rozumiała, oni chcą cię zabić i wszystkich twoich, chcą się pomścić za mnie, za krzywdy i utrapienia kraju. Przed godziną przyszła im pomoc, Gerylassy la Romany, czekali na nich z utęsknieniem od wczoraj, jest ich dużo ludzi — czekaj — pamiętam liczbę, mówili — czterdziestu, zabiją cię, zamordują!

Ma się rozumieć że chęć śpiewu odeszła.

— Chcą mię zabić dziewczyno? kto? jak?

— Mój ojciec, a szczególnie Sennor Taddeo! on cierpieć nie może tych francuzów, on i jego niecier-

piął, zabijają cię tak samo, jak tych dwóch biedaków zeszłego tygodnia.

— Nie pierwszy więc mam paść ofiarą ich zemsty!

— A tak, przysięgli zabić każdego francuza, co w ich ręce popadnie, za chwilę przyjdzie twa kolej, lecz co tam dłużej o tem mówić, zaśpiewaj nim przyjdą.

Odrzuciłem gitarę precz od siebie, zimny dreszcz miotał ciałem, — Sennorito! jestże to prawda co mówisz? błagam cię na twe zbawienie, na ojca, na matkę, powiedz, jestże to prawda coś rzekła?

— Lekko zadrżała: — cyt, cyt! szepnęła mi, wyrwała dłoń z mej ręki, przysunęła się do okna, bacznie nadstawiła ucha, przyłożyła palec do ust: już idą!..

— Kto, bandyci?

— Nie, to tylko mój ojciec z Sennorem Taddeo, rozpoznaję szmer ich kroków, poznałabym między tyśnięciem. Lecz per Dio! gdyby mnie tu zobaczyli, ja biedna, ojciec łajałby, Sennor zamknie na górze w mej celi, niepuści za karę dzień jeden i drugi. Złożyła ręce jakby w modlitwie, — proszę cię ukryj mnie.....

— Nie o ukryciu biednej w mém położeniu myślałem, podskoczyłem z łóżka, chciałem wyjść z izby aby przywołać żołnierzy, wstrzymała mnie.

— Oni nieprzychodzą jeszcze aby cię zabić, nie idą razem z Gerylassami, jest ich tylko dwóch, czy słyszysz, już są blisko okna.

Nie czekając innej odpowiedzi, — ach! już wiem co zrobię, wykrzyknęła skwapliwie, wskoczyła na łóżko, obwinęła się starannie mym płaszczem.

Ja pozostałem na miejscu, myśl nawet przyszła może to wszystko próżny strach, jej słowa może to tylko obłąkania wyskok, myśl ta wydawała się rozsądną, lecz w tej chwili i mego ucha doszedł lekki szmer kroków ludzkich przy ścianie. Cicho, instynktem nie rozwagą wiedziony, przysunąłem się do okna, wemknąłem się w kąt między dwie ściany z ręką na szabli, z natężonym słuchem: szmer zatrzymał się przy oknie mej izby, spójrzałem w okna i wyraźnie widziałem ponurą twarz Sennora Taddeo.

Glucho, szeptał: — spi jak zabity, owinął się w płaszcz.

— Lecz żołnierze?

— Zaraz do nich przejdziemy, lecz sądzę że i oni posnęli, niestety! bowiem najmniejszego szmeru, łatwiej pójdzie nasza sprawa niż sam sądziłem, zagarniemy bez oporu wszystkich.

— Sanguo pro sanguo! mruknął Hidalgo, on bowiem towarzyszył Taddeowi w przechadzce:—dzięki ci Don, tobie winien będę nasycenie mej zemsty: Bóg dobry dopomoże, że ją będziem mogli skutecznie pomyśleć.

— Ciszej, szepnął Taddeo, na baczności mieć się należy, mogą nas podsłuszyć, chodźmy.

Odeszli.

Czem prędzej pobiegłem do izby żołnierzy, i oni i sierżant rozmarzeni ciepłem i nad miarę wychylonym trunkiem, spali jakby zabici, toż samo i żołnierz postawiony przezemnie na straży, silnie nim wstrząsnąłem.

— Biada ci! także to dopełniasz moich rozkazów, tak czuwasz?

Żołnierz oczy przetarł: — Panie poruczniku, zdrzemałem się trochę, ale to nic nieszkodzi, wszystko spokojnie.

Na próżnych łajankach czasu tracić nie chciałem, obudzilem sierżanta i resztę żołnierzy,—zdrada! krzyknąłem im, nasz gospodarz chce nas podejść, zamordować!

Te słowa otrzeźwiły wszystkich, sierżant mruczał:

— Jest ich zaledwie siedmiu pospołem, nas jedynastu, nie ma więc obawy, nie tylko że się obronić możemy, ale i pochwytnamy złoczyńców gdy tak pan porucznik każe.

— Trochę więcej niż z siedmioma będziemy mieli do czynienia, opowiedziałem w niewielu wyrazach wiadomość przyniesioną mi przez szaloną.

— Bach! i to nic nie znaczy, przecież nietylko szable ale i pistolety mamy, u pasa i ładunków po kilkanaście, z końmi tylko ambarass, co rozkaże pan porucznik?

— Rozstawcie się przy oknach, zatarasujcie drzwi, przejrzałem izby, tajnego wejścia jak się zdaje niema, nadewszystko zaś oszczędzajcie naboje, strzelać tylko

na pewne; spójrzałem na zegarek, wpół do czwartej. Za godzinę dzień będzie, łatwiej w tedy damy sobie radę.

Żołnierze po dwóch rozstawili się przy oknach, okien zaś było pięć, ja z sierżantem stanęliśmy we drzwiach mojej sypialni, aby na wszystko dawać baczenie, przewodniczyć obronie. Na tych przygotowaniach kilka minut zeszło, pięć najwięcej, nagle jeden z żołnierzy zawołał: «panie Poruczniku już idą!»

Istotnie przy ponurém okólnem milczeniu posłyszeć łatwo można było, głuchy szmer kroków kilkudziesięciu zbrojnych ludzi, od strony dworca po kamienistej drodze zbliżających się, jakkolwiek przygotowany byłem już do całego zdarzenia, jednak pomimowolnie zadrżałem, w piersi było duszno, serce ni by w strasznej obawie ścisnęło się.

— Maladetto! głośny wykrzyk z zewnątrz rozległ się, głos Hidalgi, obudzili się już, wstali, przeculi nasz zamiar.

— To nic nie znaczy, obudzonym czy śpiącym damy radę, jest nas tylu wszystko dobrze zbrojnych, ich przeciwnie mała garstka, odparł Sennor Taddeo.

Cofnął się jednak od okna przy którym stanął, zatrzymał swój orszak, zebrał go w gromadkę, jakby chciał się naradzić, coby dalej uczynić, a po kilku minutach gromkim głosem wykrzyknął: — Poruczniku! zbliż się do okna, parę ważnych słów rad ci jestem powiedzieć!

Sierżant rzekł: — ej niech pan Porucznik nie idzie, ci ludzie przekłęci zdrajcy, powinien ich znać pan Porucznik, nigdy im wierzyć nie można, parlamentują i strzelają.

— Nie zważałem jednak na rozsądną uwagę, uczyniłem co chciał zdrajca, mówił:

— Jeżeli ci miłe życie, poddaj się, spójrz bowiem, nas jest więcej pięćdziesięciu, was jedynastu za ledwie, walka nierówna, pięciu przeciw jednemu, pokonamy was łatwo.

— Nie, odparłem, oficer i Polak, niepoddaje się dopóki szabla błyszczy w jego ręku i dokąd choć jeden ładunek prochu zostanie, raczej zastanówcie się sami co czynicie, upamiętajcie się w zbrodniczym zamiarze, czy za nic sobie nie macie surowej sprawiedliwości naszych dowódców, chcecie koniecznie krwawą ich pomstę ściągnąć na siebie?

Hiszpan szydersko roześmiał się, — na szatana będąc w naszym ręku jeszcze śmiesz grozić! porzuć zarozumiałość, a pomyśl co ci do czynienia zostaje, daremnie krwi niechęć przelewać, zdaj się na łaskę, rozbrojemy was i puścimy wolno.

— Jakąż rękojmię dać możecie, że wiernie zobowiązania dotrzymacie, pytałem.

Zamilkł rozważając coby rzekł. Kto inny go zastąpił, człowiek którego rysów twarzy dla mroku nocy rozpoznać nie mogłem, lecz głos dobrze słyszałem, a był on ostry i cierpki.

— Możemy ci przysiąc na świętego Jakuba z Kompostelli, i Matkę Boską Sewilską.

Wahałem się chwilę, wyobraźcie sobie położenie moje, straszne ono było istotnie! Pomimo cieni nocy, łatwo dojrzeć mogłem że Sennor Taddeo nie przesadzał w liczbie bandytów, wszyscy byli uzbrojeni, nadto czy sposób długo bronić się, złączywszy swe siły, opanowawszy jedno z okien, nie mogliż zdobyć której z izb, a w tedy jakież nas los? musielibyśmy zginąć. Hiszpan nie zna litości, zwłaszcza gdy mu traf dozwoli być zwycięzcą. Przypuściwszy nawet że szczęście nam posłużyłoby, że odeprzemy napastników, czyż rezultat walki mógł być korzystnym? Hiszpanie nie mieli nawet potrzeby zdobywania szturmem domu, dość im było obsaczyć go na wszystkie strony, brak żywności po dniu jednym lub drugim, zmusiłby nas do wycieczki, a ona na pewną naraziłaby nas zgubę, małą bowiem tylko można było mieć nadzieję pomocy od armii. Naprzód nie wiedziało wcale o naszym zbłąkaniu się, potem w te odalone od głównego obozu strony, żaden podjazd ni patrol nie dochodził.

Otóż te wszystkie uwagi pędem błyskawicy po mej głowie przebiegły, spójrzałem po żołnierzach, dzielni oni, człek w człeka, żaden pewno nie uląkłby się śmierci, wszyscy z nią w długich i niebezpiecznych walkach oswojeni, wszyscy jednakże w obecnej chwili, stracili wiarę w swą szablę i pewność

zwycięstwa, inna bowiem rzecz walczyć w szeregu i tłumem postępować na nieprzyjaciela, inna zaś być niejako na jego łasce, nie atakować lecz bronić się. Najwaleczniejszy w tedy traci odwagę, pomimowoli serce obawie poddaje; nadto przypomnijcie sobie że całe zdarzenie wydarzyło się z nienacka, natrafiło na sennych, że ci żołnierze byli to ludzie którzy jak bić się tak i rozumować umieli, że pojmowali równie dobrze jak ja przykre wspólne położenie, nie dziw więc że jeden i drugi bacznie poglądał w me oczy, ciekawy co uczynię, a trzeci i czwarty swém spójrzaniem zachęcał do przyjęcia propozycyj. Sennor Taddeo przemówił znowu:

— Jesteście jak mówicie Polacy, a więc dobrmi katolikami musicie być, powinniście zatem ufać przysiędze katolików, zwłaszcza gdy wam da ten co mówił przed chwilą, Abbato don Hyjacyntho, lecz zdecydujcie się czém prędzej, trzy minuty dajemy wam czasu.

Sierżant wyrzekł: — panie Poruczniku! aby prawdę rzec, diabla to sprawa, nie śmiem radzić, ależ kiedy nas chcą puścić wolno, kiedy chcą na to złożyć przysięgę a jeszcze przed księdzem, sądzę że im można zaufać.

— Poddać się, odpartem, złożyć broń! wszystka krew uderzyła do mej głowy, nie była to hańba dla oficera żołnierza i Polaka, co powie pułkownik. Kole-dzy w jakimże świetle widzieć będą mój postępek?

czy pojma jak przynależy obecne położenie nasze. Sierżant tajną walkę mych uczuć zrozumiał, znów mówił:

— Dalipan Poruczniku, jabym tego nigdy nie radził, ale jestże jaki środek obrony, jaka nadzieja? prawda, że to niebardzo przystoi dla dobrego żołnierza broń składać, lecz też nie taka hańba jak się na pozór zdaje, a przynajmniej można ją zmazać, niech tylko okazyja zdarzy się, a o nią w tej wojnie nie trudno, pokaże wszystkim pan Porucznik że nie z tchurzostwa kapitulował, boć przecie rąbać pałaszem jak inni, a nawet i lepiej od innych potrali.

Proste lecz rozsądne uwagi zdecydowały mnie wreszcie, już miałem zawiązać z dowódcą bandytów poufniejszą rozmowę, dotyczącą się warunków poddania: gdy szmer od strony łóżka pochodzący, zwrócił moją uwagę, ten szmer dla zwrócenia mojej bacności, czyniła biedna szalona: nazbyt zajęty własnym niebezpieczeństwem, zabaczyłem prawie całkiem o niej: siedziała na łóżku obwinięta w płaszcz, przytuliła się do kontka ściany, jakby obawiając się dostrzeżenia lub podsłuchania, na śniadej twarzy przestkach jasno wybijał, tem więcej jeszcze w czarnym dużym oku, zdawała się nawet przytłumiać obłąkanie umysłu, wracać siłę myśli, ocucać dawno postradany rozum. Gdy spostrzegła zem wzrok mój na nią obrócić, skinęła ręką abym bliżej przystąpił i szeptała:

— Na Boga! niewierz mu, niewierz im!

— Czemuż? dla czego?

— Niewierz, powtarzam, dobrze pamiętam co urządzili. Łaska z ich strony, to podstęp, chcą cię zabić, zamordować i ciebie i wszystkich twoich, tak samo przyrzekli i tamym dwóm.

Mogłemże nieufać biednej szalonej! alboż dotychczasowego ocalenia nie byłem jej winien? lecz co zrobić?

Z zewnątrz ponury głos Sennora Taddeo rozległ się: — Czas naznaczony upłynął, cóż postanowiliście?

— Będziemy bronić się!

— Bronić się! zmysły postradałeś człowiecze, masz że jaką nadzieję ratunku?

— W Bogu i w mej szabli ona!

Szydersko rozśmiał się: — a więc to twoje słowo ostatnie?

— Tak!

Krótki ten wyraz odpowiedzi, mocne zwiastujący postanowienie, zdawał się go dziwić i kłopotać, znowu coś z swojemi towarzyszami szeptał po cichu, wreszcie rzekł do mnie:

— Po raz ostatni zwracam się do ciebie, zastanów się co czynisz, chcesz że niby szalony bez rozważenia na pewną biedz zgubę, narażać na nią siebie i żołnierzy, niepojmujesz że obecnego swojego położenia, jest że jaki sposób ratunku, masz że nadzie-

ję pomocy, przysięgliśmy przecież że litość nad wami mieć będziemy!

— Toż samo mówili i tym, którzy zeszłego tygodnia przypadkiem jak wy tu zaszli, szepnęła obłąkana.

Natychmiast więc zatem odpartem: — Postanowiliśmy się bronić do ostatniej kropli krwi, możemyż bowiem zaufać waszej przysiędze, niezłamałżeście już jej nieszczęśliwym naszym towarzyszom, dajcie pewną rękojmię, a w tedy być może że zawiążemy z wami układy.

Ta odpowiedź zdziwiła i rozjątrzyła hiszpana — ha bies sam chyba mógł was ostrzedz, zawiadomić o tém co się tu stało, dobrze więc, róbcie jak chcecie! tak lub inaczej zginąć musicie!

Odstąpił na parę kroków od okna, załonił się murem, pomimo nocy cienia, dojrzałem jak sięgnął za pas po pistolet, jak wyprężył uzbrojoną nim rękę, i zanim zdołałem cofnąć się, już głuchy łoskot wystrzału rozległ się, okno izby rozprysło w kęsy strzaskane.

Wystrzał jednak, jakkolwiek wprawną poniesiony ręką, był chybny, kula zaświśla o cal nad moją głową i utkwiała w murze izby, sierżant zawołał:

— Zdrajca! powiedziałem że mu ufać niemożna, i z szybkością błyskawicy, z wprawą do jakiej zdolni byli tylko żołnierze Napoleona, owi żołnierze których każda prawie Europy stolica ze swoją szkodą poznała, zwycięzcy w bitwach bez liku, oswojeni z niebez-

pieczeństwem, i z zaradą na nie, niby z chlebem powszednim, owi żołnierze, którzy to w ładownicach swoich przyszlą łaskę marszałkowską a przynajmniej olicerskie szlify nosili, ujął pistolet, spuścił kurek, strzał jego celniejszy był niżli hiszpana, jakkolwiek zdawało się że na los szczęścia poniesion, jednora-zowo z swistem kuli, z szczękiem panewki, ciężki, bolesny, śmiertelny jęk z zewnątrz rozległ się, po-tem wykrzyk trwogi rozpaczego gniewu...

— Zabił go, Albato upadł, biada francuzom, krew za krew! Maladetta!

I ten wykrzyk hasłem był walki, opisywać jój przecież nie będę, a choćym chciał, czyż byłbym w stanie? była to walka o śmierć lub życie, walka zaciętej nienawiści z silnem postanowieniem obrony, albo raczej, był to bój rozpaczy, zemsty, z rozpaczą naturalną niebezpieczeństwa... zapomnieć go niesposób, od roku 1807 do końca władztwa Cesarza Napoleona, a więc lat 7 życia w ciągłych wojnach strawiłem. Bóg wie w ilu i w jak niebezpiecznych okazyjach brałem udział, znajdowałem się przy przejściu Samosiera, zdobyciu Tarragony, Sarragossy, odbyłem nieszczęśliwą kampanią 1812 roku, powróciłem z niej z trzema ranami od lanc kozaków Płatowa, z odmrożoną prawą nogą, ze stratą dwóch palców u ręki od mrozu w bitwie pod Lipskiem, tysiąc dział grzmiało obok; pod Montmirail samotrzeć przez cały szwadron Austryjackich huzarów przedzierać się musiałem, pod

Chalon zostawiony na straconej pikiecie, miałem przed sobą śmierć lub haniebną niewolę, te wszystkie walki jednak, niczem są w porównaniu z ową straszną nocą w Alta-Wieda, jej obraz ciągle wije mi się przed oczyma, nieraz nawet ze snu budzi, bo w marzeniach stoją na pamięci owe groźne śniade postacie wdzierające się oknami, owe oczy rozszalałe zemstą, gniewem, zdające się zionąć śmiercią, bluzgać krwią, w uszach brzmi tętno wystrzałów, dźwięk szablic, co zaś nadewszystko nasuwa się pamięci, owa okropna myśl jaka w tej godzinie bruździła po głowie, darła w piersi, ramieniowi siłę, rozpaczy odejmowała wytrwałość, owa myśl, niema nadziei, zginąć potrzeba, zginąć bez wieści i śladu i zemsty. . . .

A pierwszy wybuch owej walki, nie trwał jak minut pięć, sześcioma jednak latami, co mówię wiekami wydawał się dla mnie, dwóch żołnierzy poległo już, dwóch innych ciężko było ranionych, szczęściem że napastnicy skupionymi nie działali siły, lecz jak ich wiodła zemsta lub nadzieja łatwiejszego wchodu bez żadnego ładu i planu, dla tego opór nasz był silniejszy, i to pomogło też, że palnej broni a szczególnie ładunków mało mieli, inaczej uledez trzebaby było, a przeciwnie w walce terazniejszej, nie tylko że ośmiu i więcej może poległo z nich, ale nawet drugie tyle ciężko było rannych, i niezdatnymi do dalszego boju stało się.

Jednakże jakaż różnica sił naszych, pomimo prze-
ważnej straty ich jeszcze było ludzi trzydziestu, nas
dziewięciu zaledwie.

Otóż po sześciu minutach, przepłoszeni naszemi
szablami, ochłodzszy z pierwszego szatu, bandyci nie
z taką jak poprzednio nacierali śmiałością; spostrzegł
to sierżant i mówił śmiejąc się:

— Panu Bogu dzięki, nauczyliśmy ichmościów mo-
resu, upuściwszy trochę krwi, przywiedliśmy do upa-
miętania, spodziewam się niezadługo całkiem dadzą
nam pokój!

Omylił się jednak w przecuciu. — Na Świętego
Jakuba naszego patrona, bracia! czyż nie damy rady,
my Chrześcijanie i Asturyjczycy, garści poganów!
ozwał się głos gromki i dziki z zewnątrz, głos Sen-
nora Taddeo, hejże bracia! śmiało za mną! wszy-
scy na jeden punkt, do środkowej izby, środkowego
okna!

I w trop tego wykrzyku, dziesięciu przynajmniej
bandytów, z ponurem hiszpanem na czele, rzuciło
się pospołem do okna, szczęściem w sam czas razem
z sierżantem i jednym z żołnierzy podbiegłem, za-
brzękły nasze szablance, dwóch wrogów własną krwią
zbroczonych potoczyło się na ziemię, lecz dwóch in-
nych i Sennor Taddeo, do komnaty wskoczyli.

— Ha! mam cię więc! krzyczał on poglądając na
mnie, jego oczy iskrzyły niby zrzeniec kota, gdy ten
dziki zwierz wytropi zdobycz i ma się rzucić na nią,

podskoczył do mnie, w ręku silny żelazny błyszczący oskard, widać w walce poprzedniej utraciłszy szpadę, uzbroił się w to co mu podpadło pod rękę. Usunąwszy się na stronę, zmyliłem cios, nawzajem wzniosłem mą szablę, gdy jeden z hiszpanów sztyletem w prawą rękę mnie dosięgnął. Wypuściłem z ręki żelazo, dziki bandyta wzniosł znowu ciężką broń, zguba moja zdawała się być nieuchronną, gdy wierny sierżant nadbiegł, silny cios poniósł, ciężko ranny w głowę przywódzca mordów, upadł na ziemię. Ten wypadek na chwilę wstrzymał napastników, korzystał z ich pomieszania wiarus, popchnął mnie do sypialnej komnaty, sam tam poskoczył, a żołnierzom wykrzyknął:

— Bracia! co żywo, opuście wasze stanowiska, chodźcie za nami, w jednej już izbie bronić się będziemy!

Żołnierze szybko wykonali zlecenie, sam czas był, korzystając bowiem z wejścia do izby trzech towarzyszy, Gerylassy bez oporu prawie oknami skakali, izba pełną już ich była, pomimo tego z wyjątkiem jednego żołnierza, reszta wraz ze mną schroniła się do sypialni.

Oslabiony upływem krwi, usiadłem na łóżku, sierżant widząc mnie niezdatnym do boju, przyjął na siebie dowództwo. — Hejże! zatarasować drzwi! na łóżmy pod nie sprzętów co można, wołał: — rozkazy jego wypełniano skwapliwie, i w krótko silne dę-

bowe drzwi, pomimo przeszkody napastników, zaparte i zabarykadowane meblami w izbie znajdującymi się zostały.

Sierżant mówił mi:

— Co za szkoda, żeśmy od razu tego nie zrobili! mogliśmy bronić się bez straty, lecz co się przewlekło, nie uciekło, zdrajcy dość napocić się muszą, nim nas dostaną ależ pan Porucznik ranny, hej Jakub! ty umiesz bandażować rany, opatrz no pana Porucznika.

Jeden z żołnierzy przystąpił do mnie, zdjął mundur z rękawa, ranę obejrzał, hm! sztylet był diable szeroki, pomruknął, rana co się nazywa, dwa palce łatwo weszłyby; ależ to nic, niech pan Porucznik nie boi się, wszystko dobrze będzie, byłem przez dwa lata w szpitalu ordynansem, znam się na lekach. Wyciągnął prześcieradło z łózka, udarł z niego duży szmat, nasączył wina z manierki, przetaił nim ranę, ból był niedoopisania wielki, zniósłem go jednak cierpliwie. Żołnierz płótno podał na kęsy i obandażował mi rękę.

Bandyci dobijali się ciągle do drzwi, tłukli w nie sprzętami w poprzedniej izbie znajdującymi się, oskardami i szablami, wdzierali się do okna, lecz napady ich nie były silne, pojęli bowiem że postanowiliśmy bronić się do upadłego i że ta obrona łatwo teraz skupionym w jedno miejsce będzie. — Z za drzwi, pomimo łoskotu broni napastników, mimo ich gwar-

nej rozmowy, łatwo dosłyszeć mogliśmy okropny przenikliwy jęk i ucinkowe jakieś wyrazy w hiszpańskim wymawiane języku, — sierżant rzekł pocierając wąsa:

— Na licha! zdaje mi się że poznaję ten skomlący głos, niezawodnie wychodzi on z gardła Sennora Taddeo, poczęstowałem go moją szablą co się nazywa, ręczę że nie tylko krwi ale i mózgu zakosztowała.

Obejrzał wierne żelazo, szczerba znalazła się na niem;—ho! twardy czerep ichmościa, śmiejąc się wyrzekł, tem lepiej, wyleczenie trudniejsze będzie!

Hiszpanie poprzestali wreszcie napadu, owszem, jakaś cisza dziwnie uroczysta zawładła w izbie poprzodniej, zdaleka tylko jakby z zewnątrz domu kiedy nie kiedy rozległ się ów głos chrapliwy śmiertelny, konającego Sennora.

Niezawodnie wynieśli go z domu, chce umrzeć na świeżym powietrzu, wieczny mu odpoczynek, mniej będzie jednym łotrem na świecie, mówił sierżant, gdyby można zobaczyć co się dzieje z naszymi końmi?

Odsunął powoli sprzęty wzmacniające drzwi, przyłożył ucho do dziurki od klucza, ha łotry! mruknął, zdrajcy, usadzili się na zasadzce.

— Jako? pytałem.

— Kilku ich siedzi podedrzwiemi, rachują na to że zwiedzeni ciszą wyjdziemy, radziby w tedy do izby wdarli się, lecz ja nie w ciemę bity.

— Lecz co uczynim, konie straciwszy?

— Bóg to wie panie Poruczniku! djabła sprawa, ale czemuż niepowierzyć się opatrności? jest nas jeszcze siedmiu, bronić się więc będziemy mogli jakiś czas, o pomocy też wątpić nie należy, gdy Jenerał nieodbierze depezy, niezawodnie zawiadomi o tym Pułkownika, szukać nas będą, na trop wpaść nie trudno.

Wątlą podał nadzieję, ale to zawsze była nadzieja, pokrzepiła mnie, a co nadewszystko żołnierzy, z większem zaufaniem pośpieszyli do walki, bo bandyci znowu dobijali się do drzwi, oknami wdrzeć się chcieli.

Te ich usiłowania, kilka, do dziesięciu minut zabrały, bezskuteczne były, sierżant jednak nie był w dobrym humorze, wyraźny niepokój wybijał na twarzy i oku, nieraz przykładał ucho do drzwi, jakby ciekawo posłyszeć co się dzieje w uprzedniej izbie i do okna podchodził, nie tak dla jego obrony, jak żeby poznał nieprzyjaciół zamiary, zdziwiony pytałem go o przyczynę obawy:

— Ach! odparł, ichmościowie bryganci o czemś złem dla nas myślą, tak mnie się zdaje przynajmniej.

— Odparliśmy szczęśliwie ich napad.

— Tak, prawda, lecz sęk jak dalej manewrować zechcą, czy uważa pan Porucznik, nienacierają już wręcz, jak poprzednio.

— Tem lepiej dla nas!

— Tem gorzej, bo zapewno wynaleźli inny dogodniejszy dla siebie sposób, jakiś czas rozumiałem że od dachu zaczną, ale na szczęście izba sklepiona, długiego czasu potrzeba aby rozbić sklepienie. Czy słyszy pan Porucznik jaki tam dziwny rumor w środkowej izbie? wyraźnie znoszą do niej sprzęty i drzewo, co gorsza, raz i drugi zapalona głównia przed oknem błysnęła.

— Cóż tedy mniemasz? przestraszony nieco pytałem.

— Ha cóż! czy ich czasem niepokusiło лихо, użyć na nas manewru, jaki nasi strzelcy używają na lisów, wie pan Porucznik, gdy ten zwierz schroni się do jamy, niewywabisz go chyba dymem.

Domysł sierżanta bezzasadnym niebył, podstuchując uważniej i ja łatwo mogłem dosłyszeć w uprzedniej izbie, huk i szum, niby w stertę składanych szczapów drzewa, kiści siana i słomy, co większa głównie niepokojące wiarusa, coraz częściej połykiwały przed oknem.

— Dla Boga, wyrzekłem, trzeba się naradzić nad środkami dalszej obrony, gdyby istotnie ogień mieli podłożyć? — upiec się żywcem nie bardzo miło, lecz też popaść się w ich ręce także nieprzyjemnie, jesteśmy istotnie między kowadłem i młotem.

— Zróbmy wycieczkę.

— Gdybyśmy więcej ludzi mieli, byłby to najlepszy sposób, ależ z siedmioma, na równym polu, ścierać się z nimi niepodobieństwo.

— Tak, lub inaczej, zginiemy!

— Możemy przecież poczekać. Bóg wie, może też próżna obawa nas dręczy.

Niedługo jednak trzeba czekać było, w trzy minuty po ostatniej naszej rozmowie nie głównie lecz już iskrzyste światło pożaru błysnęło pod oknem, w uprzedniej izbie także rozległ się trzask i szmer niby szybko rozniecającego się ognia.

Wykrzyk zgrozy, rozpaczy i z mojej i z wszystkich żołnierzy piersi, wyrwał się, najdzielniejsi pobledli, zadrżeli, wypuścili z rąk szable. Więcej od innych zdawał się być strwożonym i przerażonym poczciwy sierżant, zbliżył się do mnie.

— Panie Poruczniku, zgadłem, wyrzekł z rozpaczą.

— Trzeba wyjść koniecznie, tu zostać nie sposób, spalą nas.

— Ha wyjść, lecz czy nie widzi pan co się tam dzieje na podwórzu.

Cały tłum okrótników, podłożywszy ogień, stanął niedaleko od okna izby, przy blasku coraz silniej wznoszących się płomieni, jasno widziałem dzikie srogie twarze, śmiejące się rozkoszą zemsty, zdawali się urągać naszemu przestrichowi i rozpaczy, brzęczeli w szable, w grube żelazne oskardy, wyrzucali w powietrze kapelusze i sztylety, a wykrzykiwali: Maladetta im, przeklęci francuzi, zginąć muszą... zginiecie, biada wam, i dodawali obelżywe wyrażenia

i radowali się, była to istna uciecha szatanów, na widok cierpiących grzeszników.

Wspomniałem już że sierżant, więcej od innych przerażony był tym okropnym wypadkiem. Istotnie stało się tak, opuściło go mężstwo i odwaga które okazywał dotąd, rozpacz była w oku, gruba łza toczyła się po mężkiem obliczu, — a zginiemy, niema rady, musimy zginąć, wykrzykiwał załamując ręce.

— Dla Boga! niepoddawajże się próżnemu żalowi, wyrzekłem, działać nam a nie trwożyć się wypada. Zwróciłem się ku żołnierzom, przyglądając się szerzącemu się coraz więcej płomieniowi, stali w niemém osłupieniu, bez rozpacz i skarg, ale też w pewnem rodzaju zwierzęcej obojętności, przemówiłem do nich:

— Koledzy, widzicie sami w jakim okropnym położeniu znajdujemy się, śmierć nam tylko zostaje, poddajmyż się wyrokowi Boga, lecz zginmy jak na mężnych przystaje, z bronią w ręku, na trupach zdrajców, uderzmy na nich!

Postąpiłem do okna, za mną wszyscy, pojęli mój zamiar, jeden i drugi szeptał:

— Tak, niema co mówić, dobrze radzi pan Porucznik, alboż my to nie żołnierze, nie Polacy, na biesa, nie poszczycą się bryganci że siedmiu szwoleżerów bez oporu spalili, nauczęm zuchwalców rozzumu.

Inni dodali brzęcząc w szable:

— Alboż, nie dla tego rodzi się człowiek, żeby umarł, prędzej czy później wszystko jedno, a milej przecież po rycersku z pałaszem w ręku, co tam zwlekać, już ogień zaczyna dogrzewać, hejże naprzód w imie Boga! bez pomsty nie zgińmy!

Byłem już blisko okna, uzbroiwszy lewą rękę w szablę, nie zwyciężyć lecz zginąć byłem gotowy, tak zginąć, byłaż bowiem jaka nadzieja, choćby najdrobniejsza szczęśliwego wypadku walki? jedno tylko życzenie tkwiło w duszy, jedną prośbę zanosilem do Niebios, a to, żeby nie popaść żywcem w ręce wrogów; to życzenie zrozumiał każdy przypomniawszy sobie z jakim okrucieństwem wiedzeni zemstą Hiszpanie, traktowali swych jeńców, ile im cierpieć kazali, za nim odebrali życie.

Przygotowanego już do wyskoczenia oknem zatrzymał sierżant: — panie Poruczniku jedno słowo.

— Co chcesz?

— Przebac mi, . . .

— Tobie przebaczyć, — lecz cóż? . . .

Głucho jęknął, otarł łzę w oku, — Poruczniku ja dzisiaj wiele, bardzo wiele zawiniłem.

— Ty, doprawdy niepojmuję cię, alboż niewypełniałeś swoich obowiązków jak przystało na dobrego żołnierza, owszem, aż do obecnej chwili, tobie szczególnież zawdzięczamy naszą wolność i życie.

— Tak, prawda to wszystko, niechwałac się, krwi znoju i ramienia nieskaپیłem, aby tylko błąd który

popęłniłem zatrzeć, i to nie jeden błąd tylko ale dwa, za każdy zaś pojedynczy nawet, według praw wojennych, pod sąd iść powinienem, haniebnie zginąć.

Zdziwionym zmierzyłem go okiem, na chwilę myśl przysła że straszny wypadek o szaleństwo przywiódł poczciwego żołnierza, tę myśl zrozumiał, szeptał dalej głosem ponurym: — o wiem ja co mówię, wiem dobrze, przyzna to sam pan Porucznik, albow na mém sumieniu dwie istotnie ciężkie winy nie ciężą, któż tu przywiódł naszych, czyż to nie ja byłem przewodnikiem orszaku, stary żołnierz, spostrzegłem że drogę zmyliłem, a głupi punkt honoru nie pozwalał do tego przyznać się; wprowadziłem dobrowolnie pana Porucznika i kolegów w tę jaskinię łotrów, potem gdy już tu stanęliśmy noclegiem, czyż dałem baczenie na rozkazy pańskie? usnąłem zamiast czuwać nad wspólnem bezpieczeństwem naszym, — stary żołnierz usnąłem! panie Poruczniku, otóż to co boli, dręczy, co dalipan spokojnie umrzeć mi nieda!

Głucho lkał — wyrzekłem z współczuciem litości.

— Ależ uspokój się, wyrzuć z serca niepotrzebne skrupuły, twój błąd sownie już męztwem i wyznaniem winy okupiłeś, nie tyś sprawcą okropnego położenia naszego, lecz zrządzenie losu, przypadek.

— O pan dobry! łaskawy, Pan tak mówi z umysłu, aby ostatnich chwil życia poczciwemu żołnierzowi nie-zatruwać, lecz ja dobrze czuję żem winny, żem zbłą-

dził. Panie Poruczniku błagam cię o jedno słowo — przebaczam ci, powiedz.

— I owszem, gdy tego chcesz, przebaczam!

Ujął ją rękę, przycisnął do ust, całował, zlewał łzami, potem do żołnierzy zwrócił się: — a wy koledzy! jakże!

— Eh, Marcinie, odpart z nich jeden, ocierając rękawem mundura łzę w oku. Eh panie Marcinie, Porucznik dobrze mówi, alboś ty tu co winien. Pan Bóg chciał, nie więcej, to głupstwo! twój błąd, któż na niego będzie uważał, kto w sercu ma chować urazę, nie trap się, nie biaduj, jeżeli skrewileś toż mimo chęci, koń ma cztery nogi a potknie się, z resztą, co było a nie jest, nie pisze się w registr, ot lepiej ujmij szablę do ręki i jak zakomenderował pan Porucznik, hejże na brygantów, dym i ogień coraz dokuczają więcej!

— O tak! pójdźmy, dziękuję ci kochany Jakubie, wyrwałeś mi cierń z serca, już teraz w spokojnem sumieniu będę mógł zginąć, będę mógł jak wypada na starego wiarusa bić się, zje licha ten co mi zajdzie w drogę, zobaczy czy łeb cały uniesie, chodźmy więc! Spójrział na mnie, uderzył się w czoło, ależ do stu szatanów ot proszę gdzie głowa? Idziemy bić się a zabaczyliśmy że pan Porucznik ranny, szabli nieudźwignie, lecz jest sposób na wszystko. Zwrócił się do żołnierzy, — bracia kamraci! weźmy go w pośród siebie, niech go żaden ani na krok nicodstąpi, przy-

siegnijmy, że raczej każdy z nas zginie, nim go opuści!

Chciałem protestować się przeciw opiece jaką nademną rozciągnęli, nieśłuchali wcale, jednomyślnie wykrzyknęli: dobrze mówisz sierżancie, przód nim o sobie trzeba myśleć o Poruczniku, zasłaniać go i bronić, a jeśli mamy zginąć, niech on zginie ostatni!

Z zapałem, z odwagą, której niesposób określić, rzucili się do okna, ich szablice błyszczały, oczy błyszczały również jak one, pojąłem że walka będzie zacięta, i gdyby choć najmniejsza była nadzieja zwycięstwa, niezawodnie bym jej całkowicie zaufał.. Tłoczących się do okna wstrzymał jeszcze sierżant:

— Bracia tak się nie godzi! czyż to my poganie bisurmani jacy, abyśmy mieli umierać nieporachowawszy się z sumieniem, z grzechami naszymi, niepoleciwszy się w opiekę Bogu i świętej naszej Patronce, Matce Boskiej Częstochowskiej, parę minut straty czasu, nikogo zrażać niepowinno.

Ten wyzyw w uroczystej chwili, krótkiego przedziału między życiem a zgonem, niebył bez skutku, jeden i drugi z żołnierzy kolano zgiął, inni modlili się stojąc, a wszystkich modły były zapewno szczerze, z serca szły, niesposób aby postuchania przed tronem Wszechmocnego niepozyskały.

Z zaokna ciągle dzikie, złowrogie dochodziły wykrzyki, w uprzedniej izbie, żar wzmagał się, trzaskał, wyraźnie czuliśmy jego skwar, po nad głowami na-

szemi również huk niby runącego dachu, ściany były rozpalone, dym coraz więcej wzmagał się, dusił, nie sposób było kilka minut dłużej w izbie pozostać, dla tego modlitwa była krótką, — znowu szable w rękach zabłyśły.

Lecz nagle orszak nasz zwiększył się jedną osobą, żołnierze pomimowolnie wzdrygnęli się, ta osoba bowiem niby cudem jakowym ukazała się między nami, przykryta była mym płaszczem, w jej oku szła obłąkania, twarz trupio-błada.

Była to biedna szalona.

Zapomniałem całkowicie o niej, czyż można było zajętemu okropną katastrofą pamiętać? i ona też zabaczyła o mnie, o wszystkim; dawszy przestrozę o której poprzednio wspomniałem, obwinęła się płaszczem, usiadła w końcu izby, i niedając baczenia na krzyki, wrzawę, bitwę, na szczęk szablic, zasnęła spokojnie, i niebyłaby się zapewne zbudziła, gdyby ściana do której przysunęła się, rozpalona prawie do czerwoności, nie parzyła nazbyt.

— Co to jest, gdzie jestem, tocząc martwym swym głosem na okrag, wołała, iskierka rozumu którą na chwilkę ocknął mój śpiew, zgasła już, już ona była tą co kiedyś za przybyciem naszym, obłąkaną, szaloną.

— Na miłość Boską! weźcież ją z sobą! wykrzyknąłem żołnierzom, ocalcie nieochybnej śmierci.

Jeden z żołnierzy, chciał skutecznie ten rozkaz, ujął nieszczęśliwą w silne objęcia, chciał za okno wy-

sunąć; nie pojmując jego pomocy, nie zważając na pożar, co naokrag jej szalał, huczał, trzaskał, w rozstrojeniu zmysłów, poczęła się szamotać, bronić a krzyczała.

— Ojczy ratuj! Sennor Taddeo ratuj!

Głos jej był dziko straszny, przenikliwy, nie tylko brzmiał w komnacie, ale na zewnątrz jej wydobyć się musiał. Hiszpańscy bandyci nagle umilkli, szalona znów w krzyki. — Ojczy ratuj!

— Seralita, Serafita! tam między niemi, rozległ się w trop tego wykrzyku inny z zaokna, wykrzyk Hidalgi, brzmiała w nim rozpacz, żal, ból, strapienie rodzicielskiego serca.

Szalona odpowiedziała na niego, swoim przenikliwym utyskiem, a silnem szarpnięciem wydobywszy się z rąk żołnierza, przyskoczyła do mnie, objęła w pół: — ty mnie ratuj! ty broń!

A pod oknem, nagle łoskotny szelest rozległ się, przeskoczywszy żar ognia, nagle w pośród nas stanął Hidalgo. Niezapomnę nigdy wyrazu jego twarzy i oka, tak był on dziki, tak doskonale malował wszystkie bolesne uczucia strapionego rodzicielskiego serca, poskoczył ku mnie, sądząc że to ja zatrzymuję nieszczęśliwą, wołał:

— Człowieku, miejże litość, miej zmiłowanie, co ona ci zawiniła, puść ją! Dłoń nieszczęśliwej ujął i dodał: „Serafito, Serafito pójdz ze mną, to ja jestem twój ojciec! ale obłąkanie biednej, czy skutkiem nagłego wzburzenia, czy nadzwyczajnego blasku pożaru, wzmogło się do wysokiego stopnia, ogarniona niem, nierozeznawała

już rodzicielskiego głosu, mnie tylko czepiała się, powtarzając swój wykrzyk: broń mnie ratuj!

— Per Dio immortale! jeśli choć trochę litości pozostało w waszych sercach, ludzie, pomóżcie mi ją wyprowadzić, wołał Hidalgo w rozpacz, czy nie czujecie jaki tu żar, jaki okropny dym, chcecież ją spalić, udusić, zabić?

Nagła niespodziewana scena, o dziwne wszystkich roztargnienie przywiodła, mieliśmy w pośród siebie najzaciętszego z wrogów, zdrajcę — człowieka, który z zimną krwią, bez litości zgubić nas pragnął, a przecież nikt nie śmiał i niechciał zaczepić go, jak przynależy ukarać, owszem, niektórzy z żołnierzy szczerze pragnęli mu dopomóc w wywiedzeniu z izby biednej córki, gdy sierżant który pierwszy przytomność umysłu odzyskał, wykrzyknął:

— Jezu, Marya, Józef! bracia koledzy! Panie Poruczniku! czy nie widzicie co się święci, czy niewidzicie że ocaleni jesteśmy.

— Jak to, co mówisz? machinalnie odparłem, istotnie że nie rozumiem.

— Alboż to niemamy między sobą naczelnika bandytów i jego córki! na biesa zobaczymy czy tamci za ścianą atakować nas zechcą.

Wyznaję że jeszcze niepojmowałem całego znaczenia uwagi i radości wiarusa, zwrócił on się do żołnierzy, wołał: Hola bracia! co żywo do okna! niewpuszczajcie ani wypuszczajcie nikogo.

Żołnierze machinalnie wykonali zlecenie, w samą porę ono przyszło, Hiszpanie garnąć się tłumem do izby poczęli.

Sierżant ujął Hidalgę za ramię, właśnie gdy ten uspokoiwszy nieco szaloną, chciał z nią oknem wyskoczyć.

— Ha zbrodniarzu! teraz cię mam, teraz musisz puścić nas wolno!

Hiszpan pełnym podziwu spójrzeniem zmierzył go, czego ty chcesz odemnie, co mówisz?

— Ja mówię że nie wyjdiesz stąd, ni ty ni twoja córka, dopóki nieprzyczeczesz że nas puścisz wolno, dopóki na to nie dasz nam pewnej rękojmi.

— Maladetto! zawołał Hidalgo, oko zaiskrzyło się groźnie, sięgnął za nadrze jakby szukając sztyletu, sierżant mówił spokojnym ale mocnym głosem:— Tak mój Senor, wet za wet, dotąd byliśmy w twym ręku, teraz ty jesteś w naszym: wypuścisz nas ztąd, pozwolisz pójść gdzie zechcemy, przebaczymy ci zdradę, przeciwnie, zginiiesz — decyduj się więc tak, lub nie?

— Lecz co mam uczynić, co chcesz, co każesz?....

— Natychmiast daj rozkaz swej bandzie niech odstąpi od okna, na dwieście, trzysta kroków przynajmniej, potem, powiem ci resztę...

— Hiszpan wahał się coby odrzec, nagle zbierając wszystkie siły głosu, wykrzyknął: — do mnie, do mnie bracia! ratujcie!

— Ah! tak więc jest, ponuro rzekł wiarus, zastanów się przecież co czynisz, przysięgam ci że wejście pierwsze-

go bryganda do tej izby, będzie hasłem twej śmierci.
— Zabij gdy chcesz, zabij zaraz, lecz nad nią, wskazał córkę, nad nią miej litość!

— I ona zginie!

Sennor zadrzał, koledzy jego gwałtem pomimo płomieni cisnęli się do okna, sierżant szablę wy dobył: — Słuchaj mnie Don, czasu do stracenia nie mamy, przeciw pożarowi i twoim bandytom bronić się razem nie sposób, jeżeli natychmiast stanowczej odpowiedzi nie dasz, cofnąć się swoim nie każesz, zginiesz!

Słowa jego stanowczym wyrzeczone głosem, przekonały wreście Hidalgę, dał stosowny rozkaz i cała banda z ponuremi wykrzykami zgrozy i groźby na paraset kroków odstąpiła od okna, — my na dziedziniec wyszliśmy.

Sierżant kazał otoczyć żołnierzom tak Hiszpana jak i jego córkę.

— Cóż myślisz czynić dalej, pytałem go.

— Jesteśmy ocaleni, wkrótce całkowicie bezpieczni będziemy, alboż dobrych zakładników nie mamy, lecz pan Porucznik pozwoli mi działać podług chęci?

— I owszem, z warunkiem że oszczędzisz szaloną.

— Ma się rozumieć, od niej bowiem zależy nasze bezpieczeństwo i życie: poczem zwrócił się do Hidalgi: — mój Don, aż do Ogunia przewodnikiem naszym być musisz.

— Człowieku, głowę stracisz do Ogunia, tam stoją wasi kwaterą.

— Powtarzam ci przecież, tak być musi, albo, brzękną w szablę, rozumiesz mię.

— Kto inny pójść może, dam ci dwóch, trzech nawet służących.

— Nie, ty sam pójdiesz!

— Toż przynajmniej puść wolno Serafitę.

— Nie, i ją biorę w zakład.

Hidalgo zgrzytnął zębami, jakieś przekleństwo poszepnął, ale oko sierżanta zbyt groźnie błyszczało, mocne postanowienie zbyt jaśnie w niem wybijało, aby mógł się sprzeciwić, rad nie rad, musiał nam przewodniczyć.

Tak więc ocaleni byliśmy!

Ad: Au: Kosiński.

M U Z Y K A.

Ppełne są wdzięku słowicze pienia,
Głos piękny z jego równają głosem;
Lecz ja wyższego chcę przeznaczenia
Jabym wzgardziła słowika losem!

Szczęśliwy komu śpiew z przyrodzenia,
Całego życia staje się chwałą!
Zyskał oklaski i uwielbienia,
Lecz mi i tego głosu za mało!

Za mało! nie chcę ja śpiewać jedna,
I w chorze innych nie chcę być wtórem,
Harmonija duszy nie odpowiedna,
Dusza chce sama być całym chórem!

W niej to brzmią śpiewy i śpiewu echo,
Gdy w te akorda serce uderzy,
Smutny się z dawną spotka pociechą
Nieczuły słysząc w duszę uwierzy!

Bo we mnie wszystkich uczuć odcienia,
Łzy i uśmiechy śpiew mój wywoła
Złym brzmi ponuro głos potępienia,
Dobrym śpiewają hymny anioła.

Gdy umrę — głos mój nie pójdzie zemną,
Śmierć straszna jemu nic nie uczyni;
Ach tego śpiewu moc niesmiertelną
Posiadł Bethoven, Mozart, Bellini!

Choć życie zgasło — w pięknych utworach
Dusza ich zawsze jasno goreje,
Śmieje się dotąd Mozart w swych chorach
Z Normą Bellini dotąd łzy leje!

Ileż to głosów w jedno się zlewa,
Ileż się dłoni połączyć zdoła,
Nim dusz tysiące wszystko wyśpiewa,
Co *jedna* dusza w sobie pojęła?

Taki mieć geniusz jak ci mistrzowie,
Jak oni między ludźmi się wślawić,
Z przeszłością w takiej rozmawiać mowie,
Przyszłości imię swoje zostawić!

To dawno było mojem marzeniem,
 Nie raz dumając jedna wieczorem,
 Zbudzoną jestem mej duszy pieniem,
 Kiedy uczucia brzmią wielkim chorem!

Lecz jak w letargu człowiek choć czuje,
 Nie ma dość siły by wstać na łożę,
 Tak i pieśń moja co mi wtóruje,
 Więziona w duszy—zabrzmieć nie może!

Gabryella Günther.



PALIWODA I ZAWALIDROGA

Wyjątki z Gapiografii powszechniej.

Wielki ten naród gapiów, rozsypany dziś z żydami i cyganami zarówno po całej kuli ziemskiej, niewątpliwie pochodzi od dzieci Lota, którego żona jak wiadomo zagapiła się na pałacą Sodome: potomkowie tej nieszczęśliwej, wzięli zupełnie jej naturę; gapią się gdy potrzeba uciekać, gapią gdy trzeba działać, gapią gdzie ich nie proszą, gapią ze swoją i cudzą szkodą *e sempre* gapią. Gapiostwo jest ich charakterem odznaczającym, klejmem który im natura wybiła na bokach.

Wielki ten naród gapiów, dzieli się na mnóstwo pokoleń, ras, rodzajów.

Do gapiów należą wszyscy poeci, którzy się gapią na ideały; nie widząc rzeczywistości, to klasa pierwsza, — Gapie olbrzymy.

Do nich liczyć także można artystów, a zwłaszcza tych co życie całe roją, a nie robią.

Do nich kobiety szukające idealnej miłości i heroicznego przywiązania; ludzi zaprzędanych teorii jakiej wyłącznie, i jednostronnie zagapionych: do niej jeszcze tych co zawsze rachują na przyszłość, nieumiejąc nogi postawić w terażniejszości, do nich *numerus est infinitus*. Potrzeba by w pomoc wezwać, jaką formułkę systematyczną, aby w jej kluby ująć tę całą rozmaitość i w ramach jej pomieścić.

Ponieważ według nas wszystko się dzielić powinno tetratomicznie, zatem i gapie także czworako się nam uklassyfikują.

I. Gapie *simpliciter*, ale olbrzymi w swoim rodzaju, nedorównani, np. poczciwy ten Lafontaine. Ludzie zaprzętnieni zawsze jakimś swej myśli pożarem tak dalece, że niewiedzą co się z nimi dzieje. Wyżej wymieniony dostojny Lafontaine nie mógł z pewnością powiedzieć czy był żonaty, i z wielką przyjemnością dowiedział się że miał osiemnasto-letniego syna. To dowodzi że gapiostwo nie staje na zawadzie jeniuszowi i kombinuje się z nim łatwo.

II. Gapie w sobie zawarci, sobą żyjący, egoiści gapie, ludzie—tudzież którzy z *Ja* nie wychodzą i wszystko niem mierzą.

III. Gapie czynni: którzy wciąż cisną się działać, ruszać, mieszają do wszystkiego, wadzą wszędzie, nic nie robią, ale nie zrażeni niepowodzeniem, gotowi są zawsze na nowe przedsięwzięcia. Ich czynności cechą jest to, że ani środków, ani celu nie pojmują. Robią

byle robić, a co? a jak? a dla czego? o to im najmniej chodzi.

IV. Gapie-głupcy, w kontemplacji żywota ludzkiego, niepojmując go żyjący. Szczęśliwi! o! najszczęśliwi. Wystawcie sobie kogoś co by kilkadziesiąt lat z uśmiechem na ustach mógł patrzeć na swawolne ruchy marjonetek — Tak właśnie właściwi gapie patrzą na nas. Życie jest dla nich zagadką niepojętą, ale ciekawą i dosyć zabawną.

W tych czterech powyższych kategoriach mieści się cała gapiów rozmaitość.

Oddział trzeci. Poddział trzeci.

Postać pierwsza.

PALIWODA.

Wybornem tém imieniem, *vox populi* nazywa człowieka, który nie rozumie przeszkód, nie pojmuje izby co było niepodobnego, rzuca się na to co mu myśl wskazuje i gotów jest *wodę palić*.

Paliwoda jak najmniej rozumuje i dystyluje *cel*; środki czerpie w natchnieniu, nie w rozwadze, leci zapamiętale, gorąco, szybko; a co najśliczniejsza, nigdy się niczem nie zraża. Oto jest z bardzo autentycznych dokumentów biografia jednego Paliwody, przodka te-raźniejszych wszystkich, który był rodem Mazur.

Paliwodowie używają, pisze mój autor w manuskrypcie, herbu Zadora, alias Płomieńczyk, którym się

od niepamiętnych pieczętują czasów. Filip Paliwoda, urodził się w roku 1575; wychował u Jezuitów, a pierwszy raz ukazał na polu rycerskiem około 1600. Opisać jego rycerskie czyny, nie jest podobna. Cuda walczności jego częstokroć uchodziły za dziwne głupstwa, tak dalece, obyczajem wszelkich wielkich czynów, niepojęte były. Dwa razy w Inflantach wzięty został w niewolę, bo zapędziwszy się dał otoczyć nieprzyjacielowi i odciąć od swoich, raz trzeci poszedł zamyślony do obozu niedaleko rozłożonego i sam wpadł w ich ręce. Dwadzieścia i osiem razy wyzwany został na rękę i pokieraszowany tyleż razy, gdyż w pojedyńkowym boju, rzucał się jak lew, nieostaniając, i nieumiejąc żadnego użyć fortelu. Żadna ucztą nie skończyła się żeby językiem kogo (bez myśli) albo ręką nie dotknął. Obrażony nie darował łatwo, ale za pierwszym ukazaniem chęci ku zgodzie, całym sercem rękę podawał. W przyjaźni był serdeczny, ale niestały: w nieprzyjaźniach zajadły, ale nie uparty. Słowem najlepszy człowiek; a czegoś mu przecie brakło — na to się wszyscy zgadzali.

Odbywszy rycerską nie jedną wyprawę, zwrócił do domu, czując potrzebę spoczynku. Na pierwszym wstępie powaśnił się z bratem, bo mu się zdało, że w niebytności jego, brat tam coś sobie z ojcowizny przywłaszczył. Otoż process między braćmi; ale przyjaciele wspólni zachęcają do zgody, sprowadzają, zbliżają, godzą nareście.

Tym czasem Filip już się *stante pede*, a nawet jeszcze nie *stante*, bo jedną nogą w strzemieniu zakochał, po staremu mówiąc *zaszlapał*, w tydzień oświadczył rodzicom i niedługo czekając ożenił. Pokazało się potem, że we wszystkim jakoś nadto się spieszył, bo i dziecię mu się w pięć miesięcy urodziło. Zresztą pierworodnym to się trafia! Po pięciu tedy miesiącach poróżnili się z żoną, Paliwoda porzucił ją i związał się z rokoszanami, którzy sami podobno niewiedzieli czego chcieli i w mniemanej Zygmunta III. wyrrywając się absolutności, szli pod niemniej absolutną panowania panów, którzy ich w rokosz wciągnęli. Paliwoda z innemi rokoszanami, wocyferował zapamiętałe i bił się partyzancko wściekle. Ale zaraz się rychło rozpatrzył, że rokosz był nic wart i jak do niego przystał, tak od niego odstał pręciuteńko. Była to chwila w której jakoś napłynęło nam z Czech wygnanych protestantów, Paliwoda dał się ułować na nowiaki reformowanych, poznał się z Comeniusem, wyrzekł się zaraz dawniej wiary i myślał nawet ministrem zostać. Ale nim to nastąpiło rozpatrzył się w reformie, że nie było w niej wiele sensu. Począł więc chwiać się, i stopniami idąc, doszedł do Socynjanów i Arjan, na ostatnim tym szczeblu reformy upamiętał się, splunął, i powrócił na Mazowsze razem i do dawniej religii. Pogodzili się nawet jakoś z żoną, ale znowu na krótko. Paliwoda poszedł bić Tatar z Żółkiewskim: niedoszedłszy jednak do Dniestru, zawrócił. Pomiarkował bowiem, że Tata-

rowie strzelają zatrutemi strzałami i znają na czarach; z djabłem zaś do czynienia nie mieć nie chciał i z trucizną także. Wraca do domu; w drodze napadniony od zbujów, broni się im mężnie, ranny kilkakroć, pozostaje w domu litościwego szlacheica. Tu nowa miłość, nowy bój, i nowe przedsięwzięcia. Postanowił iść na Ruś. Idzie z wojskami i pada w pierwszej bitwie...

Taka jest relacja Manuskryptu. Syn Filipa, Filip drugi Paliwoda cztery razy przechodzi na coraz nową wiarę, bije się w kilkunastu pojedynkach, wocyferuje na Sejmach, z których dwa zrywa, żeni się trzy razy, a zawsze dość nie fortunnie, ginie od nieumiejętnie leczonej choroby, którą wówczas *Przymiotem* nazywano. Sliczny *Przymiot!* w istocie! — Cały ród Paliwodów w tym sposobie, żyje i nakształt umiera, aż do naszych czasów — Skreślił tu jeszcze rys życia ostatniego, którego mieliśmy szczęście znać osobiście

Oddział trzeci. Poddział trzeci.

Postać czwarta.

ZAWALIDROGA.

Zawalidrogowie, stara i dobra familija, noszą w herbie który ich imieniem się nazywa, ogromną kłodę leżącą w czerwonym polu. Jest to symboliczny wyraz ich charakteru i przeznaczenia. Zawalidroga wszędzie

jest na zawadzie, wszędzie go nadto; z najlepszem sercem, z najpiękniejszymi chęciami, czego się tknie, to wyróci, uszkodzi, popsuje. Jak Paliwoda, cienki jest, smukły, ogorzały, łysy prędko, oczy ma pospolicie czarne, ruchy żywe; tak Zawalidroga przeciwnie ocięzały, otyły, rumiany i wiecznie pewien w sobie że każdemu największe dopełnia posługi, nawet gdy najpiękniejszej komu przez swą niezręczność zaszkodzi. Zawalidroga nie ma pamięci, ale za to ma serce najlepsze, nie ma wiele rozsądku, ale czułość wygórowaną.

Zawalidroga znajduje się niechybnie wszędzie, gdzie go nieoczekują i nieproszą: opowiada co powinien zamilczeć, milczy o czem był powinien oznajmić. Oto kilka przykładów. Bogaty Stryj po którym miał dziedziczyć, zwykł spać parę godzin po obiedzie, pod tym przynajmniej pretextem nikogo nie wpuszczają do niego. Nasz Innocenty przyjeżdża, wpada: i niewiem co tam zobaczył, ale skonfundowany trochę wychodzi. Na dal traci łaskę i puściznę rozpisaną na ubogich.

U państwa Z. prosto z Warszawy jadąc nocuje, jest świadkiem przyjazdu kupca, który targuje wełnę kilkoletnią; widzi to i milczy, aż dopiero po zawarciu kontraktu i odjeździe handlarza, oznajmuje że wełna niezmiernie poszła w górę. Można miarkować jak mu byli wdzięczni. U sąsiadki śmiertelnie chorą mówi o balach projektowanych na Zapusty, u gotujących się na bal, opowiada szczegóły śmierci sąsiadki. Przy ciągnącym bank podpółkowniku R. anegdutki o sławnych

szulerach, zwykł mawiać bez najmniejszej myśli, aluzji. I tak wszędzie. W dzień swojego wesela założył się że wlezie po drabinie na dach lamusu, spadł i nogę złamał; umarł w wilją wiadomości o ogromnej sukcesyi, która na niego spadła.

Zawalidroga (żyjący zawsze w licznym potomstwie)—towarzyszy niechybnie kochankom, wybierającym osobny kątek salonu dla rozmowy, lub odleglejsze miejsce na przechadzce; na wielkiem polowaniu na grubego zwierza, strzela przed puszczeniem psów do sójki siedzącej na drzewie; lubiących samotność lub pracę bawili dnie całe, tygodnie, miesiące, pod pozorem rozerwania. Słowem jest wszędzie, gdzie by być niepowinien, czyni czego by zrobić nie należało. Pewien gatunek Zawalidrogów przywiązuje się stale do jednych osób i jak choroba nieuleczona, chroniczna, prześladowuje. Każdy ma lub miał swego Zawalidroga. Po miastach żyje ich wielu, mniej podobno jest na wsi, ale to pewna że jak muchy, wszędzie się znajdują. Z muchami i komary to mają wspólnego, że niczem się odpędzić nie dają.

J. J. Kraszewski.

SIEROTA.

Skorom tylko pierwszym płaczem
 Powitał ten nędzny świat,
 Już sierotą — już tułaczem,
 Od najpierwszych byłem lat;
 Bo Matka, co mię powiła
 Me życie — swem przypłaciła.
 I nie było dla sieroty
 Matki serca, ni pieszczoty.

Krewni biedne to pachole
 Na opiekę wzięli swą,
 I przy swoim szczupłym stole
 Dali pokarm wraz ze łzą
 I kazali żyć biednemu
 Bóg wie na co — Bóg wie czemu?
 Bo nie było dla sieroty
 Matki serca, ni pieszczoty.

Kiedy w towarzyszków gronie
Na igraszce zbiegłem błoń,
Matki tuląc ich przy łonie
Ocierały z potu skroń; —
Ja sam jeden stojąc z boku
Gorzką łzę tłumilem w oku,
Bo nie było dla sieroty
Matki serca, ni pieśczoćy.

I z dzieciństwa w pancierz wzgardy
Pierś mą wcisnął dumny żal,
Na pociski losu twardy
Jak żelazo — kamień — stal.
Zimny w pośród świata stałem,
Miłość — czucie — ideałem
Były tylko dla sieroty
Co bez matki — bez pieśczoćy.

I z młodości srogie bole
Wrzały w biednym sercu mém
A głębokie zmarszczki w czole
Wyrzył smutek dłutem swém.
I chodziłem w mej żalobie
Tam na matki płakać grobie
W nim schowane dla sieroty
Matki serce i pieśczoćy.

O myślałem że w boleści
Trza przeczłgać pasmo lat,
Że już serca nie popieści,
Chyba jeden smutku jad.
W tém Bóg zesłał mi anioła
Co mi spędził smutek z czoła,
Co ma w sercu dla sieroty
Matki miłość i pieśczoćy.

Dzięki! dzięki ci Aniele!
Matko moja, błogo mi!
Zamiast smutku już wesele
W dawniej łzawem oku łśni. —
Zgładzone rączką anioła
Znikły zmarszczki z mego czoła
Bo masz w sercu dla sieroty
Matki miłość i pieśczoćy.

Ж. Гајда.

KINDZAŁ

z Rosyjskiego z *Lexmoutowa*.

My nierozłączym się kindzałe mój
 Mój przyjacielu świecący a chłodny,
 Ponury Gruzin kował cię na bój,
 Ostrzył na wolny bój Czerkies swobodny.

Podany ręką pieśczoneą lilijową,
 Na znak pamięci w dzień rozstania, mnie,
 Raz pierwszy nie krwią, lecz łzą brylantową
 Cichą łzą żalu, tyś ubroczył się.

Jój czarnych oczu ogień pałający,
 Trwogi i smutku wzrok jój we mnie tkwił;
 Jak stal w płomieniu ciemny, to jaśniający,
 To mgłą zachodził to się ogniem skrzył.

Dany na zakład serca drogocenny,
 Ty mi bądź wzorem w trudnych życia dniach,
 Jak twa stal zimny, jak twa stal niezmienny,
 Żelazny bracie nie ujrzysz mnie w łzach.

Geofil Lenartowicz.

OLSZTYN,

WSPOMNIENIE HISTORYCZNE.

Smutno wspomnieć, czém dawno te zbutwiałe były,
Czém te gruzy niegdyś były!
Na czole owej opoki,
Pyszny zamek swą głowę dzwigał pod obłoki.
Gdzie na owych filarów poure zwaliska,
Ściera się bluszcze rozwite,
Gdzie blask purpur zachodnich do komnat się wciska,
Przez owe okna wybite,
Może ojciec szlachetny we łzach oko pławił,
Gdy pierwszego z walecznych synów błogosławił.

(z elegii Matissona.)



szelakie pomniki starożytności poczytaćby można, za drzewo genealogiczne narodu, bo w nich się znajduje prawdziwy klejnot szlachectwa umysłowego. Dzieła te sztuki zdumiewające dziś jeszcze gustem, wykończeniem, a nad wszystko religijnością, najlepiej świadczą żeśmy nie od wczora wzrosli, i że na naszej ziemi niebrakło ludzi znakomitych wielkimi pomysłami, nauką, lub talentem; z dzieł i spraw których, o rzeczywistości przekonywamy się.

To przedślowie niechaj będzie wstępem do opisu, jednego z historycznych grodów.

Olsztyn, albo Olsztynek, dawniej leżące w powiecie Lelowskim, a dziś w powiecie Olkuskim, niegdy policzone do województwa Krakowskiego, obecnie do gubernii Radomskiej wcielone, od Częstochowy o mil dwie odległe miasto, bliskie jest rzeki Warty, i miasteczka prywatnego Żarki, sąsiednie Szląskowi, słynne hutami szkła, kuzniami żelaza, i lasami niegdy obszerne

Samo brzmienie nazwiska objawia, iż miejscu temu nadała początek osada niemiecka, jakoż kronikarze nasi mianują go *Holstein* (1).

(1) Piotr Opaliński pisał się r. 1545 Magister Curiae: Capitaneus in Holstein.

Utrzymuje Hugo Kołłątaj, że w krajach Polski zostały się wielorakie osady niemieckie, z bardzo dawnych czasów pochodzące. Za przykład przytacza Holsztyn, Landskrone, Melsztyn, Landshut, i inne na pograniczu leżące zamki, a przy nich miasteczka takichże nazw pozakładane.

W Warmii jest podobnego nazwiska miasto Olsztynek, albo Olsztyn, Holsztyn, u Niemców zwane Allenstein, nad rzeczką Allą, obecnie do regencyi królewieckiej należące, niegdy umocnione zamkiem, i w roku 1367 zbudowane, stanowiło łącznie z 70 wsiami okolicznymi uposażenie Kanoników katedry w Frauenburgu. Władysław Jagiełło zdobył takowe r. 1414 na Krzyżakach, razem z innymi grodami Warmii. Roku 1657 wszczęty tu pożar wiele przyniósł szkód, później atoli miasto do pierwszego stanu swego przyszło. Przemieszkiwał niegdy wielki Kopernik sławny ów astronom, a razem kanonik katedralny w Frauenburgu w Olsztynie, i miał w tym miejscu gwiazdowaźnią swoją. Mieszkanie jego na teraz zajmuje pastor ewangelicki.

Nazwę miasteczko to wzięło od zamku istniejącego na górze, u którego podnoża rozciąga ubogie swoje mienie, wśród zsepów piasku, i nieurodzajnego gruntu (2).

(2) Kazimierz IV Jagiellończyk, przywilejem roku 1488 wydanym pozwolił u podnóżka zamku założyć miasto *Olsztynek*, i w tym celu przeznaczył 140 łanów, z tych dwa na wystawić się mający kościół, cztery zaś dla dziedzicznego wójta *Pawła z Szczekocin*, w ow czas dzierżawcy zamku. Uposażył powstające miasteczko dochodem z łązi, dozwolił pobierać szósty denarz czynszu miejskiego, a trzeci od kar przysądzonych. Obdarzył mieszczan prawem niemieckim, ustanowił targ jeden w tygodniu, uwolnił osiadających przybyszów od danin, czynszów, podwód, stacy, i wszelkich podatków na lat 24. Mimo nadania takich swobód, miasteczko jako położone w trudnych do przebycia piaskach, pozbawione przemysłu, jarmarków zaledwie dwa liczące, to jest, w poniedziałek po *Ś. Stanisławie*, i w tenże dzień po *środoście*, w biednym jest dziś stanie, budowle jego są z drzewa, jeden tylko kościół parafialny z muru wystawiony, cenniejszą jest budową w miasteczku, ile gdy zamek niegdy jego ozdoba zamienił się w stopy gruzów i zwalisk, leżą one w stronie wschodniej miasta, słońce wchodząc na horyzont, pierwsze promienie swoje rzuca na nie, a przez to użycza im chwilowego blasku.

Obecnie w roku 1846 liczy chrześcian 425, mieszkających w domach 91 z drzewa, ubezpieczonych w Towarzystwie ogniowem w summie złotych 26,050. Dochód kassy miejskiej wynosił w roku zesłem zło. 1400. Fabryk nieposiada, ma tylko szewców 12, krawców 2, kowali 2, stelmach 1, w ogóle 17 rzemieślników.

Władysław Łubieński w swęj jeografii powszechnęj wyszłęj z druku r. 1736, policzył Olsztyn do województwa Krakowskiego, i taką o tym grodzie uczynił wzmiankę na str. 414. „Olsztyn ma starostę bez jurysdykcyi, przyozdobione zamkiem na górze nad rzeką Wartą.”

Całą jego ozdobę stanowią okoliczne skały, w rozmaitych kształtach nad powierzchnią ziemi sterczące, jak niemniej zwaliska i szczątki starożytnego zamku, który na ogromnej skale panującej miasteczku zbud-

Starostwo tutejsze było jedno z obszerniejszych, należały doń miasteczka Stara Częstochowa, Przyrów, i liczne włości okoliczne.

Fr. Karpiński w opisie podróży swojej odbytej r. 1788 do Krakowa i jego okolic, wspominał:

„Olsztyn miasteczko i zamek przy nim na wysokiej górze, już rozwalony. Dwie tylko baszty pozostały, z których jedna niezmierną wysokością grozi jeszcze, już nie Szlązakom, dla których na pograniczu posadzona, ale przejeżdżającym pod górą gościnnym.”

Obaczmy teraz co Lustracye starostwa o tem miejscu podają: Z nich najdawniejsza r. 1564 mówi:

„Pithani wiele mieszczan od tego czasu osiadło i wiele czynszu placzą, powiedzieli, że ich niemass wyęczej thilko 24, mają rol potrossze czo sobye przikopali, ale czynszow zadnich nieplaczą, ani z ról, ani z domów, ani z ogrodów, thilko posługi do zamku wirządzają, tho iesth, podrosz piesszo, w lowi s sziecziami, każdy dzień plewidło.”

Lustracya późniejsza, bo z roku 1660 opiewa:

„Opowiadały się mieszczankowie, iż nie mało gruntu piasek im pozasiłował, z którego jednak podatki wszystkie i ciężary Rpltej, lubo użytku niemają, ponosić muszą.”

Lustracya z r. 1789 wyraża:

Starostwo to niegrodowe w possessyi jest J.W. Stanisława Soltyka Podstol. kor. Mieszczanie mają wolną propinacją przez licytacją i wręb w puszczech król: na opał, i budowla. Do naprawy grobel i tamów wychodzić powinni. W lasach gdyby się pożar ognia miał okazać, każdy z osoby swojej wysłać obowiązany do bronienia, a gdyby który nie wysłał, podpadać będzie karze grzywien

wany, stanowił niegdy obronne i trudne w swoim czasie do zdobycia miejsce. O tój to warowni odwiecznej wiadomość niniejsza zajmować nas będzie!

Od niepamiętnych czasów na wzniosłem skalistem wzgórzu, lasami porośłem wznosił się zameczek zapewne zbudowany z drzewa, i palisadami otoczony, zwyczajem dawnych wieków, takowy Kazimierz W. ów gospodarz rządny i troskliwy, o losy kraju berłu swemu poruczonego, zwaliwszy, wybudował w miej-

trzech. Powinni mleć w młynach nie innych jak starościńskich za oddaniem miarki prowentowi starość:, a gdyby który był postrzeżony w obcym młynie mleć, obowiązany będzie oddać miarkę do prowentu: Mieszczanie płacą corocznie łojowego i łopatkowego zł. 12, garcowego zł. 2 rolnego czyli zagonowego płacili dawniejszemi czasy zł. 130. JW. Starosta zapobiegając całości lasów, uchylił ich od kopania niektórych i zmniejszył im płacy rolnego zł. 60. Aże my spostrzeżliśmy niwy przez mieszczan wykopane i uznaliśmy więcej bydź użyteczuemi na lasy, niżeli na pola orne, zaczym nakazujemy, tak mieszczanom, jako i JW. Staroście, aby więcej nie sieli tych niw, ale całkiem na lasy ich zapuścić. Przez wielość piasków okrag miasta otaczających, dla wstrzymania onych zalecamy, aby mieszczanie szarwarki ułożywszy, wierzbami lub inną drzewiną zasadzali jak najwięcej, i konserwę zachowali, aby bydło niepsuło. Nieposłuszny zaś każdy w rekwizycyi grzywien 6 podpadać ma, a takowe na naięcie nacienników do sadzenia drzew obrócone bydź mają. Starostwo wojtostwa, i wszystkie królewszczyzny wnoszą do skarbu koron: na rok złotych 34,760 gr. 20.”

Wypis z dzieła: Starożytna Polska, opisana p. Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego, w Warszawie 1844, w dr. Orgelbranda T. I. Str. 116 — 118.

scu jego mocną warownią basztami, wieżą wzniosłą, i murem okolnym bronioną, której położenie samo sprzyjało dla wstrzymania napadów pogranicznych Ślązaków, skorych do grabieży sąsiadów.

Góra, na której dotąd wznoszą się, albo raczej sterczą szczątki zamku tego, najezona jest ogromnemi skałami, te połączone niegdy murem, stanowiły w upłynionych wiekach krzepką twierdzę. Pozostałe jej ściany grube są na stóp dziesięć, a ogromne zwaliska cegieł i kamieni utrudzają do nich przystęp, rzadki też wędrowiec kroki swoje wewnątrz w wiedzie, raczej samo nocne ptastwo i gady obrały sobie opuszczoną warownią za siedlisko. Lustracya z roku 1564 o tymże grodzie opiewa:

„Urząd Stharoszcziński okazał skalę iedną na kthorei palowicza zamku, ku bramie sthoi. A isz iesth tha wszithta skala z przyrodzenia klowthami i na wielu mieszczach czeza, bo w niēi są jamy, dla tego ją *Olsthain* przewano, thedi od wiathrow a od niepogoth one klowthi między skalą kthore są przerasthale drobnim kamieniem, wikruszaią sie i wipadaia. Za czym się skala rozstempuie i posiada na doł. A za thim thesz muri, kthore na niei sthoia, thedi się iusz na wielu mieszczach porisowali. Acz z iednei sthroni podpasano filarem nowem, alie thrzeba prętko lepszei rady dacz i opathrzenie około thei skali.“

Z później odbytej starostwa Olsztyńskiego lustracyi, to jest w roku 1660, lat temu 186, okazuje się, iż

wów czas gród ten znacznie był nadwierzony, a zostawiony bez należytego opatrzenia, coraz więcej niszczał. W ogule wewnątrz zamku jest stosem dziś gruzow, mury zewnętrzne także mocno uszkodzone, z potężnej bramy łomy tylko ujrzyć, pozostała jedynie acz wyszczerbiona wyniosła okrągła wieża, i części kwadratowej baszty, te natrzasać się zdają z mocy czasu, który ich pożyć niemoże. Zwaliska te upoważnione wiekami, ozdobne położeniem miejsca, usposabiają wędrowca, przeszłości badacza, do tkliwych i rozrzuwających myśli, przemawiają one do serca i duszy, o znikomości wszystkich i największych mamideł świata, a zaskugują na uwagę z powodu dawności swojej.

Odświeżmy zdarzenia tu zaszę pamięci naszej, atoli przytoczone jedno z najdawniejszych niebędzie sercu naszemu miłe, bo dzikość przebija się w tle jego, lecz niestety! dajmy przebaczenie wiekowi, i potrzebie owego barbarzyństwa. (3)

(3) Lubo Władysław Łokietek, uimałych dopełnił starań wedle dobra kraju polskiego, i różne, i dość liczne ogłosił ustawy, ukrzepiał prawa, i dopełnienia ich dopilnował, wszelako nie w każdym razie usilności jego swój skutek wziąć i osiągnąć mogły, i urządzenia nazbyt jeszcze nowotne były, ażeby szczególnejsze czuwania i ponawianych umocnień nie miały potrzebować. W początkach mianowicie panowania swojego nasrożył się syn jego Król Kazimierz III, gdy z jednymi biesiaduje i towarzysko żyje, wtedy ich braci, krewnych ścinał, topił, lub *głodem karcil*; tak bowiem niezważając na dostojność osób, tym sposobem gwałty, kradzieże,

I. W roku 1358 (lat temu 488) osadzony został w zamku Olsztyńskim Maciej Borkowicz, wojewoda poznański, herbu Napiwów, za popełniane rozboje. Mówi Naruszewicz: „zginęło z rąk jego wielu ludzi szlachetnych. Upomniany od króla Kazimierza W. dał na siebie pismo potwierdzające dawniejszą wierność przysięgę, lecz że słowa nie dotrzymał, usłyszał wydany na siebie wyrok śmierci niestłuchanej. Albowiem wtrącony w Olsztynie, do głębokiej wieży, niemając innej strawy, prócz wiadra wody, i wiązki siana, z głodu, własnego ciała wściekły pożerca, nędznie umarł (4).

i rozboje karał. A gdzie odkrył potwarców, tych piętnowaniem wzgardzie powszechnej, podawał. I wkrótce ubodzy byli zabezpieczeni od możniejszych napastnictwa. Tem sposobem dopiął tego, do czego ojciec dążył, i w czem działanie mu ułatwił. *Archi. Gnezn. in ser. Sil. Som. T. II p. 97, i Początkowe prawo dawstwo polskie cywil. i Kryminal. do czasów Jagiellońskich. Warszawa, w dr. ks. Pijarów 1828. str. 364.*

(4) Bielski w kronice ks. II str. 77 tak zdarzenie to opisuje: „Lata 1358 Maćko Borkowic, h. Napiwów, (którzy mieli głowę jelenią z rogami, a między nimi wilka szarego w polu żółtym) będąc wojewodą Poznańskim, był pojman z rozkazania królewskiego w Kaliszu, o to, iż przechowywał zbójce u siebie, (którzy się byli bardzo na ten czas w Polsce zawiązali, ale ich Kazimierz uskromił) przyniesiono go na Olsztyn zamek, a tam głodem umorzono, bo nie dawano jedno wiechetek siana na dzień, a wody trochę, jako Długosz pisze; zaczęły przyszedło mu do tego, że był wszystko ciało na sobie okonał od głodu. Jego śmierci Janusz brat rodzony z Czacza chciał się mścić, ale go kazał król zgładzić, i dobra ich pobrał, jako, Kosmin, Czacz, i inne. A syn tego Maćka uciekł do Margrabskiej ziemi, stąd najez-

Lecz odwróćmy oczy od tych hańbiących ludzkosć obrazów i kary; głośmy raczej czyny odwagi, i poświęcenia!

Zamek Olsztyński przez różne losów przechodząc koleje, w czasie wojen domowych i napadów ościenych był oblegany, i szturmowany niejednokrotnie.

II. Ludwik król polski i węgierski, następca Kazimierza W. między innymi grodami nadał w r. 1370 zamek tutejszy lennem prawem Władysławowi księciu Opolskiemu, siostrzeńcowi swemu (5). Jagiełło wyniesiony na tron piastów po zejściu Ludwika, karząc nadużycia i bezprawia ks. Opolskiego, podstępnie roku 1396 pod Olsztyn, i po trzechdniowym

dłużąc rozbijał kupce po drodze, szlachtę imał, aż potym w Rozrazewie był od chłopów oskoczony i zabit.”

Srogie kary usprawiedliwione być mogły w tym czasie, gdy obyczaje narodów środkowej Europy, chrystyanizmem jedynie nieco złagodzone, zostawały jeszcze w stanie dzikości wieków rycerskich, z zabytkami koczującego życia, a napady ludów ze wschodu niszcząc każdy zaród cywilizacji i dostatki krajowe, rozrywały towarzyskie stosunki mieszkańców, którzy niemyśląc już o wspólnem szczęściu, zaspokojeuia własnych jedynie potrzeb szukali. Zatem dlatego potworzono kary bardzo surowe, wiele też dzikich zaostżeń przydały im wieki późniejsze.

(5) Kroniki Bielskiego ks. III str. 102.

„Ku szkodzie Rzplitej Władysławowi Xięciu Opolskiemu dał Rucką albo Wieluńską ziemię, Olsztyn, Krzepice, Babolice, i Brzeźnicę.”

oblężeniu zdobywa go, i wraca na zawsze do korony. Wojsku oblegającemu twierdzę przywodził Krystyn Ostrowski, kasztelan Sandomirski.

III. W początkach zaraz wstąpienia na tron polski Zygmunta III., nieprzestawał Maxymilian Arcyksiążę Rakuski, to jest Austryjcki, zbrojną siłą dobijać się o koronę polską. W tych zaburzeniach straż zamku Olsztynskiego poruczono Kacprowi Karlińskiemu, który już dał dowody prawości swojej utraciwszy siedmiu synów w obronie kraju. Jeden mu już tylko *Zygmunt* na rękach piastunki pozostał i był jedyną jego starości nadzieją. Austryjacy chcieli szturmem wziąć zamek, lecz zostali odparci; używają zatem przekupstwa, obiecują dowódcy krzesło w senacie, starostwo, i to niepomaga, bo Karliński nieporuszony widokami osobistemi, Zygmunta III. tylko królem i panem swoim uznaje. Wtenczas im piekło najokrutniejszą myśl podaje. Pojmawszy syna Karlińskiego z piastunką, przypuszczają raz jeszcze szturm do zamku, a przed szeregi swými dziecię to nieszczęśliwe nieść każą, ażeby ich zasłaniało. Poznaje Karliński syna, straż zamkowa nieśmie dać ognia, *brońcie się, brońcie* woła na towarzyszków, lecz go nikt nieśłucha, każdy lęka się być zabójcą syna jego. *Boże!* zawołał Karliński, *pierw byłem sługą Królewskim, niż ojcem!* To wyrzekłszy porwał łat gorejący i zapalił działo. Natychmiast powstaje ogień z wałów, przerzadzają się nieprzyja-

ciół szeregi, i reszta ich do odwrotu zagnalona, ginie dziecię, a Olsztyn ocalony (6).

Jest to przykład najpiękniejszej w świecie cnoty, i poświęcenia, więcej pewnie jak życia, dla dotrzy-

(6) Niesiecki w dziele *Korona* i t. d. T. II str. 481. Toż samo i dalsi poświadczają w rocznikach swoich.

Karlińscy, h. *Ostoya*, zamieszkali niegdy w województwie Krakowskim, i innych, z tych niektórzy nazwani *Szyjowi*, ze przodka ich w szyję cięto. Rasper i Marcin synowie Abrahama dział dobrami ojczystymi między sobą rozpisali roku 1527 w księgach Lelowskich. Mówi Niesiecki dopiero przytoczony: „iż pierwszego synów siedmiu w różnych okazjach mężnie stawając na placu poległo. Osmego Zygmunta ojciec sam zabił, gdy albowiem ten Rasper, zamku Olsztyńskiego za Zygmuntem królem, przeciwko Maxymilianistom bronił, ci chcąc odstraszyć odważnego junaka, odgrazali że syna jego zabić mieli, którego i z mamką niespodzianie tłumem napadłszy na dobra, w domu zabrali, jeżeliby zamku niepoddał; nie się tym jednak niezmięszal Rasper, więcej wierność ku panu swemu szacując, niżeli syna; dla tego na adwersarżów rychtować działa kazał, sam z jednego między kupę przeciwną wystrzeliwszy, na syna własnego trafił i zabił. Zostało się jednak jeszcze dwóch jego synów Waleuty i Marcin, obadwa ludzie rycerscy. Marcin był chorążym Smoleńskim, posłował na sejm 1628, z tąd kommissarzem naznaczony do zapłaty wojsku. *Constit. fol. 3.*, a w roku 1632 do traktatów z Moskwą. *Constit. fol. 2.* Młodszym będąc wojował z Węgrzech za Rudolfem Cesarzem, w Inflanciech z Chodkiewiczem, pod Smoleńskiem z Zygmuntem III., już rotmistrz, już pólkownik, i sędzia wojskowy. Gdy Smoleńsk ciężkiem oblężeniem był zciśnięty, walczy ten wojownik mężnie się przedarł do miasta, które w żywność zaopatrzył, dwóch tylko z swoich ludzi straciwszy.

Także w Ciechanowskim r. 1632 żył Alexander z Karlina Karliński i t. d.

mania wiary królowi swemu, czyn takowy godzien jest wiecznej pamięci!

Dziś gruzy i rumowiska obwód obszerny zalegające, ważnego niegdy stanowiska wojennego szczątki okazują, a same tylko spomnienia, w pamięci go potomnych przechowują (7).

Mchem, trawą, roślinami dzikimi i krzewami pokryte zwaliska ponurej barwy, jaką im nadał czas, walący acz granitne gmachy potęgi człowieka, nasuwają myśl; iż wszystko ludzkie przemija, i wszystko się kończy, co tylko jest ziemskie; sama tylko przyroda

(7) J. B. Dziekoński w pamiętniku *Jaskółka*, wydanem w Wars. 1843. na str. 82 mówi:

„Szczególniej ta połowa Krakowskiego od Częstochowy począwszy przez Olkusz ku południowo-wschodniej stronie, aż do wiśły, zasiana jest rozwalinami zamków, z których niejeden w okolicy ledwo z nazwiska znany. Tu Olsztyn na górze, niby olbrzym ze skały wyrosły, jakby jedno z nią tworzył ciało, bo murowane baszty widać z *Jasnej Góry*, tak niepożyte, jak i lochy jego wykowane w skale. Dziś te ponure zwaliska największego w Polsce zamku, są niepojęte dla mieszkańców nędznej miłośnicy, która u stóp jego leży; tylko oczy wędrowca wielbią unoszące się nad niemi imię *Karłińskiego*.

Tam za pustemi obszarami piasków i zuzli Olkusza, sterczy jedna wieżyca Rabsztyna, ożywiona wspomnieniem mężnego *Hottubki*.

Czyni dalej apostrofę:

„Szczęśliwi dziedzice, na których gruncie znajdują się ruiny, są one dla nich kopalniami cegły i kamieni! Czyżby dla tego samego niewarto spieszyć się z opisywaniem pamiątek, za nim gospodariska rachuba ich szczętów niezgładzi?”

zawsze jedna, odradza najlichsze ziele tam, gdzie wysilenia wielu pokoleń w proch się rozsypały.

Widok opustoszałej dziś wieży przywodzi naszej pamięci osadzonych w niej, pojmanyh w czasie wiekopomnej bitwy pod Grunwaldem r. 1410 stoczonej, Krzyżaków. Nie jeden z wiarołomnych tych rycerzy pędził pełne goryczy chwile, w niebotycznej niegdy tój budowli.

Głosi ludu powieść towarzysząca dawnym zamczyskom, o skarbach w podziemiach tutejszych ukrytych, o drzwiach żelaznych, do nich wiodących, o brzęku łańcuchów niekiedy słyszanyh.

Blisko za Olsztynem w śród pięknych lasów *bukowych* do straży *Zrębnice*, leśnictwa *Olsztyn* należących, ciągną się cztery pasma skał wapiennych krzewami i drzewami porośłych. Każde pasmo ma swoje osobne nazwisko. Pierwsze największe, i w niektórych miejscach nad poziom morza na 1600 stop wzniesione nazywa się *Pustelnicą*. Na najwyższym jego punkcie znajdująwana bywa roślina nie tylko w kraju naszym, lecz i w całej Europie bardzo rzadka, zwana *Bupleurum longi folium* (8)

(8) *Bupleurum longi folium*, zajęce uszko długolistne, wedle Kluka, *Hasenorchen*. Należy podług Linneusza do klasy V. pięććo pręcikowej, rzędu II. Pentandria-Digynia, a wedle układu przyrodzonego Jussieu do gromady roślin baldaszkowych umbelliferae.

Drugie pasmo skał poprzecznie do *Pustelnicy* ciągnące się, zowią *poprzeczném*.

Trzecie równoległe do pierwszych nazywa się *Sokala*.
Nazwisko zaś czwartego najmniejszego jest *Karzełek*.

Wspomniane góry należące do najwyższych w kraju naszym, bo prawie St^o krzyskim wyrównują, zarosłe są drzewami i krzewami, jako to: modrzewami, bukami, jodłami, bzem koralowym, suchokrzewiem, porzeczką górną, i t. p. właściwym tylko miejscem górzystym.

Pod *Pustelnicą* będąca pieczara, czyli jaskinia, należy do najciekawszych utworów przyrody. Jest ona we wnętrzu tej góry. Zaleta jęj zasada się na rzadkiem zachowaniu części najdrobniejszych, w zupełnie pierwiastkowym stanie.

Małym otworem wchodzi się do czterech grót, w każdej z nich napotyka oko coraz odmienne, lecz zawsze zajmujące grupy stalaktyków, jedne z nich osadowiły się w kształcie organ, drugie mają podobieństwo do karni, inne wystawiają dziki nieporządek. Obszerne

Jest rośliną trwałą, ma liście podługne, dolne zwężające się przy osadzie, górne zaś sercowate łodygę obejmujące, pokrywy kwiatowe szczególnie pięcio-listne, jajowate, pokrywa ogólna także pięcio-listna. Rośnie w umiarkowanej Europie, mianowicie w Niemczech, Szwajcaryi na wysokich górach. W Szląsku w górach *Olbrzymich*, (*Riesengebirge*) w wysokości często 4000 stóp. Kwiaty ma żółte w miesiącach Lipcu i Sierpniu rozkwitające.

te groty zwykły się zwęzać, i zdaje się że dalej przejść nie będzie można, aliści rozszerza się pieczara, a nowość widowiska całą myśl widza ogarnia. Nieznajdujemy tam wcale kości zwierząt przedpotopowych, mieszkańcy nawet miejscowi, nigdy tam najdawniejszych pomników życia organicznego nieznachodzili. Zdaniem geologów, iż mało jest pieczar, coby również jak tujsze w całości były zachowane, i aby tyle różnokształtnych nacieków czyli skalaktyków posiadały.

Pieczary w okolicy Olsztyna istniejące, jak i podziemia warowni tej odwiecznej, sam widok malarski zwalisk gmachu tego pamiętnego w rocznikach krajo-
wych zasługuje na zwiedzanie, i upowszechnienie rysunkami, które dzięki wzrastającej oświacie staną się przedmiotem prac artystów naszych!

Wucenty Hipolit Gawarecki.



PROMETEUSZ.

Przekład z L. Bajroua.

Titan! to whore immortal eyes.

W twych nieśmiertelnych oczach o Tytanie!
 Cierpienia ludzi, tych doczesnych gości
 Widziane w smutnej ich rzeczywistości
 Nie były rzeczą czém gardzą niebianie.
 Jakąż nagrodę masz za twe współczucie?
 Ciche cierpienie, skąta, sęp, okucie;
 Wszystko co dumni czuć mogą a twarzą,
 Kłamią boleści której nie pokażą,
 Tłumione czucie nieszczęścia co mówi
 Swe skargi tylko cichemu duchowi;
 I tak się skarząc zawiść jego pali,
 By mu Bogowie skarg nie podsłuchali,
 W końcu gdy westchnie, głos ten nie doścignie
 Żyjących uszu i w ustach zastygnie.

Tytanie!

Nędzny dar Wieczność była życiem twojém,
I ty to zniosłeś z męztwem i pokojem.
Wszystko co Grzmiciel wydarł tobie z góry,
Była to groźba co przebiła chmury
Rażąc go wzajem męką twej tortury;
Los, który naprzód mogłeś dobrze wiedzieć,
Lecz, by go zmięczyć, niechciałeś powiedzieć;
Wyrok był jego w ciszy twego ducha,
A w jego duszy próżny żal i skrucha,
A tak źle grozę swej zemsty udawał,
Że w jego ręku chwiać się piorun zdawał.

Twą boską zbrodnią było kochać ludzi,
Ciężary nędz ich jakie dźwigać muszą
Zmniejszać im słowem co współczucie budzi,
Wzmacniać człowieka jego własną duszą!
Chociaż strącony jak byłeś z wysoka,
Jeszcze w cierpliwym harcie twojej siły,
W oporze ducha, co stał jak opoka,
Choć by nim zachwiać razem się zmówiły
Ziemia i Niebo, — i nie wstrzęsły niczém,
My ludzie wielką naukę dziedziczym!
Ty jesteś godłem i znakiem zarazem
Człowieka siły, życia tajemnicy,
Jak Ty, on w części jest bóstwa obrazem,
Strumień zmacony lecz z czystej krynicy.
Człek w części mocen przejrzeć dusznem łkiem
Piorun nieszczęścia co w niego uderzy,

Siłę nędz swoich, moc swego oporu,
 I byt swój, z którym serca nie sprzymierzy:
 Przeciw tym wrogom bez miecza i zbroi
 Jego duch jeden jako szermierz stoi
 Potężna wola przy czuciu głębokiem
 Które nie zblednie przed blaskiem toporu
 Swą własną w sobie wypatrzy nagrodę:
 Potężna wola zawstydzi Przygodę,
 Dość gdy śmie walczyć, stoczy walkę z męztwem,
 Tryumfująca zrobi Śmierć Zwycięstwem.

Julian Korsak.

ALEKSANDER ORŁOWSKI.

Wziętość i sława bardzo często ulegają dziwacznejmu losowi, nieraz się zdarza, że człowiek z talentem młodość w pracy, a wiek dojrzały w pocie czoła przepędza, a przecie nieznany, i jakby szatą nicości pokryty karmi się gorzką niedolą: gdy tymczasem inni stanąwszy u szczybla zamożności błogich używają dostatków, pośród hołdów i wonnych kadzideł, któremi ich zewsząd obdarzają. Do liczby tych szczęśliwych może być policzonym znakomity i prawdziwie jenijalny nasz artysta, przed kilką laty zmarły w Petersburgu Aleksander Orłowski. Jeżeli są ludzie, dla których przy desce grobowej są potrzebne godła wyższości, jeżeli są potrzebne woniejące panegiryki dla nadania świetności ciemnemu ich życiu; to dla Orłowskiego stałyby się one obrazą, prace jego artystyczne i sława utworami pęzła nabyta, wyższą jest nad wszystkie pochwalne mowy, zwykle garścią złota oku-

pione, trwalszą nad spiże i marmury, jakiemi nadęta, próżność po śmierci zwykła się przyodziewać.

Mało oznajomiony ze szczegółami życia tego artysty, i kolejami losu przez jakie on przechodził, niemogę zastanowić się nad temi okolicznościami, które niewątpliwie na wykształcenie jego talentu i skierowanie myśli w obiorze przedmiotów mocno wpływały, ale pozostawiam tym, co są lepiej z tém oświadromieni: ja zaś mając z nim osobistą znajomość, i przez lat sześć pobytu mojego w Petersburgu starannie ją utrzymując, miałem zręczność przypatrzeć się wielu jego pracom, sposobowi zatrudniania się, i dla tego postanowiłem te słów kilka o jego talencie napisać z objaśnieniem krótkim pojęcia jego o sztuce, pomysłach estetycznych, a razem o stanowisku jakie sobie obrał. Albowiem bardzo często wspólnie z ś. p. Wańkowiczem odwiedzałem go, przepędzając chwile na rozmowie o malarstwie i Artystach.

Urodził się Orłowski w Królestwie polskiem w Nieborowie i Warszawa była kolebką talentu tego znakomitego artysty: mówię znakomitego, sława bowiem jego utworów była głośniejszą od wielu innych współzawodników (1). Rossya, Niemcy, Francya grzmiały odgłosem pochwał, jakiemi prawdziwi znawcy hojnie go osypywali. Pierwsza jego młodość nieznała dostatków ani też błogiej opieki: biedni rodzice, zaledwo byli w stanie dać mu początkowe wychowanie i nauki, w bardzo młodym wieku, posłuszny losowi i wrodzonej skłonności do

rysunków, udał się do pracowni znakomitego pod ów czas malarza *Norblina* i tam rysując wspólnie z *Rustemem* w bardzo krótkim czasie pokazał zarodki wielkiego w przyszłości talentu, zjednał szczególniejsze swego mistrza względy, i jako wzór pracowitości, oraz szybkich postępów, współtowarzyszom przez niego był ukazywanym. Zaledwo piętnastoletni młodzieniec, niemający jeszcze ani potrzebnej rozwagi, ani poznania, niewinna ofiara uniesień, opuścił zacisze pracowni ulubionej sztuki, a zagrzany wypadkami, na jakie duch czasu powiewał, dał się uwieść powabom błyszczącego oręża. Pospieszył między zbrojne hufce, i na polach bitwy postanowił szukać dla siebie warzynchów sławy. Dziwném jednak losu zrządzeniem, niedługo mu się udało pielegnować w ręku swoich broń morderczą, a po kilku potyczkach, gdzie pokazał dowody niepospolitej odwagi i mężnej waleczności, ciężko pod Zegrzem raniony powrócił do Warszawy.

Długi czas nieborak męczył się i cierpiał, długi czas leżał na łożu nim zagoił rany postrzałami zadane i do zupełnego zdrowia nieprzyszedł. Jakkolwiek świetnymi są blizny na polu walki zaciętej odniesione, jakkolwiek tryumf odwagi i mężstwa zdbi człowieka, ochota jednak do stanu żołnierskiego zupełnie w nim wygasła, i już do niego więcej niepowrócił. Namiętne do sztuki przywiązanie, wzięło górę nad osobistą odwagą i tryumfami, i pobudziło go do wytrwałości

w pracy artystycznej, długiej wprawdzie i mozolnej, ale urokiem powabów i uczuciem błogiej przyjemności sownice artystę wynagradzającej.

Po tak smutném doświadczeniu, doznawszy biedy i niewczasów, wytrzymałszy znoje i trudy, niewygody i niedostatki, postanowił w zaciszu domowem na nowo się uczyć, aby kiedyś tworząc dzieła sztuki, mógł się stać korzystnym dla kraju, zjednać sobie dobre imię, a sławę dla ziomeków. Myśl tak 'piękna i chwalebna, mogąca się wywiązać, jedynie między tymi, co w niedoli i w zapasach przeciwnego losu rodzą się i żyją, statecznie się go trzymała. Nie małą to jest zaletą Orłowskiego, że żyjąc w czasie największego zepsucia, jakie się objawiało w warstwach wyższego towarzystwa, kiedy nietylko zamożni bogacze, ale nawet pismienictwu oddani, na hulance i biesiadach czas przepędzali; on młody co do wieku, ale dojrzały w pojęciach, ze wzdrgą przypatrywał się tej wyuzdanej swawoli, bo jak się niżej pokaże, ostro chłostał swoją kredką rozpasanych na bezprawia, i tych co w nierządzie, w bachusowych zapustach gnuśne życie pędzili.

Kiedy już po zagojeniu blizn uzyskał pierwotne zdrowie, wrócił się do dawniej pracowni swojego mistrza. Ten go najchętniej i z rodzicielską miłością przyjął do orszaku swych uczniów, a nieszczęściami przygniecionego i doświadczonego tak upodobał, tak pokochał, iż na równi ze swojemi dziećmi, wszystkie

domowe wygody jemu ofiarował. Odtąd zaspokojony we wszystkiem i już nie myśląc o własnem utrzymaniu się, z niesłychaną ochotą jął się do pracy, i w bardzo krótkim czasie wielu swoich rówieśników przewyższył.

W samym początku pobieranych nauk odkryła się w nim ochota do rodzaju karykatur. Szczególniejsza wesołość i żywość temperamentu w pożyciu ze swoimi towarzyszami, i właściwe młodemu wiekowi dowcipne uciniki, kierowały jego skłonnościami, — lubił kreślić dziwne i do śmiechu pobudzające figury, a udarowany, od przyrodzenia dobrą pamięcią z zadziwiającą łatwością rysował z samego tylko zapatrzenia się, podobieństwo osób znajomych; niekiedy dość mu było raz rzucić okiem aby za powrotem do mieszkania, najpodobniejszy skreślić portret, a to nie tylko chwytając rysy twarzy, ale nawet całą postawę, bo nieraz i tyłem stojącego jak dwie krople wody podobnym mógł zrobić. Rzadki ten dar chwytania podobieństwa, i nie każdemu artyście właściwy, odpowiadał wesołym chwilom i krotolilnej młodości, to pomagało do trafnego robienia portretów i ułatwiało wstęp do domów, gdzie albo żądano od niego jakiejś roboty, albo dawania lekcji rysunków: i w rzeczy samej, nic tak niepopularyzuje artystę jak portrety choćby nawet bez najmniejszych zalet artystycznych były robione, jak tego nieraz mieliśmy przykłady na kuglarzach, co się do nas z zagranicy przywlekali.

Wielkim wprawdzie był mistrzem *Norblin*, robotki jego olejne, szkicowe, ze smakiem i uczuciem dotykane, wielkiej wprawy i śmiałości pęzła dowodziły, lecz czy to idąc za duchem szkoły do której należał, czy z własnego przekonania, przez zapatrywanie się i zastanawianie nad sztuką, mniej zwracał uwagę na rzeźbę i posągi starożytne, ale pilnował się samęj tylko natury, i uczniom swoim, jak to na ich robotach widzieć można było, z niej rysować i onęj się trzymać zalecał. Zastanawiając się nad tém uważnie, nie możemy potępić metody, która całkowicie na stronę sztuki przemawia; piękność bowiem okrzyczana Wenery medycejskiej, Apollina belwederskiego, Laokoonta, piękność tak nazwana idealna, o której tyle pisano, i za jaką tytu artystów uganiało się, czémże właściwie bydz może, kiedy nie samą naturą, albo jaśnieję mówiąc wziętą z natury; bo jeszcze się nie urodził ten, coby mógł pojąć i odmalować coś takiego, czegoby uprzednio w naturze niewidział. Jest to dotykalne niepodobieństwo i żadnych dowodów niepotrzebujące. *Rafaël Sanzio* powziął raz myśl odmalować obraz Galatei z wdziękami twarzy najpiękniejszej. Długi czas szukał wzorów, z nich się uczył, zawsze jednak był niezadowolony, bo jeszcze nie mógł uzupełnić powziętych w myśli kształtów: na końcu w chwili jakiegoś natchnienia i uniesienia się artystycznego odmalował głowę, podług własnej idei usnutą; ale na nieszczęście, była ona piękną w oczach Rafaela, ale wielu innym się niepodobała;

to co się zdawało być pięknem mistrzowi, niekoniecznie musiało być pięknem dla innych na to patrzących, jak też w rzeczy samej był to utwór Rafaela dosyć mierny. Szperanie zatem tej piękności idealnej, i zaciekanie się głębokie w jej metafizyce jest tylko warunkowe; albo pochodzi ze zbyt dużego entuzjazmu piszących i niektórych artystów, albo też wypływa wprost z niezrozumienia zasad sztuki (2).

Z tem wszystkiem zaprzeczyć niepodobna, aby posągi greckie bynajmniej się nie przyczyniały do uczucia i rozpoznania piękności: owszem, tego jesteśmy zdania, kiedy bezprzerwyne rysowanie z natury, nie będzie prostowane wyborową pięknnością marmurów i gipsów, może uleść wielu zboczeniom, opacznyemu pomysłom, i tym kosztliwym błędom, jakie najwyraźniej dają się widzieć na dziełach mistrzów szkoły flamandzkiej, pomimo wszelką różnorodność, w jakiej się nam pokazuje natura; wszelako i tym, uroku piękności odmówić nie można. Same nawet karykatury, w których tak świetnie celował Orłowski, pokazując najohydniejsze kalectwa i przetomy, jeżeli tylko są po mistrzowsku wykonane, mają na sobie piętno idealnej piękności, bo się podobają, bo kalectwo tego rodzaju nie można uważać za wadę rysunku: ale się robią one z umysłu, i jakkolwiek śmiesznymi czy wstrętnymi pokazują się, zawsze jednak ze względu na wykonanie, jakoteż myśl i dowcip, wielkiego są znaczenia w sztuce malarskiej. Wielka wprawdzie zachodzi różnica między stylem hi-

storycznym, gdzie *pathos* musi koniecznie być najpierwszą zasadą i zaletą, a karykaturą w której śmieszność z dodaniem niekiedy żółci, ma wiele poezji i wdzięku. Wirgiliusz i Juwenalis pokazują różnicę pismieną.

Kiedy Orłowski już się otrząsł z kurzawy szkolnej, kiedy się dobrze oznajomił z początkowemi zasadami sztuki i umocnił się w rysunku, kiedy swobodną ręką i śmiałością mógł podług własnych urojeń, wszystko co się podoba kreślić, przystąpił do barw wodnych i pilnie nad akwarellą siedział. Nie jest to wprawdzie rodzaj któryby mógł przyjąć wysoką doskonałość, i wielcy mistrzowie zwykli pospolicie swoje pierwsze myśli tym sposobem na papier rzucać, ale do traktowania scen życia potocznego, albo przygód z kilku ligur złożonych jest najdogodniejszym, wszelako obok tego, wymaga mocy talentu, pewności rysunku i śmiałości.

Należy oddać sprawiedliwość Orłowskiemu że w tym rodzaju on nabył niesłychanej wprawy, i nie tylko rysunki małego wymiaru, ale nawet większe z lekkością i łatwością podziwienia godną wykonywał. Gwaszowy rodzaj (klejowemi farbami) mniej go zajmował, a lubo rzeczywiście jest łatwiejszym od poprzedzającego, przez to jednak że nietrwały, i tylko do samych widoków mogący się zastosować nie wiele mu się podobał i mało w nim się ćwiczył.

Po trzech latach usilnej pracy doszedł Orłowski tego stopnia biegłości, że mógł się obejść bez przewodnika, i już imieniem artysty poszczycić się: umyślił przeto opuścić rodzinne progi, a rzucić się w świat, świat tak obszerny tak ponętny, i tam szukać dla siebie losu i szczęścia. Ale czegoż to sobie nie wymarzy młodego artysty wyobraźnia który czuje i jest najściślej przekonany, że talent tylko jeden, mocen jest doprowadzić człowieka do najwyższego szczytu sławy, jako klucz otwierający podwoje świata i nadający prawo do wyższości, jakiej ani bogactwa, ani też urodzenie niezdolają przyćmić? Czego to sobie niewyroi głowa namiętnie do sztuki i do natury przywiązana? jakich niewypielęgnuje myśli, coby krążąc w sferze jego pracowni malarskiej, kiedyś urzeczywistnione, wpłynęły do tej ogólnej i świętej sprawy, — sprawy dobra powszechnego? Ten co nie jest artystą, nie jest poetą słowa i życia, ten nie jest w stanie uczuć nawet lekkiego ciepła tego ognia, który pali wnętrzości artysty, jego duszę. Zarząca się wyobraźnia jego, za najmniejszym bodźcem w ruch wprawiona, w bezprzerwynej pracy uczenia się z natury, w przeskokach swych z pomysłów w pomysły, nabiera z czasem odrębnych własności i barw, z którymi się przenosi po za krańce świata rzeczywistego, i tam dopiero, jak w swoim żywiole, nurzając się w myślach, z których wątku do swych dzieł szuka, tworzy właściwe sobie obrazy, — i cóż dziwnego że dla takiego

artysty świat okaże się zwyczajném mrowiskiem, gdzie każdy z własnym interesem na plecach, przełazi przez plecy drugiego, — cóż dziwnego, że to wszystko co powszechnie nazywamy cnotą, wyda się mu kuglarstwem, najdroższe nawet uczucia przyjaźni i miłości, wierutnem szalbierstwem? Lecz któżto jest ten artysta i poeta? — czy nie ten co za garść złota napisze dźwięcznie rymowaną odę? za umówioną nagrodę kogoś odmaluje? — Najemny wyrobnik, co przedaje talent! pióro i sumienie, nigdy niepodniesie umysłu, aby uczuć godność swego powołania, pieniądz jest jego celem, a kłamka i przedpokój drogą osiągnięcia. Prawdziwy artysta siedzi tam gdzieś na poddaszu, o kawałku chleba z wodą utrzymuje ciało aby żywić ducha, maluje, pracuje, niewiedząc i nietroszcząc się bynajmniej czy da Bóg i co da na dzień jutrzejszy! czy kto kupi jego pracę czy nie.

Pełen ognia Orłowski, a jak zwykle każdy młody, jeszcze pełniejszy w nadzieje, nasamprzód zwrócił swe oczy na Litwę. Litwa zdawała mu się być *Eldorado*, snuło mu się w myślach że tam znajdzie przynajmniej okruchy tych cnót i przymiotów, jakimi przed laty możni panowie słynęli, rozumiał że będzie drugim *Jazonem*, i talent jego piaskiem złotym tam zasypią! — Niebierzmy za złe i niepotępiamy Orłowskiego że będąc niedostatnim, jako niewinny, w prostocie ducha chciał szukać poprawy losu swojego na dworach znakomitych obywateli: bo za-

prawdę komuż łatwiej jest wspierać talenta, kiedy nie tym, co się urodzili w dostatkach i one potomkom we dwójnasób przekazują. Alboż ten co przy hojnym życiu, marnując fortunę na rzeczy jałowe i sprośne, niemógłby dać lekkiej ofiary z chlubą dla siebie i zaszczytem dla kraju? Nadzieja tą razą zawiodła jego widoki, napróżno szedł w zapasy z przesadami i obojętnością, o które wszystkie jego marzenia jakby o twardą opokę rozbiły się.

Orłowski wzięwszy pędzelek i kredę jako rękojmię swojego losu i szczęścia wyruszył na Litwę, i tam przenosząc się z miejsca na miejsce (3.) od domu do domu, zmieniając siedziby bez ogrzania się, po upływie niespełna dwóch lat powrócił do Warszawy. Pobyt ten chwilowy na Litwie przykre zrobił wrażenie na umyśle Orłowskiego, zapytywany nieraz od swoich współtowarzyszów albo milczeniem zbywał, albo czasami dość gorzkimi słowy swoje przyjęcie malował. Można było przewidzieć że Orłowski czując wyższość swojego powołania i świetność talentu, niezechce skłonić czoła przed skarbami złota, bo ten co jest stworzonym do wcielania słowa i czynu, co ogniem Prometeusza wlewa życie na płótno lub marmur, ten się nie poniży do tego stopnia aby miał kądzieć wypłowiłym zasługom.

Po powrocie do Warszawy zajął się dawaniem lekcij rysunku, i choć doznane przeciwności na Litwie mogłyby nie jednego zrazić, zmienić dobre myśli, on by-

najmniej tém nieporuszony, zawsze wesół, pełen żartów i swawoli rysował ciągle karykatury. Bardzo często przypominając swoje wyprawy wojenne, lubił kreślić stójki i leże żołnierzy, w rozmaite grupy ułożonych, na koniach i pieszo, dniem i nocą. Przyozdabiał te grupy ślicznymi widokami i dowcipnemi dodatkami, zwłaszcza na przednich planach, zawsze jednak miał wzgląd na miejsce odbywającej się sceny, któremu nadawał charakter właściwy, tak iż nie patrząc nawet na figury, widzieć można było, że przygoda odbywa się na polach naszych. Dwie kopije z podobnego rodzaju akwarelli widziałem w zbiorze P. Wójcickiego, a choć przez miernego artystę wykonane, można jednak domyślić się o cudnej piękności oryginałów, bo lekkie uchybienia i czasami niedokładne położenie kresek niezmieni całego układu grupy i ogólnej kompozycji. Jeden i drugi rysunek noc przedstawia, światło zaś misternie ukryte, i tylko na figury padające czarowny sprawuje efekt. W Wilnie dość często można było spotkać się z piórkowemi robotami tego artysty, i przypominam sobie jak Professor *Saunders* wykładając estetykę i historię sztuki w uniwersytecie, pokazywał uczniom kilka mistrzowskich jego robót, unosząc się nad pięknnością i uchwyceniem natury ze szczerą jej prostotą. Rysunki te przedstawiały zwyczajnie pijaków, przy kuflu i dzbanie, albo też sceny szynkowe. Hrabia Walicki wielki niegdyś orędownik i malarstwa i artystów miał sztuk kilkanaście Orłowskiego (4.) na pa-

pierze gwaszem rzuconych; byli to średniowieczni rycerze, w zbrojach stalowych od niechcienia draperiją przykryci w rodzaju *Salwatora Rozy*. Te jego obrazki musiały być nieco później robione, bo artystyczne dotknięcia przy najwierniejszem oddaniu właściwej barwy stali i gry tamże kolorów w zachwycenie widza wprawiają. Musiał Orłowski będąc już w Petersburgu robić te obrazki na wezwanie hrabi Walickiego, i z niewątpliwego źródła mnie upewniono że każdy ten rysunek po 1,500 zł. był zapłaconym.

Pobyt Orłowskiego w Warszawie nienadto był długim. Wynikało to z tąd, że w miarę doskonalenia się swojego, postępów i usilności w pracy, nieodbierał współczucia ziomków swoich, zwłaszcza w tym czasie, kiedy lada kuglarz z Włoch, Francji i Niemiec, hołdy zwykle od naszych panów odbierał. Uczuł to Orłowski, że mieszkał tu w Warszawie, w śród kamiennęj obojętności, że ci, co sobie roszczą prawo na mecenasów, bynajmniej nie zechcą przyczynić się do podniesienia jego talentu. I w rzeczy samęj czy przyszło na myśl komukolwiek pod ów czas wystać Orłowskiego do Włoch lub Francji?... nie, i właśnie nic sobie nadal tu nieobiecując, wyjechał do Petersburga. Wiedział że tam jest Akademia sztuk pięknych od czasów Katarzyny doborem artystów i professorów słynąca, wiedział że tam znajdzie jednę z najbogatszych w Europie galeriją Ermitażu, że w smutnej niemożności uczenia się w Rzymie lub Paryżu, uwidzi tam mistrzów

Europy i ich znakomite dzieła, aby z nich korzystając, swój talent do wyższej doskonałości mógł doprowadzić. Przyjechał Orłowski do Petersburga i na tém się niezawiodł. Uszło to mojej uwagi i mocno żałuję, że nie wybadał Orłowskiego, jakie też było jego pierwiastkowe w téj stolicy powodzenie; miarkując bowiem ze wszystkich okoliczności, tak owoczesnych, jako też i za mojej tam bytności, wnoszę iż musiał na samym wstępie doznać świetnego przyjęcia. Wiedzieć bowiem trzeba że panowie rossyjscy osypywali dobrodziejstwami ludzi z talentem, prawie każdy z nich miał swoją galeriją, a niektórzy nawet nadwornych malarzy, którym za lada fraszki sownie płacili, albo też dożywotnie pensje naznaczali (5).

Taki stan rzeczy polechtał miłość własną Orłowskiego, ile mu sił stało, jął się do traktowania przedmiotów najbardziej pod oczy nasuwających się, zaczął studjować naturę indywidualną chwytając najwierniej formy, ich charakter, i w krótkim czasie stał się niezrównanym, pierwszym mistrzem w obrazowaniu tego ludu, wśród którego mieszkał. Istotnie lat sześć mieszkając w téj stolicy, oświadczyłem się z historją sztuki malarskiej w tym kraju. Do czasów Orłowskiego jeszcze niemieli tam malarza, któryby tak dobrze i z taką prawdą oddawał przygody życia sielskich mieszkańców. On pierwszy bez żadnej skazówki, idąc za natchnieniem i skłonnością obrabiał śliczne obrazki, gdzie albo podchmielona wesołość boja-

rów, albo zabawy i uciechy wiejskiej gromady z niesłychanym talentem i urokiem czarodziejskiej sztuki są oddane. Patrzałem na te akwarelle niejednokrotnie ale przyznam się że nigdy do sytości napatrzeć się nie mogłem. • Bo czy to układ i ugrupowanie wszystkich figur, czy kompozycja krajobrazu i akcesoriów, czy to ubiory, kształty wszystkich części ciała, wszystko to cechuje się mistrzostwem, artystycznością i wyraźnie dowodzi głębokiego wnikania w istotę rzeczy wszechstronnego rozważania przedmiotu.

Zastanawiając się nad temi jego pracami, które go nic pracy niekosztowały, poniewolnie wyznać trzeba że Orłowski był wieszczym malarzem, był on poetą w swoim rodzaju, co nie piórem ale pędzlem opiewał przygody ludu. Słyszał wprawdzie nieco później za moich czasów także znakomity artysta *Wenecjanow*, ale ten lubo na równi z Orłowskim, wiernie oddawał sielską przyrodę, obierał jednak wzory do malowania w zaciszu domowém, okazywał na sobie wielkie podobieństwo do *Teniersa* i poprawnością rysunku oraz pomysłami do tego ostatniego zbliżał się.

W którym roku przyjechał do Petersburga Orłowski (a) dowiedzieć się nie mogłem, to jednak pewna że jeszcze przed 1810 rokiem tam na miejscu już miał sławę rozgłoszoną i najświetniejsze imie (6). W tym albowiem czasie poseł Cesarza Napoleona *Collincourt* postrzegłszy przypadkiem jego roboty, zamówił u niego mnóstwo obrazków, w których oby-

czaje i zwyczaje tego ludu miały być główną myślą. Wypadek taki wielce posłużył Orłowskiemu do poszukiwania robót jego przez najpierwsze w stolicy osoby, i w ten czas to podobno niełatwo można było dostać co od niego, chyba sownie złotem opłacając. Natłok roboty wymagający ciągłej i nużącej pracy, bynajmniej zdrowia jego nie osłabiał, zawsze jednak urozmaicał swoje zatrudnienia: najczęściej malował, często bardzo z gliny lepił figurki i one sam draperiją przyodziewał, sam robił małego wymiaru kolasy, kibitki, sanie, i tym podobne sprzęty wiejskie, które tylko w swoich obrazach musiał naśladować. Miał przymiotem szczególniejsze upodobanie w starożytnościach krajowych, i ogromny zbiór tych osobliwości, nawet bardzo kosztownych, stanowił śliczny i rzadki w swoim rodzaju gabinet. Mnóstwo tam było puharów, tac, czasz, rzeźby z drzewa i kości słoniowej, zbroi polskiej i ludów kaukazu, łuki i strzały Kałmuków i tysiące innych ciekawości, które przeszło 600,000 złp. przez znawców ceniono. Jak dziś pamiętam główkę dziecięcia z drzewa ciemnego rznietą za szkłem osadzoną. Pająk wlaź chłopczynie na czoło, przestрах i płacz nigdy być niemoże lepiej oddanym, jak w tej główce.

Pod tę właśnie porę kiedy Orłowski tak obficie malował swoje obrazki, Senefelder wynalazkiem litograficznym podał sposob artystom rozmnożenia pierwotników. Poszło to bardzo na rękę Orłowskiego, bo

umiejąc władać kredką, prace swoje w tysiąc razy mógł upowszechnić. Brał zatem kamienie od *Beggrowa* dobrze oznajomionego z tajemnicami przyprawy i rysował Feldjegrów w kibitkach, saniach, trójką lub parą koni jadących, rozmaitych podróźnych, — w mieście targi wiktuałów, rozwożących drzewo i inne ciężary, — na wsi płąsy i skoki włościan, huśtawki i skakania na desce, persów, czerkiesów, kałmuków, baszkirów na koniu: przypominam jego trójkę pijanych, co za ręce z sobą się pobrawszy, nie idą ale się potaczają, jest to nic śmieszniejszego w swoim rodzaju, osowiałe oczy, głupi uśmiech na ustach, bezwładność członków, niezgrabność stąpania, jeden z nich zgubił rękawicę, drugi swój kapelusz, lekko rzucone, z uczuciem dotknięte cudnej piękności daje obrazek. Wszystkie te jego rysunki pomimo znaczną liczbę egzemplarzy, już zupełnie z handlu wyszły, i dziś do rzadkości się liczą. Niektórych starano się zrobić konfrakcje, ale je oko znawcy łatwo poznać może.

Petersburska Akademia sztuk pięknych mieści w galerij swojej obraz olejny Orłowskiego dość wielkiego rozmiaru, wyobrażający tabór kozaków, na wozach, koniach, w przechodzie przez okolicę lesistą: koloryt w tój robocie tak jak i we wszystkich akwarellach zimny w sini wpadający, zawsze jednak sposób malowania szeroki, pełnym pędzlem od razu farby kładzione, ściany światła i cieniów szerokie, na drzewach liście z wyszukaniem i dowcipem rzucone, ziemia trawą, krza-

kami, zaroślami, kamieniami i wodą upstrzona, wielkiego mistrza dowodzą, jakoż w nagrodę téj jego pracy na posiedzeniu Professorów został uznany za członka honorowego téjże Akademij. Z bliska na tę robotę patrząc zdaje się ona jakby niewykończona, tak miejscami chropawo i grubo farby nałożone, w oddaleniu jednak przywoitém, tak jak każdy obraz musi być widzianym, wszystka ta szorstkość pęzła niknie, sam tylko efekt najpiękniej się wydaje.

Bitwy i utarczki które stanowią podrzędny rodzaj malowania historycznego, były malowane przez udzielnie temu poświęcających się artystów, zawsze jednak, ile widzieć mi się zdarzyło po galerijach, były one traktowane artystycznie, więcej dbano o pomysł, fantazję i poezję, bez natężonego względu na prawdę. Znajome obrazy *Lebruna* z wypraw Aleksandra Wielkiego, o jakich z rycin pięknie wykonanych sądzić możemy, należą bezwątpienia do najcelniejszych tworów sztuki i poezyi. Tu i nagość ciała chciwie malowana przez artystów (którzy odbyli szkołę i znają rysunek) i zbroje, i rzuty szat, kompozycija w układzie grupp, pokaleczeni, pobici, umierający, wszystko to z urokiem i poezją, na jaką tylko zdobyć się może artyści wyobraźnia jest oddaną; a pomimo wielkości swojej, bynajmniej nie tracą ani na zagmatwaniu, ani téż zgębianiu się oddalenia. Flamandzycy zaś mieli upodobanie traktować te same przedmioty w małych rozmiarach, i utarczki ich z niezbyt licznój drużyny składa-

jące się, po większej części żołdactwa niemającego określonej barwy i fantastycznie odzianych, miłe dla oka przedstawiają obrazki, — więcej one mają podobieństwa do napadów rozbójniczych, gromady na gromadę, i tych burd, jakie przed laty w czasie kwitnącego feudalizmu w państwach ościennych, jedynym były zajęciem się udzielnych władców nad kilką stajami ziemi, a na niej jakiegoś zamku z ostremi wieżyczkami i zwodzonym mostem. W tego rodzaju pracach starali się artyści oddać jedynie tylko obraz wojny lub rzezi, z całym ich okrucieństwem, oddawali zaś prawdziwie po mistrzowsku, cała bowiem ich zaleta w tém się zawiera iż rozrobienie pęzła dotknięciami pokryte i od razu z największą pewnością barwy, kładzione były wprawną i pewnego rysunku ręką. W taki sposób malowano aż do czasów, kiedy znakomity wódz Francyi, pędząc życie obozowe, wznosił sławę oręża swojego w świetnych wyprawach i podbojach. Wątpię aby nadworny jego malarz Dawid choć raz poświęcił pędzel jakiegokolwiek rzezi, bo oprócz portretu Napoleona wskazującego konno na górę Sgo Gotharda, zawsze malował sceny spokojne, brane w uroczystościach obrzędów życia, któremi się przeplata panowanie tak jenialnego żołnierza. Uczniowie dopiero jego, a między innemi *Gros* i *Gérard* jakkolwiek surowością praw artystycznych krępowani, bardzo wiele namalowali scen, w których odwaga i mężstwo walczone tak żołnierza jak i wodza, na polach, przy zdobywaniu

warowni świetnie się pokazywały. Jednak żaden z nich nie doszedł w podobnym rodzaju tego stopnia doskonałości, i tego przejęcia się że tak powiem rzemiosłem wojny, jak dzisiejszy *Wernet*, którego sprawiedliwie uważają za jedynego ilustratora historii Napoleona.

Nie namaluje *Wernet* wejścia Henryka IV. do Paryża, jak to oddał *Gérard*, ale za to i *Gérard* niewykonałby z taką prawdą i takim objęciem rzeczy, żadnej bitwy Napoleona jak *Wernet*. Tamten wykarminiony na wzorach starożytnych, zaprawiony historią grecką i rzymską, i kapelusz Napoleona starałby się oddać według form starożytnego stylu, kiedy przeciwnie *Wernet* w oddaniu najdrobniejszych szczegółów, nawet w ruchach i stąpieniu bohaterów z pod Austerlitz i Jena okazał się niezrównanym. Wszakże *Langlois*, *Raffet*, *Bellangé*, *Charlet*, *Adam*, *Steuben*, i tylu innych w tym samym zawodzie pracowało, nikt jednak dotąd *Werneta* nieprześcignął (7). Niewiem czy był *Wernet* żołnierzem, i czy kiedykolwiek w ogniu się znajdował, wszystkie zaś utwory jego powszechnie nas zachwycają. Nieraz słyszeć się dało, że tylko ten, co sam z orężem w ręku walczył, może należycie bojowe obrazy malować, jest to naszym zdaniem sofistmat nieuków, którzy brak nauki i znajomości rysunku, chcą tym jednym warunkiem, jakby tarczą bezpieczeństwa od pocisków krytyki i swoją nieumietność i siebie samych osłonić. Można być najlepszym dowódcą

i żołnierzem, a z t \acute{e} m wszystki \acute{e} m n \acute{e} dznym malarzem, jak i przeciwnie, najlepszy malarz, wielkim by \acute{c} mo $\acute{z$ e tch \acute{o} rzem i najgorszym \acute{z} o \acute{l} nierzem: s \acute{a} to dwie odr \acute{e} bne rzeczy niemaj \acute{a} c \acute{e} \acute{z} adnego wplywu jedna na drug \acute{a} . Or \acute{l} owski przecie walczy \acute{l} , bi \acute{l} si \acute{e} i w gor \acute{a} cym musiał by \acute{d} z ogniu, kiedy postrzelony kul \acute{a} , d \acute{l} ugim cierpieniem przyp \acute{a} ci \acute{l} swoj \acute{a} odwag \acute{e} , w traktowaniu jednak utarczek by \acute{l} nies \acute{l} ychanie ostro \acute{z} nym i wstrzemi \acute{e} zliwym. Czui \acute{l} bowiem i rozumia \acute{l} sztuk \acute{e} , a \acute{z} nadto dobrze poją \acute{l} , \acute{z} e do odmalowania zaci \acute{e} to \acute{s} ci boju, z ofiar \acute{a} w \acute{l} asnego \acute{z} ycia do \acute{s} \acute{c} kilku, kilkunastu figur; niepotrzebne s \acute{a} tam wcale nieprzeliczone t \acute{l} umy, szeregi ruszaj \acute{a} c \acute{e} si \acute{e} w liniach prostych, w \acute{l} asciwe tylko planom in \acute{z} ynier \acute{o} w. I dla tego w \acute{l} asnie obrazki bojowe Or \acute{l} owskiego s \acute{a} napi \acute{e} tnowane najwyzsz \acute{a} poezij \acute{a} i artystycznosci \acute{a} , oddanie my $\acute{s$ li i sztuki s \acute{a} najwi \acute{e} kszymi ich zaletami, i prawdziwego znawc \acute{e} , do niewypowiedzenia zachwycaj \acute{a} . Ma \acute{l} o on w tym rodzaju pracowa \acute{l} , wiedzia \acute{l} \acute{z} e to rzecz wyczerpana, a przez cz \acute{e} ste powtarzanie ckliwo \acute{s} ci \acute{a} widz \acute{o} w nabawia, i tyle tylko mo \acute{z} e nas interesowa \acute{c} , ile r \acute{e} k \acute{a} prawdziwego mistrza s \acute{a} na p \acute{l} o $\acute{t$ nie rzucone. Mia \acute{l} em w r \acute{e} k \acute{u} moich oko \acute{l} o pi \acute{e} ciu obrazk \acute{o} w zaczep \acute{k} wojennych Or \acute{l} owskiego tuszem i p \acute{e} zlem na papierze rzuconych z wypadk \acute{o} w ksi \acute{e} stw \acute{a} Warszawskiego, m \acute{l} od \acute{a} jeszcze i niewprawn \acute{a} r \acute{e} k \acute{a} skre \acute{s} lonych, zawsze jednak pojęcie sztuki i d \acute{a} wno \acute{s} \acute{c} do nale $\acute{z$ ytego oddania artystycznosci \acute{a} najwyra $\acute{z$ ni \acute{e} j si \acute{e} maluj \acute{a} . Dziwna rzecz jednak, \acute{z} e olejnym malowaniem

bardzo mało się trudnił, a choć wiedział że ten rodzaj jest trwalszym i wyższym, wszelako namiętnie do akwarelli i kredki przyłgnął, a niekiedy szarą i czerwona kredą najcudowniejsze głowy kolorowe z papieru wydobywał.

Mnóstwo takich głów i innych rysunków miała hr. *Choiseul* później Jenerałowa *Bachmetiew* w Kamieńcu podolskim, która nie tylko sama rysowała, ale nawet orędownictwem nad artystami wielce słyęła. Rustem professor Uniwersytetu Wileńskiego był w ciągłej z nią korespondencyi, i zawsze szkice swoje do Kamieńca jęj przesyłał (8).

Był Orłowski wzrostu słusznego, budowy ciała atleticznej, zdrowie przytem miał czerstwe, ani praca, ani biesiady, na jakie od swoich wielbicieli często bywał wzywany w niczém go nienadwerężyły. Wesoly, żartobliwy, i pełen dowcipnych ucinków, stawał się niekiedy dla mniej baczych uszczypliwym, w obcowaniu nawet z poufałymi i przyjaciółmi trochę był szorstkim i rubasznym. Mieszkał w officynie marmurowego pałacu WielkiegoKsięcia Konstantego jako nadworny malarz(9) gdzieśmy go bardzo często wspólnie z ś. p. Wańkowiczem odwiedzali, nierzadko i nam bardzo często dopiekał, nigdy jednak należnej mu czci nieodmówiliśmy. Niekiedy przebijało się w nim dziwactwo, najbardziej zaś w chęćce ubierania się po muzulmańsku z ciągłymi odmianami: i tak w jednym tygodniu przez wszystkie dni w pokoju był ubrany jak Pers w drugim

jak Czerkies, Gruziniec i t. podobnie. Niestychanie wielką miał siłę w rękach; naocznym byłem świadkiem jak ująwszy ręką za koniec sztaby (10) żelaznej, jednym machnięciem w powietrzu zgiął ją pod kątem prostym, i ująwszy za drugi koniec, podobnym machnięciem zgiął w przeciwną stronę, tak że ona literę Z przedstawiała — niedość tego, też samą sztabę około palca wielkiego ręki lewej. prawą tak skrzył, że miała postać świdra czyli wioru stolarskiego. Dwóch ludzi niższych od siebie wzrostem, ująwszy każdego z osobna za kołnier, mógł jak chciał w powietrzu miotać bez najmniejszego sił natężenia. Nierad kogo odwiedzał, i chyba biesiada lub uczta solenna mogła go zwabić, na których podweselony, miał zwyczaj talentem swoim popisować się i rysując karykatury z osób przytomnych w sposób śmieszny i dowcipny, wielce się przyczyniał do uweselenia biesiadujących gości. Za prawdę mówiąc, dowcip satyryczny jego niekiedy bywał ostrzejszym od *Hogarta*, biada komu chciał dopieć, bo poruszywszy zasób artystycznej zółci tak odrysował że nieraz i z przyjaźnią był pokwitowanym. Rysunek kociego koncertu był podobno przyczyną zerwania wszelkich stosunków ze znakomitym malarzem Oleszkiewiczem, który jednocześnie bawiąc w Petersburgu był dość z nim w początkach zbliżonym (11). Docinał on niejednemu, ale nigdy nie miał zamiaru, szkodzić, nigdy brudna zemsta nim niepowodowała, ale wydrwić, wyśmiać, aby się tylko ubawić było je-

dyną jego uciechą i słabością. Kto może wejść w położenie satyrycznego pisarza, kto czuje co to jest nieskrępowana i niczém niepoHAMowana żądza wypisania się, ten nigdy nie weźmie za złe Orłowskiemu tej jego ostrości wyrażen obrazkowych.

Mówiliśmy dotąd o jego pracach, jakie i w jakich przecinkach swojego życia wykonał, teraz zastanówmy się nad jego pojęciem estetycznym i stanowisku artystycznym jakie sobie obrał.

Wątpliwości nie ulega że Orłowski był udarowany ogromnym talentem, wychowanie jakie odebrał i odbyte nauki pod dozorem *Norblina* otworzyły mu oczy do poznania i wnikania w sztukę, a wyszedłszy z pracowni, oddając się studiom bez żadnej obcej porady, nietrzymając się żadnej szkoły, żadnych mistrzów, żadnych wzorów prócz natury, wyrobił sobie szczególny tryb, jakieś odrębne piętno, któremi jego robota różniła się od wszystkich mi dotąd znajomych artystów: twórczość ta jego i w technice i w pomysłach dowodzi jeniałnego rozumienia sztuki, bo nie chciał iść drogą już ubitą przez sławnych artystów, ale wolał szukać, szperać, błąkać się manowcami, byleby tylko samoistnie odznaczyć się, byleby nadać robocie smak i uczucie z własnych pomysłów wydobycie. Z tak potężnym talentem i z tak bujną wyobraźnią niedziw że Orłowski, pędem, kredką, piórem na papierze cudów dokazywał, i w rzeczy samój, o każdej jego robocie, o każdym jego świstku, na

jakim choćby kilka kresek rzuconych było, inaczej powiedzieć nie można, jak że są cudnie piękne. Istotnie, myśl i rzemiosło, pierwsze i główne zasady sztuki rysunkowej, w całej obszerności potrafił Orłowski rozwinąć w swoich robotach: lekkość i swoboda ręki, smak i uczucie w dotknięciach, przerywanie kresek, zalanie miejscami cieniów, gdzie niegdzie pociągi fantastyczne, nadanie kolorytu, a przytém wszystkiém niesłychana łatwość i szybkość wykonania, postawiły go w rzędzie pierwszych europejskich artystów.

Gdyby Orłowski jakimś szczególnym trafem nie był opuścił rodzinnej ziemi, i w kraju własnym pozostał, gdyby niedoświadczył obojętności tych, od których współczucia spodziewać się miał prawo, i jako rzadki talent doznał opieki możnych, był otulonym skrzydłami dobroczynnej fortuny, mielibyśmy w nim obrazowego kronikarza, mielibyśmy sto, dwieście świetnych wypadków dziejowych, jakie dotąd napróżno z kronik Miechowity, Kadłubka, Strykowskiego wyglądają mistrzowskiej ręki: wszakże oprócz kilku szkiców Smuglewicza co pierwszy u nas wpadł na myśl szczęśliwą objaśnić i obrazkami upowszechnić historyczne podania, nic porządnego w tym względzie nie mamy, całkowity zaś zbiór Smuglewicza niemoże się porównać do kropli wody w morzu, stosownie do ilości wypadków w dziejach przeszłości naszej! Gdy przed trzydziestą laty, sędziwy wieszcz ująwszy lutnię odśpiewał

kilka rapsodów, niemógł jednak znaleźć człowieka, któryby kredką je ozdobił, a to wszystko cośmy widzieli, gdzieś za granicą, bez smaku bez uczucia, niezgrabnie rytowane, bardziej oszpeca aniżeli ozdoby dodaje. Mielibyśmy od jednego Orłowskiego galeriję rodzinną, jakiej dotąd nam niestaje, i niewiem czy prędko mieć będziemy przy tak wywiedłych i oschłych dążnościach naszych artystów, zostawionych ślepemu losowi i jak sieroty skazanych na wyrobek chleba powszedniego!

Orłowski, jak roślina przeniesiona na obcą ziemię, pod obcym niebem i obcemi karmiąc się sokami, zupełnie inne wydała owoce. Przyłgnął on duszą i ciałem do nowoprzybranj siedziby, uczył się starannie natury tamecznej i tych indywidualnych typów jakiemi się od innych różni. Dokazał swojego w krótkim czasie, bo jako pierwszy w Rossyi malarz poznał wszystkich z obyczajami, sposobem życia, zabawami tego ludu, w śród którego mieszkał, w sposób prawdziwie mistrzowski, jeniałny, pierwszym Europy artystom właściwy. Niewiem kogo dziś po Wenecjanowie mają (12), to jednak pewna, że Orłowski w historyi sztuki jako malarz zwyczajów ludu pierwsze zajmuje miejsce. Obaczmyż teraz, jak on traktował rodzinne przygody.

Nietrzeba się pytać, co za widoki ma pisarz lub artysta, pióro zawsze odkryje sposób myślenia i dążność autora jak kredka i pędzel artysty. Niewchodźmy kiedy i jak szedł Orłowski w zapasy z przeciwnościami,

jak walczył z obojętnością. To pewna że żółć i skłonność wyszydzenia tłały w jego umyśle od samej młodości, niebyło gadki, niebyło wypadku, niebyło jakiegoś żartu, któregooby niepodchwycił ze strony śmiesznej i na papierze nie oddał.—Jak niegdyś Opaliński na wszystko okiem i sercem rozjątrzonem patrzył, wszystko złém widział, tak i Orłowski uchwycił się jedynie za przywary ludzkie może tylko na kilku indywidualiach postrzeżone, i tę jakoby ogólną przywarę narodu ciągle przedstawiał, bez przyzwoitej oględności, że tym dąży do przyćmienia świętości nietykalnej, jaka bezwzględnie wszędzie powinna być szanowaną. Rzućmy tylko okiem na te rysunki, gdzie starców z podgoloną czupryną w kontuszach i żupanach zwykł malować, o to: wypasłe potwory z wypukłemi i czerwonymi policzkami, z ogromnemi rubinowemi nosami, na których porastają sine grzyby od pijaństwa, karki fałdzone jak u zwierząt, brzuchy jak beczki wydęte, z kulami w rękach, niekiedy i oburącz trzymają, w postawach chwiejących się, na w pół pijanych, w rozmaitych gruppach, przy beczkach w piwnicach z napisem: *kochajmy się bracia a pijmy — bis repetita placet—omne trinum perfectum* i t. d. niekórzy od przebrania miary oddają, niechlujny obraz przedstawiając, słowem, że ohydne postacie, i jeszcze w ohydniejszych przygodach wystawiał, a czego malować według słów Horacego „*neque Dii, neque columnae concessere*“ istny w tym razie cześnik parnawski, który w śród

najwznioślejszych obrazów, poświęca ustępy brudom, i zdaje się rozkoszować w malowaniu tego, co by sądem prawego sumienia na wieczną niepamięć skazanem być powinno. A jeżeli pióro Soplicy odkryło nam szereg cnót i poświęcenia się, oddało w sposób godny wielkiego pisarza: Orłowski nie mógł się wznieść do uczucia téj poezyi, téj piękności, do odmalowania tych świętych zalet, tych bluszczowych wieńców, jakimi się zdobi pamięć dziejów w kronikach zbutwiałych dochowana.

I tak gdy Sopllica pisząc o *panie kochanku* na stronie 120 (*) mówi: „że został (Xiąże) w hajdawerach amarantowych i w koszuli, na której wisiał ogromny szkaplerz, i tak wlaźł na wóz, na którym była kufa napelniona winem. On siadł na kufie, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilka kroków zatrzymywał się, a kto chciał kielich lub garnek nastawiał a Xiąże czop od kufy odtykał i perorował, prosząc szlachtę by mu dopisała” i t. d. albo tam gdzie o Karolu Rysie mówiąc na stronie 193 pisze, „gdy Książę po obiedzie nieco podochocony miał zwyczaj parę godzin przesypiać, a jeden z paziów grających w przedpokoju w halbe - zwolwe, niemając zapłacić przegranej zmuszony był przez towarzyszków, Księcia pijanego i sennego kartą po nosie uderzyć tyle razy, ile tynfów na kartę stawiono. To

(*) Wydanie Teofila Glücksberga w Wilnie.

są obrazy treścią i duchem pisane dla Orłowskiego, i gdyby za życia jego, pamiątki Soplicy były na jaw wydane, niewątpliwie zrobilby z tego podania Orłowski, dwa najcudniejsze obrazki, godne pióra Cześnika.

Jakkolwiek na zimną rozwałę biorąc rzeczy, poważne docinki są zawsze bolesne, stokroć zaś boleśniejsze są żartobliwe ugryzki pęzła lub pióra, z tego i w tenczas, kiedy z raną w sercu musimy na nie patrzeć, i słuchać. Wielkie jest powołanie i Poety i Malarza, ale bardzo ostrożnie stąpać trzeba po stroméj szczytce, na którą świat myślący ma oczy dzień i noc zwrócone. Jeden obrazek, jedno słówko wypuszczone może przygnieść na zawsze liście bluszczu, jakimi opinija zdoła ich skronie.

Nietykając rzeczy drażliwych miał Orłowski w dziejach naszych niewyczerpane źródło obrazów, naprzykład z przygód Lissowczyków, czyli jak ich sam nazywa ks. z Konojad Dębołęcki Elearów; ich wyprawy, pochody, utarczki, napady, łupieztwa, grabieże; co za śliczny obraz jak tenże Dębołęcki, którego daleko później Ksiądz Marek Karmelita w Berdyczowie reprezentował, przy wejściu w granice Szląska w miasteczku po nabożeństwie, na wzniesieniu pośród rynku, prawi kazanie do téj wyuzdanéj tłuszczy, która go otaczała, jedni na koniach, drudzy pieszo, stojąc, leżąc, z natężeniem uwagi przepowiedni jego słuchają. Albo z przygód kozactwa Wychowskiego. Wiek

Orłowskiego nie wystarczyłby na wydobycie złota z kopalni dziejów krajowych dotąd jeszcze żadnego mistrza ręką nietkniętych. Ale cóż robić, chcąc żeby drzewo owoce rodziło, trzeba starannie około niego chodzić i pielęgnować (13). Mógłby Orłowski to wszystko malować, ale bodźca nie miał, i dla tego właśnie był obcym dla nas pisarzem: my rościm prawo do jego imienia, a twory i plony jego prac, kto inny odziedziczył, bo nie były nasze i w tkankę krajową wszyć się nie dały. W galerii Ermitarzu dwa małe obrazki Orłowskiego znajdują się, na jednym koń, a na drugim kilka krów stoi, są one w rodzaju *Wuwermana* zrobione, ale nierównie lepiej i śmieliej traktowane, choć do najlepszych jego robót się nie liczą. Ze wszystkich zaś jego prac, ile tylko widzieć mi się zdarzyło, nie znalazłem ani jednego historycznego, o którymby można było powiedzieć, że w kronice tej a tej na stroniej tej a tej, tak jest napisano: ale zawsze myśl krotofilna, wesola, czasami nawet nic nie znacząca była treścią jego rysunków, jak naprzykład z wierszy:

Tańcowała ryba z rakiem.

widziałem ten rysunek po kilkakroć i kredką i piórem robiony, tak zaś był po mistrzowsku dotkniętym że nawet i dzisiaj *Grandville* lepiejby nie zrobił.

Nie może zatem Orłowski mieścić się w liczbie historyków, chyba w podrzędnym rodzaju utarczek, któ-

re dobrze mu się udawały. Jest on malarzem ludzi, przygód życia potocznego, mieszczan i wieśniaków, żadnej jednak nie ma styczności ze szkołą flamandzką, bo satyryczny i uszczypliwy dowcip w swoich myślach pokazywał. Prędzejby go nazwał polskim *Hogartem* a obcym dla nas malarzem ludu (14). Tak mi się wydały wszystkie jego prace z których sąd mój powziąłem. Nieraz przypominam sobie odwiedzając go ze ś. p. Wańkiewiczem nadmienialiśmy aby coś z Bielskiego, lub Strykowskiego malował, zawsze milczeniem nas zbywał. Zdarzyło się około tego czasu że *Dawe* angił, znakomity artysta, także w Petersburgu zamieszkały malował scenę niepomnę z której powieści *Walterskota*, jak nieszczęśliwa matka z narażeniem życia na niebezpieczeństwo po drabinie włązi na szczyt najwyższej skały, aby uratować dziecię, które orzeł pochwycił i do gniazda zaniósł: usłyszał to *Orłowski* i powziął chętkę to samo według swojego pomysłu odmalować, i kiedy z uniesieniem pokazywał nam swoje arcydzieło, (był bowiem niesłychanie chętnym) (15), my jednogłośnie podziwialiśmy talent wykonania, aleśmy dodali, że miłejby nam było patrzeć na obraz tęski i rozpaczy *Ludgierdy*, albo *Jadwigi* gromiącej *Krzyżaków* z dziejów krajowych, — zadumał się, i po jakim czasie tak do nas się odezwał „Oto widzicie mnie w ubiorze perskim, ale wierzcie mi, iż jestem wyznawcą téj księgi, pokazując *Ewangelię* na stoliku leżącą, i zacytował z tamtąd słowa.“ Widząc że to go

poruszyło, przystąpiliśmy do okna, skąd widok był na Nowę i zmieniając rozmowę staraliśmy się pocziwego rozweselić.

Życie tego artysty musi koniecznie wiele szczegółów zawierać, bardzo ciekawych i zajmujących, co do prac artystycznych: ci zatem którzy go osobiście znali i jeszcze go pamiętają zwłaszcza mieszkający w Petersburgu, będą mogli obszerną napisać biografią, do której te słów kilka za wstęp niech posłużą.

Wincenty Smokowski.

PRZYPISKI.

(1) Dziś żyjący P. Michałowski wielkością talentu i artystycznością w zadumie wprawia: mówiono mi, że obrazki jego małe z przygód życia potocznego, w Paryżu oczy znawców na się zwróciły, i imie znakomite między artystami i publicznością zjednały. Dwie tylko małe robotki udało mi się widzieć, lekko i od niechcenia na papierze rzucone, ale co za artystyczność, śmiałość ręki, czucie form, i te wszystkie zalety które tylko jeniałnych mistrzów charakteryzują. Rysunek P. Michałowskiego przechodzi wszelkie pochwały, ubolewamy tylko, że nam tu swoich robót nie nadsyła. Zmarły zaś przed kilką laty w Rzymie Karczewski uczeń Rustema także w podobnym rodzaju znawców podziwiał, ale niestety! kiedy już miał utworami pęzla z chlubą dla nas pracować, śmierć koniec życiu jego zaledwo młodzieńczemu położyła.

(2) Pisząc właśnie o tej klasycyzności, przychodzi mi na pamięć cudnej piękności i prawdziwie mistrzowskich zalet obraz przedaży niewolnic Turków p. Lebruna. Można od razu zgadnąć myśl artysty, i że w tym obrazie chciał pokazać głęboką znajomość rysunku, nagości, i miękkiego traktowania karnacyi pęzlem. Istotnie w tej robocie widać że artysta odbył szkołę należycie, że nietylko studjował naturę, ale nawet długo musiał rysować z posągów starożytnych, które mu ułatwiło przejęcie się urokiem form do dziś dnia zachwycających, a na tym obrazie oddanych z takim

wdziękiem i z taką łatwością. Nie mówię nic o układzie i kompozycji bo one znamionują człowieka głęboko myślącego, ale rysunek jak może być najpoprawniejszy rąk, nóg, twarzy i draperij, pokazuje wyraźnie że artysta jest mistrzem szkoły włoskiej, szkoły rzymskiej, głębokim rozumieniem rzeczy nad inne celującej i tylko zajętej wydaniem *grandioso* dla bardzo wielu niedostępnego. Dla czego jednak P. Lebrun z tak potężnym talentem i tak wydoskonalonym, wcale mało udziela publiczności swoich tworów, to nie jest w możności naszej rozwiązać. Jakby z pod pędla P. Lebruna wydał się pięknym obraz płasów Jadwigi, gdzieś w komnacie przy kościele XX-Franciszkanów. Ten co potrafił wydrzeć obnażonej naturze wszystkie jej wdzięki, tem bardziej mógłby oddać je szata poważną przykryte, zwłaszcza pojmując i czując uginanie się linii wężowatej, która zdaniem *Hogarta* jest najgłówniejszą zasadą piękności. Przypominam sobie na wystawie w sali ochrony mały świstek papieru, na którym był namalowany widok skał iglastymi zaroślami pokrytych, tuż nad wodą wspinających się, także Pana Lebruna. Jak to jest doskonale namalowano, wypowiedzieć nie mogę i daleko przeszło moje wymagania, dość jest wspomnieć że artystyczność jakby od niechcienia *ad summum* doprowadzona, łatwość władania pędzlem, śmiałość dotknięć przy wierności barw i tonów znamionują tę małą robótkę, która zdaje się być mniejszą od éwiartki papieru.

(3) Niechcieliśmy wymienić gdzie Orłowski tam przebywał, choć wiemy z pewnością o tych wszystkich miejscach.

(4) Są one dziś w zbiorku P. Stanisława Rodziewicza w Wilnie.

(5) Dotąd jeszcze nie mogliśmy się dowiedzieć aby ktokolwiek z naszych bogaczy choć pozorną okazał skłonność do zbierania ciekawości malarskich, ale uatomiast z uczuciem najwyższego uniesienia się pochlubić możemy iż ludzie bez majątku i fortuny, z własnej jedynie pracy utrzymujący się, pokazali na sobie dowody niesłychanego w sztukach pięknych zamiłowania, tak dalece, że nie tylko kosztem przyjemności swojego życia, ale nawet ujmując grosza od najpierwszych potrzeb, kupują i zbierają obrazy. P. Hangl, P. Hofman, P. Koitkowski, P. Kownacki, P. Szacfajer, słynne zjednali imię, a szczególnie P. Tomasz Zieliński, który w przeciągu lat kilkunastu, tak piękną, i tak odznaczają-

cą się uzbierał galeriję, iż prawdziwie zdumiewać się poniewolnie trzeba nad siłą i bezprzykładnem poświęceniem się tego męża, który zdaje się żyć dla tego jedynie, aby kupować obrazy i na nie patrząc ucieszać się. Możemy śmiało twierdzić że P. Zieliński jest dziś u nas jednym z tych co nam przypominają zamiłowanie w sztukach pięknych i wytwność smaku przodków naszych. Przy chwilach wolniejszych opiszę wspomniouą galeriję, która dla bardzo wielu sztuk ważnych i ciekawych musi być podaną do wiadomości publicznej: stoi ona otworem dla wszystkich przychodniów, i właściciel onej z niesłychaną uprzejmością rad wszystkim pokazuje i objaśnia.

(6) Ilekroć razy posłyszę że nasi artyści obierają do malowania jakieś wypadki z życia Napoleona, tyle razy przychodzi mi na myśl słabość i ubóstwo ich wyobraźni. Alboż to nie jest przeciwnem rozsądkowi, szperać i szukać po cudzych śmieciaskach, kiedy mamy własną pięknie okwitłą grzędę?

(7) Dziś aniśmy słyszeli o tak znakomitych paniach. Dziwua rzecz jak uczucie i zamiłowanie do sztuk pięknych zupełnie w tej płci wygasło za wprowadzeniem i upowszechnieniem wyszywania włóczką rozmaitych desseui na kanwie. Niewątpliwie zajęcie się to dla płci niewieściej jest stosowniejsze, ale inna rzecz sztuka, a inna rękodzieło, bo jakże tę mechaniczną pracę, do składania liter porównać się mogącą nazwać inaczej? P. Kazimierz Bujnicki oddany piśmiennictwu krajowemu w liście do P. M. Grabowskiego (w numerze 46 Tygod. Peters. 1846 r. umieszczonym) pospiesza z doniesieniem i przesłaniem projektu ztowarzyszeuia, celem wspierania artystów naszych przez jakąś panią z Inflant ułożonego. Miło jest czytać o takiem odznaczeniu się w tej płci, która z natury swojej zawsze jest bardziej skłonna do wszystkiego rodzaju ofiar i poświęcenia się, ale jedna jaskółka wiosny nie przynosi, a nadto czy można jakieś momentalne, a może jednorazowe tylko uniesienie się na karb zamiłowania, i niezłomnej chęci wspierania artystów rachować? Projekta można pisać lat 10—20, ale tu nie trzeba rozpraw ale czynu. P. Grabowski także namiętnie oddany orędownictwu, i jako pierwszy Promotor tej sprawy, za nadto jest łatwowierny i odbierając listowne

przechwałki, co niektórzy jak uważam sami o sobie napisali, drogą pism ulotnych wcale niewłaściwie i niesprawiedliwie im kadzi. Można dziś być bogaczem, mieć galerię obrazów przed stu laty uzbieraną, a biblioteczkę przed dwiestu, można być uczonej (?) i wiedzieć co są gwiazdy na niebie, a co się znajduje na dnie morza, ale być orędownikiem to jest inna rzecz zupełnie, bo tu trzeba ofiary pieniężnej, a w tem właśnie sęk.

(8) Za rzecz pewną słyszałem że Orłowski odmalowaniem na papierze grenadiera zjednał względy Wielkiego Księcia Konstantego który go mianował nadwornym swoim malarzem.

(9) Da Bóg życia i zdrowia to się postaram napisać o tym wyborzym artyście, który niemniej ze względu na sztukę, jako też i oddanie się pracom umysłowym mistycznym zasługuje na uwagę.

(10) Dwaj bracia *Czerńcowie* jeszcze na ten czas młodzi wiele w tym rodzaju obiecywali.

(11) Niewypowiedzianie uradowani jesteśmy że P. M. Grabowski estetyk i zwolennik nauk wyzwolonych przedsięwziął obecnie poruszyć sprawę artystów na Litwie zamieszkałych, bo jeszcze niedawno w Algierze więcej o tem myślano aniżeli tam dotąd. Cieszymy się nad tak zbawienną myślą i najgorętsze do Boga zanosimy modły, aby usiłowania jego o jakieś nieprzewidziane (lubo między nami mówiąc dobrze wiadome) opoki nie rozbiły się. Mieszkałem czas długi i w mieście i na wsi, a żyjąc między ludźmi miałem zręczność przypatrzeć się i rozpoznać zawady do wszystkich najpiękniejszych przedsięwzięć. Cięża one na tych, od których P. Grabowski najwięcej spodziewa się współczucia. Nigdy nie było moim zamiarem na cokolwiek bądź patrzeć ze złej strony, owszem w miernem chciałem widzieć dobre i nigdy ujemnie o słabościach ludzkich nie sądziłem, ale przeciwnie zawsze starałem się upatrzeć zalety tam gdzie ich wcale niebyło, w wymiarze zaś sprawiedliwości tak jestem uparty, że choćbym miał sobie samemu ubliżyć, to z prawdą się uierozmi-

nę. P. Grabowski w liście swoim (Tygod. Petersb. r. 1846 Nr. 46) wyliczając mecenasów sztuk pięknych wspomina takich, co ani z pierza ani z mięsa do nich nie są podobni, i trąbiąc niezasłużone pochwały, wielką krzywdę wyrządza tym, co prawdziwie godni są czci, i z dawna od nas uwielbienie odbierają jak np. zmarli: hr. Chreptowicz, hr. Walicki, dwaj bracia Razimierz i Aleksander Moniuszkowie, hr. Güther, P. Rafał Słizień. Marsz. Osztorp. P. Bułhak. Marcelli Żurowski. WW. Pusłowscy.—Ale mówmy prawdę, jeżeli dziś jest trudno być artystą, to nierównie jeszcze trudniej być ich orędownikiem, nazywać zaś każdego krezusa Mecenasem, jest to samo co prostego malarza drzwi i okien otytułować Rafaelem. Wiemy co za bogacze często za granicę wyjeżdżają, skupują tam obrazy Rembradta, Wandyka, Rubensa i tym podobne stare graty (des vielles croutes) ale żadnego krajowego artystę nigdy w życiu choćby małym kupnem nie wsparli, — a czyż mogą być tacy orędownikami sztuk pięknych?

(12) Z dziwną przebiegłością brokanterowie za granicą a nadewszystko włosi umieją przedawać stare jakieś rupiecie imieniem Wandyka lub Tyciaana ochrzczone, i nie tylko laików, ale nawet i tych co mają za biegłych znawców zawsze na wędę biorą, z tą też u nas i przysłowie urosło, że francuz wymyśli, niemiec zrobi, a polak to kupi. Jakiś pan na Litwie kupił głowę Chrystusa Leonarda da Vinci od Włocha za 20 czerw. zł. zupełnie podobną do tej, która się znajduje w galerij Willauowskiej. Obie te głowy najniezgrabniejsze konfrakcje tak są nędzne i nic do rzeczy, że je śmiało na pastwę płomieniom oddać można, — nie na tem malarstwo nie ucierpi, a Leonardo da Vinci gdyby mógł zmartwychwstać pewnieby za tę przysługę najgrzeźniej podziękował.

(13) Mam obietnicę pewną otrzymania wiadomości o życiu i pracach Orłowskiego, o których nieomieszkam donieść z czasem. Wydawca noworocznika literackiego Petersburskiego odezwał się z tem że zajmuje się zbieraniem materyałów do skreślenia żywota Orłowskiego, a choć dotąd nic jeszcze w tej mierze nie czytaliśmy, wszelako ta wiadomość nie mało nas ucieszyła, że będzie-

my mogli bardzo korzystać i to cośmy napisali uzupełnić. Wydawca pan Podbereski ma wszelką łatwość w wykonaniu swojego zamiaru, mieszka bowiem w stolicy gdzie są jeszcze ci wszyscy co dobrze znali Orłowskiego. Przy tej zrzeczności odzywamy się z najczulszą naszą wdzięcznością dla p. Podbereskiego za usiłowania jego tak szlachetne w sprawie dobra ogólnego.

(14) U nas Stachowicz był takim pisarzem artystą, jakim Orłowski w Petersburgu. Malowidła w Pałacu biskupów w Krakowie już w tym względzie uwieczono pochwałami, abyśmy mieli tu je powtarzać, chyba tylko dodamy, że Stachowicz poświęceniem się swojemu zawodowi artystycznemu i ogromem prac jakie w życiu wykonał, nabył prawa do szczerzej wdzięczności od tych, co umieją pojmować i oceniać sprawę dobra powszechnego.

(15) Orłowski aż nadto szczodłą ręką wymierzał sobie sprawiedliwość, i wszystkim najwyraźniej dowodził że jest wyższym od Werneta i inuich co w jego rodzaju pracowali. Miłość własna jest zawsze chwalebna w artyście, o ile tylko nie przechodzi granic przyzwoitych: jak złe o sobie trzymanie i zwątpienie o własnych siłach, tak również zbyt uczona zarozumiałość nie tylko że są naganne, ale nawet dają złe świadectwo o wykształceuiu artysty umysłowem. Wszelkie wyznania sądu, choëby najsurowsza krytyka, nigdy nie powinna gniewać artystę, ale przeciwnie ile możności powinien starać się z niej korzystać i to właśnie będzie najwyraźniejszym dowodem jego talentu. Nie raz przypominam sobie, był Orłowski celem krytyki, nie raz był najsurowiej i najjadowniciej piórem dotknięty, zawsze jednak ze skromnością je przyjmował i nie tylko nigdy nie szemrał ale nawet niewypuścił jednego słowa uszczypliwego z ust swoich. Tak nie zachwiana umysłowość artysty, i ten jego stojczyzm wyrobiony pracą sztuki, jest właśnie dowodem rzetelnej godności jego talentu i wyższości nad wszystkie nagany. W rzeczy samej każdy wykształcony artysta, z duchem z talentem, nigdy się nie obruszy najsurowszą krytyką, ale przeciwnie, więcej mu przykrości sprawić powinny oklaski osób co nie mają wyobrażenia ani o pędzu, ani o barwach. Gdyby dziś w Paryżu napisał ktoś krytykę na Delarosza, Delacroix

i innych w którejby im zarzucał nieznamość sztuki, — rozśmiały się z nich każdy niewątpliwie. Oto jest sposób postępowania w pełnem znaczeniu artysty, którego pędził kierowany sercem, uwiecznia na płótnie dzieje, i którego usta, jako odgłos usposobienia umysłowego niczém się kalać nie powinny.



NAD MORZEM.

*Tymczasem z szumów żaglowych i waru
Myśli shukanych, jest harmonija dzika
Którą ja lubię....*

1.

Patrzę, i wzrokiem obraz ścigam nieskończony,
Myślę, a przed obrazem myśl zginam i korze,
Przedemną otchłań—fale i prąd niezmierny,
Za mną ziemia—przedemną Bóg—Niebo i morze!
Ja sam tylko nad brzegiem—o, gdyby tak setne
Lata przestać — przemarzyć — zakamienić ciało?...
Więc zamknę wszystkie zmysły, ostatnią nić przetnę;
Duchem strzelę — a ustrój zagwoźdź jak działa.
Ha! lżej mi teraz, myśl na falach płąsa,
Wciąga górne oddechy i muszcze bałwany;
Lecz i one uchodzą, i morze się dąsa
Że tam jakiś przybylec czarną mgłą odziany
Ziemią piosnkę szeleści—a pieśń smutna—głucha—
To przybylec z pustyni — on burzę zwiastuje?
O, nie, to dziecko świata — to sierota ducha,
Co straciwszy tór celu, zbłąkany w połowie

Drogi, bez żalu ziemskie opuścił pustkowie
 I z arf nieskończoności tony wywołuje;
 Chce się przejrzeć w błękicie, w błękit zlać się, spłynąć.
 Dumać w nieskończoności i w dumaniu zginąć.

Jakby stukolnych myśli parą pchnięty,
 Poleciałem w nadziemskiej krainy odmetry.
 Spojrzę, blask zaćmił. Ha! niech z ziemi — z dali
 Odważy się człek spojrzeć wiarołomnym okiem
 W słońce gdy żadnym nie skryte obłokiem,
 Pewnie mu wszystkie promienie wypali,
 I będzie musiał zmrużywszy powieki
 Patrzeć przez ciało — na zawsze — na wieki!
 Tak i mój duszy wzrok był osłonięty
 Tworzywem, ciałem, co ciągle patrzało
 Szklannem spojrzeniem, tak że duch zakłęty
 Nie mógł zobaczyć co się w niebie działo.
 Tylkom pieśń słyszał — ale nie głosowej
 Harmonii, lecz téj co pierś obiega,
 Jak myśl wieczności po fali wirowej,
 A w której słowach Alfa i Omega.
 I rozumiałem dźwięki w mojej duszy,
 I rozumiałem łony w Niebios dumie,
 Anioł ich śmierci nawet nie pokruszy,
 A kiedyś zabrzmia w pasożytnem tłumie.

2.

Wrócił duch w ciało, a jego powicie
 Jakieś nowe — nieznanne ogarnęło życie,
 Błysł jakiś w duszy płomień odrodzenia,
 W popiół zasute dawne sny — marzenia,
 Bo duch z ognistój upojony czary
 Całą jednotę przejął ogniem wiary,
 Lecz wiary w myśl téj co do Boga zbliża,
 A myśl rozwierca niby drzewce krzyża.

Michał Morzkowski.

ON I ONI.

Powiastrka pewnego Kijowianina.

1.

Było to w Petersburgu i nie dalej jak w lutym 184.. roku. Dzień był niedzielny, pogodny, mroźny. *Newska perspektywa*, ta najśliczniejsza ulica Stolicy, zapełniła się już secinami pysznych powozów. Bogate magazyny patrzyły dużemi oknami na przechodniów. Wszystko co było w nich najpiękniejszego, rzekłbyś, zbiegło się do okien, czy dla tego ażeby popatrzeć na ulicę, czy żeby pokazać swoje wdzięki. Na Newskiej perspektywie, od godziny 12 do 4, spotkać można co tylko Petersburg ma najpiękniejszego: i boga-

te powozy i pyszne cugi i zawołanych elegantów i śliczne twarze. Gogol w doskonałym swym opisie fizjonomii Petersburga, powiedział o Newskiej perspektywie, że ta ulica zdaje się *pachnąć spacerem*. Dla człowieka co lubi się zastanawiać nad naturą wrażeń, przechadzki po Newskiej perspektywie nie mogą być bez interessu. Tam ci nastreczy się tysiące przedmiotów, tysiąc z nich wniosków, a wieleż-to wspomnień i domysłów!.... Co do mnie pókim nieprzywykł jeszcze przemijać całe te seciny najróżnorodniejszych obrazków bez przyglębszych wrażeń, był to z początku dręczący głowę chaos. Dziś poznałem naturę tej massy, rozebrałem ją na cząstki, znam względną jej wartość, — nic nadzwyczajnego.

Otóż, jakem rzekł, Newska perspektywa wrzała pełném i szumném życiem Stolicy. Z tłumem spacerujących złączył się jeden młody mężczyzna tylko co wracający z Dominikańskiego kościoła. Był to młodzieniec przystojny, wzrostu słusznego i przyjemnych rysów twarzy. Elegancki surdut z bobrowym kołnierzem obrysowywał doskonale kształtną jego postać. Z pod kapelusza spływały piękne czarne włosy, zawite dokoła, w pełny jeden pukiel. Małe, gustownie ułożone wąsy, nadawały delikatny jego twarzy wyraz razem troszkę efektowny i mężki. Jeślibyśmy badali z tej twarzy czegoś więcej, powiedzielibyśmy iż przejawily się na niej ślady ciągłego umysłowego życia; nadawały jej myślący i jakiś wyższy wyraz a nade-

wszystko, nacechowały nie tylko te rysy lecz każdy prawie ruch jego, tym przyzwoitym i razem ujmującym taktem, który jest właściwością osób wyższego towarzystwa. W téj chwili był on zamyślony niezwykle, szedł i zdawał się niezważać na nic. Niebyły to jakieś spokojnie wysnuwające się myśli, ale raczej dręczące, splątane przypomnienia, których wątek rozgmatwać było trudno. Tak go dogonił jeden z jego znajomych, młody i wystrojony chłopiec, w modnem palto z jaskrawym na szyi szalem, dużą pod brodą sterzącą szpilką.

— A, jak się masz Józefie! czy powracasz z Kościoła?

— Z kościoła, a co?

— Jak co! czyś nie widział tam damy w ciemnym z niezabudkami kapeluszu, w ślicznej atlasowej salopie, z prawej strony, w drugiej ławce?

Józef stanął jak wryty.

— Widziałeś więc ją? któż ona?

— Nic zgoła niewiém, odpowiedział najserdeczniej zapytany. Ależ ładniutka, o, co to to ładniutka! Czyś tylko przypatrzył się jój dobrze?

— Nie, bo twarz jej widziałem w przechodzie i to przez woal.

— A, to nic nie widziałeś taką rzeczą! Mówię ci że to чудо. Jakie oczy! jakie rysy! co to za wyraz twarzy! a nosek... a usta!... ręczę ci słowem honoru, nieznajdziesz piękniejszych w Petersburgu. Ale co najszczególniejsza — oto, że w jój rysach i rzewność

uczuc i ogień namiętności. Toż-bo to właśnie naj-rzadsze zjawisko. Ja, wiesz, niemogę cierpieć elegij-nych oczu, ale też nie akceptuję i tych dużych, wło-skich co to tak patrzą na człowieka, jak lufa nabite-go pistoletu z naciągniętym kurkiem. Tak, wiesz, żeby coś było troszkę z tego a troszkę z tego... a to właśnie takie! żałuj, powiadam, żeś niewidział.

Po chwili rozstali się z sobą, Józef wstąpił do cukierni Izlera, wziął do rąk jakąś gazetę i gazeta go zająć niemo-gła. Ta ładna twarzyczka była mu ciągle w oczach. By-ło coś w jej wyrazie tak czarującego, tak bardzo kre-wniącego się z wspomnieniami przeszłości, a ta jój wpółtajemniczość dodawała nowego uroku... Przez kwadrans Józef już był w swoim mieszkaniu.

Wszedłszy do gabinetu, zastał na stoliku list ode-brany z poczty. Pochwycił go spiesznie, spojrzął na pieczęć, na adres i zapewne był to list pożądany bo rozpieczętował go prędko i ciekawie przebiegał oczyma.

List był następnój treści:

Kijów 2 Lutego 184... roku.

Kochany mój Józefie! Nie pisałem do ciebie aż do tej oto chwili, lecz ty sam wiesz dobrze iż u nas podczas Kontraktów niema zbywającego czasu, zwła-szcza, gdy oprócz zajęć różnej treści, chciało się być razy parę i w teatrze i na koncertach i przepędzić kilka wieczorów nad *djabelkiem* i w gronie naszych

provincialnych piękności, których na te Kontrakty przyjechało dosyć, co samo już dowodzi posuniętej do wyższego stopnia cywilizacji mężów, czy przewagi nad nimi żon modnych. O, tak, mój kochany Józefie! było wesoło i rozmaicie u nas. Wiele, bardzo wiele, miałbym ci do napisania gdyby czas potemu, i jeszcze bym nie mógł powiedzieć wszystkiego, tak pełne interessu i życia jest to skoncentrowanie się najróżnorodniejszych pobudek, passij i charakterów, ten nagle i ciągle mieniający się obraz, te bogactwa szczegółów zawartych w ciasne ramy czasu, co nadaje szczegółniejszy wyraz i całości i tymże samym szczegółóm. Może dla kogoś obcego, takie opisy byłyby nudne, ale ty znasz prawie wszystkich aktorów tej sceny, ich stanowiska, pojęcia, namiętności, drobne charakterystyczne odcienia nawet. Dla ciebie każda historyjka pana Podkomorzego, tureckie klacze Chorążego, mazur Sędziego, koncepta pana Podsędka, pretensije panny Marszałkówny, zarozumienie pana Ubiornickiego i exaltowane zdania pani Rotmistrzowej i napoleonizm pana Półkownika, dla ciebie, mówię, wszystko to aż do fanfaronady i baragolskich zacięć pana Kazimierza, znanem jest w szczegółach najdrobniejszych w samej ich naturze; — moja więc choć pobieżna o tem wszystkim wzmianka, nie powinna być bez interessu.

Sędziego, Podsędka i Deputata z wielą innymi zastąłem wczoraj za zielonym stolikiem u Chorążego,

gdzie *djabelek* rozwinął się w całej świetności i całe kupy peców, całe pliki assygnat przechodziły z rąk do rąk. Ostatni dwaj zgrali się co się nazywa porządnie. Podsędek chcąc poprawić interessa, zaprzedał wszystką krestenciję żydom, jak tę którą posiał jesienią, tak i tę którą ma jeszcze siać wiosną a spodziewa się zebrać aż w jesieni. Drugi mówi że idzie za *duchem czasu* i w myśl tego ducha zakłada cukrową fabrykę, która to podług jego wyrachowania, ma mu przynosić tyle najoczewistszego zysku, iż na to kąto można już będzie śmiało puszczać się w *djabełka* na nieograniczoną ilość. Trzeci z tych panów latał jak szalony za pieniędzmi. Gdzie tylko zastał o ciepłym szlachcicu, który przywiózł do ulokowania choćby tysiąc złotych, wnet się go dopytał, wyszukał, poznał, naściskał, zaprosił do siebie na traktament, posadził na adamaszkowej kanapie — i szlachcic, jak się nie opierał tym wywnętrzeniom jaśnie wielmożnej przyjaźni, jak się nie pocił biedny ślizgając po posadzce, — opojony, narkarmiony, oszałomoniony że tak powiem, wysypywał z brudnego trzosa krwawicę swoją a pełny zadowolenia z tak pysznego przyjęcia, powracał do domu chwalić się przed żoną i sąsiadami, jak to pomyślnie załatwił interessa! Niedość na tem. Tych co uzbierał pieniądze było za mało na *djabełka*, opłatę banku, dawniejszych długów, procentów, na liberiję, sprawunki i inne potrzeby; stał więc list za listem do majątku by mu przysyłano pieniądze, z kąd tylko zarwać można. Biedny

Kommissarz sam niewiedział co począć. Były jeszcze wprawdzie produkta, lecz choć zapal nie masz na nie kupca! Ale nareszcie przyszła mu myśl szczęśliwa do głowy. Zbiera podwoły, pakuje na nie żyto, pszenicę, jagły, masło, len, wełnę, wymiata spichlerze, wypróżnia podwoły i na łeb na szyję pędzi to wszystko do Kijowa. Kiedy cały ten łatany obóz zatrzymał się na bruku, przed oknami Jaśnie wielmożnego; kiedy Jaśnie wielmożny odebrał list rządu, — wziął się za głowę z rozpacz i gniewu.... Ale niebyło nadczem myśleć długo. Posłano za faktorem — zjawił się usłużny żydek — w mgnieniu oka rozleciały się na wsze strony podwoły, wypróżniono je na rynkach, w magazynach i nazajutrz żydek przyniósł Jasnemu panu za to wszystko aż pięć tysięcy złotych. Ale co znaczyło dla pana Deputata pięć tysięcy złotych! Była to kropla w morzu. Tu Bank przez Rząd Gubernski prosi o kilka tysięcy rubli srebrnych, tu *Stanowy przystaw* domaga się na gwałt co najrychlejszej wypłaty zaległych podatków; klnie się na wszystkie Bogi że mu jedynie z tego powodu przyaresztowano jego własną gaźę, pokazuje oryginalne polecenia Gubernatora grożące oddaleniem z obowiązku i oddaniem pod sąd za nieczynną exekucję podatków; tu szlachta tarabani od szóstej z rana nejtyczankami pod samemi oknami, wałęsa się po korytarzach, a wygląda a dopytuje się o Jaśnie wielmożnego pana, a wszystko to w celu uzyskania lub summek, lub procencików od summek, co wręczone zostały od

lat kilku, kilkunastu i na które już nie za górami czeka *Requiem*, — a tu na dobitkę wszystkiego, trzebaż się i pokazać świetnie i dać wieczorów kilka i odłożyć kilka tysięcy na pojazd, konie.

Znany ci Pan Celestyn kupił nowy popielaty burnus, (podobno dla tego tylko i przybył na kontrakty) i jak kot zagorzały latał po Kijowie. Jak zawsze dumny, i zarozumiały. Od czasu wyjazdu twego, przybyło mu czworo dzieci, porządny brzuch i ze sto tysięcy długu, — a teraz stara się o rangę, bo ma gardło jedyne do krzyczenia: prosimy! prosimy! na wyborach.

Był też i Cześnik. Poczciwy Cześnik nie odmieniał się w niczem; tak jeździ na kontrakty, tak załatwia interesa, kupuje konfitury u Bałabuchy, chustki dla żony, herbatę, cukier, kawę i bałkę, jak to przywykł czynić od lat trzydziestu. Bryczkę ma też samą, co ją zapewne znasz od czasu jak znasz i Cześnika: cytrynową farbą malowane koła z gryszpanowym pudłem. Taż liberija, też cugi i ciż ludzie. Warto go było widzieć opuszczającego Kijów. Pudła, pudelka i tłómczki okrywały ze wszech stron brykę. Z tej fantastycznej budowy wyzierała co chwila głowa pana Cześnika z długim włosiennym cybuchem w gębie, opatrzona lisiurką wyżej uszu i krymską barankową czapką naciśnioną nad same oczy. Traf zrządził zem jechał dorożką obok jego powozu przez cały Peczersk. Szanowny Cześnik nie zważał na nic i tylko co chwila odzywał się z burdy: — *Charku, a nezabuweś winesa?* — *Ni panie.* —

A udar lijećom byczowoho. — Udaryw panie. — A czyś ohladio powóz: może de-czoho brakuje? a czyś obwiazaw resory? — Wse sprawno panie. — A smotry tilki! bo to wy ne pomiatajete niczoho; wam aby najěstys ta wyspatys; a tam, czort joho bery, dumajete, pan maje hroszi nechaj platyt. A czy ne rozsuponywsia dyszlowyj? szczoś na niomu duże chomut triasecsia. Ni panie. — A smotry tilki! bo to wy ne pomiatajete niczoho, A czyś prybyw hwoźdia do łuszni szczo koto wizka? — Prybyw panie. — A smotri tilki! o, a kazawem jészcz pozwczoraj szczo ot tut do firanki łuczsz pryszty priazku; ozwał się znów pan Cześnik, postrzegając odprutą sprzążkę przed samym swoim nosem. — A szczo na was paralus! łezni bisowi! wy ne pomiatajete niczoho, wam aby najěstys ta wyspatys. A Andrij czy ne osta-jęcsia? Tu siedzący na koźle sługus, okryty białym ukraińskim koźuchem, przechylił się i spójrzył za powóz. — Ni panie, rzekł. I istotnie, wnet za bryką ciągnął się dyszlowy wózczyzna zaprzężony parą tłusciutkich bronowłoków i opakowany pudełkami i worami owsa. Na tych bagażach siedział w nie bardzo wygodnem położeniu, z rozrzuconemi na dwa wiatry nogami, wieśniak, cmokając co chwila do koni i wodząc oglupiały wzrok po obudwu stronach ulicy. Taka i tej podobna rozmowa ciągnęła się bez przerwy przez cały Peczersk i kiedy już nawet zmuszony byłem rozstać się z powozem Cześnika jészcz przez jakie kroków pięćset, słyszałam częstokrotnie powtarzane napomnie-

nia: *A smotry tilki, bo to wy ne pomiatujete niczoho.*
Szczęśliwa mu droga!

Była też ładna siostra Karola, Widziałem ją ubierającą się modnie i uczęszczającą na bale. Ładnaż-bo to doprawdy dziewczyna! źle tylko że rozumié o sobie za wiele, że niepoprawia złych nałogów i zbyt się sadzi na stroje jakby miała krocie, kiedy młodzież wietrząca posagu, wie arcy dodrze z Akt Ziemskich iż na tę śliczną rączkę przypada gotówki nie więcej nad trzydzieści tysięcy złotych. Cóż poradysz ze światem! Dziś wdzięki nie podbijają nie tylko królewiczów ale nawet prostych szlachciców. Lada possesor z dużym kołnierzem i ogromnym krwawnikiem na brzuchu, zrobi pierwej kwerendę w Sądzie powiatowym nim uda się w zaloty. Oto masz przykład niedalej jak na naszym szczególnym Poruczniku. Jest to człowiek, jak mówią u nas, światowy. Światowy znaczy krócej: hultaj, który włóczęc się całe życie po świecie, wyciągnął z niego ten jedyny dla siebie wniosek, że pieniądze są wszystkim a reszta niczém. Ale w tém to był i sęk jak dostać tych pieniędzy? Pracować i czekać? — a, niech Bóg broni! Z kart? — już się sparzył natém. Służyć? — a, to najnudniejsza perspektywa w świecie! Ożenić się więc z bogatą? a, prawda! wyśmienicie! Odnawia się więc staroświecki kozyk, bierze się jedna klacz u Lejbki, druga u sąsiada, parę koni było domorosłych, piątego kupił umyślnie na jarmarku, sprzągł piątkę, ubrał Hawryła po kra-

kowsku, lokajowi Omelkowi kazał zapuścić niemieckie bakenbardy, sprawił sobie nowy garnitur — i dalejże za żoną. Niewiele stracił na to czasu. Zwykle dziś przyjeżdża do obywatela, wypije herbatę, zje wieczerzę, przenocuje, nazajutrz bawi do objadu a po czarnej kawie już klęczy u nóg piękności i wyznaje dozgonną miłość. Panna mu odmawia, on najobjętniej strzepuje pył z kolan, zapala cygaro, pyta: czy daleko mieszka pan taki to a taki, — i oto przez parę godzin, już Hawryło pali z biczka po dziedzincu drugiego obywatela. Pocieszny Porucznik wziął u nas tój zimny harbuzów siedem; podczas kontraktów ta liczba mnoży się jeszcze na siedem.

Był też i nigdy nieoszacowany godnie Chorąży z synem, z trzydziestoletnim swoim Kaziem. Byłem z dziesięć razy u niego i dziesięć razy prowadził mię po błocie do stajni, kazał wyprowadzać ogiery, patrzył każdemu w zęby, przejeżdżał, przeprowadzał, zaklinał się na wszystkie Bogi iż w żyłach ich płynie krew arabska, czerkieska, tatarska, turecka, angielska i hiszpańska nawet. Wczoraj powracałem o godzinie drugiej z Kontraktowej sali: mnóstwo powozów snuło się na głównej ulicy: w tём patrzę — co u licha! w ślad za czwórką jakiegoś jegomości leci znajoma mi piątka Chorążego, w krakowskich chomątach z ozdobami, wprzężona do lekkiej nejtyczanki. Woźnica w mazurskim ubiorze, w rzuconej na bakier amarantowej czapce, z długimi włosami, pali łępsko z bata

i pędzi szybkim kłusem. Na licu Chorążego malowało się zadowolenie, nawet duma. Raptem postrzegł mię w tłumie idących: — Hola, stój Macieju! krzyknął — i piątka stanęła jak wryta. Chorąży wysiadł i zbliżył się do mnie.

— A co — he? źle może? Wszyscy jak wrony porodziawiali pyski. Tak to u nas mości dobrodzieju! A gdybyż to u mnie była jeszcze ta piątka, którą, lat temu parę, sprzedał mości dobr. w Odessie, i mój Grzegorz, co to mości dobr. jak palnie z biczka to aż wszystkie szyby zabręczą w oknach, — he? oto by dziwili się! he? a cóż może nieprawda?

— Na honor! panie Chorąży, doskonała i to piątka!

— Wczoraj, mości dobr. dawał mi jakiś poleszuk, hm.... spekulant na rydzach, po 40 dukatów głowa w głowę. *Te* jabym mości dobr. lepiej w łep wypalił każdemu, aniżeli oddał za tę cenę. *Niedlinnaja griwa, batiuszka, da niechodit w agtoblach*, mówił mi jakiś barysznik. A do stu fur beczek batalionów djabłów! mości dobr. — śliczny mi znawca koni! Ja mu powiadam że mój Herkules pochodzi z czystej arabskiej rasy, bo jest wnukiem owego sławnego Sanguzskowskiego Achillea o którym słyszałaś zapewne, mości dobr. a on mi mówi, *sztó niechodit w agtoblach batiuszka*. Patrz błaznie na prolil głowy, na oko, nogę, piersi, osadę ogona, — a niepytaj czy *chodit w agtoblach*, bo to popłaca rasa a nie ohłoble. Co do Endymiona znów mego: wszak widzisz co to za brylant!

Sultan niema lepszego. Rzewuski widział jego ojca, a syn, jak dwie krople wody ojciec, otóż powiedział że w całej Arabii ze świecą nieznajdziesz takiego łęku. Poszedłbym w zakład o tysiąc dukatów że kształtniejszej główki nie widział od urodzenia żaden z baryszników. Otóż opatrzył mi go ten jegomość i rzekł: *slizkom nieznyj*. A bodajbyś się upił! myślę sobie. Niema co z tobą widzę gadać dłużej. Śliczne mi pojęcie ma o koniach!

— A taż piątka w jakiej jest cenie? rzekłem, podtrzymując rozmowę i pragnąc ująć przed Chorążym za znawcę a przynajmniej lubownika koni.

— Tysiąc kierbików mości dobr.; tysiąc, mniej ani grosza. Bo też widzisz sam panie Karolu, nie lubię trzymać aby czego. Każdy trzy werszki i z czwartego na piątą — a to coś znaczy! A głowy? a karki? a nogi? — landszafty! A jak idą w cugu! wszak widzisz? Macieju! ho — Macieju! zatnij-no licowego z sprawej strony.... o, uważasz, co to za krew w tym koniu! A wiesz, jak szczególna jest jego genealogia! Lat temu trzy, mości dobr. powracając z Onufrejowskiego jarmarku, popasałem pod Białocerkwią. Już miałem wyjeżdżać z karczmy, gdy podjeżdża jakiś mości dobr. szlachciura na lichej szkapie z łoszęciem. Mizerny to był konina, — ale przypatruję się bliżej... daj go katu! główka... nogi... sierść... ten konik ma rasę! Słuchaj asan: a z kąd cię Bóg prowadzi? — Z Zastawia J. W. Panie! — A to zapewne cygan ja-

ki darował ci tę klaczkę? — *Te* to widzi J. W. Pan, wzięłam ją w długu od dworskiego stajennego. — A czy nie sprzedałbyś mi ją pod brony? — J. W. Pan żartuje. — Nie, kupiłbym gdyby nie drogo. — *Te* na co J. W. Panu taki lichota. — Przecież. Szlachcie długo się ociągał, наконец zacenił 15 rubli srebrem. Uważasz panie Karolu 15 rubli srebrem! Kiedym mu wypłacił żadaną sumkę, padł mi do nóg jak dłużni a przytomni śmieli się z mego kupna. Kazawszy ją uwiązać do kuchennej bryki, rzekłem wtedy: Waszeć panie Szlachcicu, niewiedziałeś co miałeś u siebie. Klacz wprawdzie lichota ale łozzak ma rasę. Ręczę że on po Sanguszkowskim Achillesie. — To to to to! krzyknął szlachcie. J. W. Pan zgadł jakby tam był wtedy! Ja i zapomniałem powiedzieć że to łozzak po tym ogierze, co to widzi Pan... po tym drogim, co to trzymają w stajni takiej bogatej... ja sam widział jak... I tu mi mości dobr. zaczął wyluszczać najszczegółowiej rzecz całą. Takim to sposobem pozyskałem potomka od tego sławnego na cały Wołyń Achillesa! Sam P. X. dawał mi za niego dwieście dukatów, a P. X., to wiadomo całemu światu, że zna się na koniach. Co za spójrzenie! jaki wyrzut nóg w biegu! I nie zapomnij Waszmość że z czwartego na piąty. Mój Kazio jak wsiądzie na niego — to choć rysuj! A prawda Macieju?

— Oj, i jeszcze jaka prawda!

— A Malek-Adel, a Fra-Djawolo, złe może? Uważasz panie Karolu: te co w dyszlu? Wszak prawda Macieju co to za konie?

— Jij. . . świat niepokaze co to za konie, nie grzech powiedzieć!

— Widzisz, a co? mówił uradowany Chorąży. Słuchajże no Macieju: a czyś ty był wtedy gdy Mykoła ścigał zająca na Jbrahimie-baszy pod Onyszkowym futorem? pamiętasz, co to wyprzedził Lotkę?

— A jakżeż! rzekł Maciej. Był i jeszcze dobrze był! Też ja sam wioził tego zająca w trokach.

— A prawda. No, więc cóż? źle może słyszałem?

— At! co to i mówić!

— Słyszysz panie Karolu? rzekł Chorąży wskazując palcem na Macieja. Umnie nielada-co w stajni. Już jeśli trzymam, to co dobrego.

Nie mając nic lepszego do odpowiedzi, zacząłem wychwalać w swą kolej konie Chorążego. Dzielne doprawdy masz konie, panie Chorąży; co za kształt! co za maść! jaka długość ogona.... ogona a uszu jaka...

— Co? uszu? uszu? krzyknął Chorąży jak sparzony. Długość uszu? omyliłeś się panie Karolu! szkaradnie omyliłeś się! uszko małe, przeciwnie.

— Właśnie, uszko małe.

— Małe, małe, tak małe, sto razy małe! powtarzał Chorąży, jakby starając się zakryć swojemi słowami, wypuszczony nierozważnie przezemnie przymiotnik. A nogi? a piersi?

— Małe, tak małe, — bąkałem nie postrzegając się.

— Co? małe piersi? małe nogi? A bodaj cię kaczki zdeptały panie Karolu! szerokie, długie!

— Ależ i ja to mówię.

— Ale tak, nieinaczej, szerokie, długie! Bodaj cię Pan Bóg kochał panie Karolu! Skrzywdziłeś mi moje konie. Mówić o koniu że ma małe piersi, że krótkie nogi, że wielkie uszy, jest to gorzej aniżeli czyścić go przeciw sierści. Żeby mój Hektor umiał mówić, on by cię za to wyzwiał na pojedynek. Jutro pokażę waszym Kijowianóm, Hektora, Romulusa i Atalantę. Jeśli znają się na rzeczy, dostrzegą zaraz rasy. Szkoda że ty niewidziałeś nigdy jak mój Kazio jeździ konno. To landszaft, powiem ci, w profilu. Elżusi daje zwykle Romulusa, wiesz, tego dzielnego karosza beduino-angielskiej rasy z gwiazdką na czole? Jego ojciec ze stajni egipskiego baszy. Rzewuski go sprowadził na okręcie. Na własne oczy widziałem go w Bałcie w trzy tygodnie po wylądowaniu... słowo honoru! jeszcze nawet nie przestał tupać nogą. Przyjeżdżaj do mnie, dam ci Atalantę. To dziecko nie klacz. Nasz ksiądz Proboszcz jeździł na niej, a trza ci wiedzieć że Proboszcz nie umie inaczej jeździć jak tylko po łacinie. Nóżki, mówię ci, jak u sarny, oprawa oka jak u Wenery, a nosi tak leńko! będzie ci się zdawać że płyniesz. Spytaj Macieja jeśli nie wierzysz. Sam zaś ja zwykle dosiadam Hektora; o, to harda sztuka mości dobr.! Siwosz z na-

krapianym grzbietem. Cały tygrys, twardousty i uparty, ja nim tylko kierować mogę. Stawię sto przeciw jednego iż wszystkich waszych baragołów nie baragołów, ile ich bywa w Berdyczowie, jednego po drugim powyrzucalby z siodła: pochodzi on z tatarskiej klaczy po czerkieskim ogierze. Sprowadzony wprost z Kaukazu. Kupiłem go u dońskiego półkownika, a ten odbił go od jakiegoś góralskiego księcia. Mówię ci Terrek dla niego był niczem! Z góry na górę lata jak sarna, a nie zna co to znaczy spotknąć się choć raz w życiu, tylko trzeba żeby czuł na sobie jeźdźca, bo zaraz pokaże co umie.

Chorąży jak w stajni ciągle mówi o koniach, tak w pokoju o świeżutkiej żoneczce Kazia. Elżusię opisuje mi zupełnie tym trybem jak swoją Atalantę. Jedynem przejściem od koni i synowej są dubeltówki i przygody myśliwskie Chorążego. Jak wpadnie na ten trop, tak bądź pewny że się to zanosi na całe godzin cztery. Wszystkie zajęce jego powiatu, wszystkie słomki i bekasy błót okolicznych muszą przejść przez jego wystrzał. Cała akcja polowania zupełnie powtarza się w pokoju. Krzesła służą dębami, stoły kniejami, filiżanki i szklanki zwierzyną, cybuch strzelbą a paf, puf, jak go rznę, jak go grzmotnę mości dobr.! sypią się bez liku. Onegdaj przy herbacie, djabli nadali Podśędkowi mówiąc o kontraktach, porównać kontraktową sałę do tokowiska poleskich cietrzewi. Jak złapał Chorąży za cietrzewia, uraczył że więc nas myśliwską

pogadanką. Przebiegały obok nas i dziki i łosie i niedźwiedzie i wilki i lisy; leciały krzyki, furczały kuropatwy, zrywały się kaczki. Jam milczał, bo sprzeczać się lub przerywać Chorążemu, znaczyło jedno co rozdmuchiwać płomień, ale Podsędek nie był tak przewidującym. Zdarzyło mu się kiedyś podstrzelić w miejscu kota i zbić zupełnie głowę kaczce siedzącej na jajach, którą zszedł o dwa kroki. Około tych dwóch najważniejszych zdarzeń, krążyły już wszystkie inne pomniejsze z myśliwskiego jego życia, obadwa więc przez cały wieczór nie dali mi pokoju.

Pan Deputat kocha się, gra, tańczy, je i śpi po kolei. Co do majątku, jest już zupełnie na to kąto spokojnym. Młyny i majdany puścił w dzierzawę żydom na lat piętnaście, bór sprzedał na wyrąb, całą wieś założył w banku na lat 37-m a na opłatę coroczną długów, wynalazł *perpetuum mobile*, zasadzające się na tym, iżby pożyczać tych kontraktów u jednych a oddawać drugim. To mu przynosi oczwiestego, jak powiada, zysku, dwadzieścia pięć na sto.

A pan-że Henryk z Podola? A, zmiłuj się! jak ci nie wspomnieć o nim! Pan Henryk ani na włos nieodmienił się w niczem. Tak paraduje czwórkami, piątkami i szóstkami jak i pierwej. Jak tylko dowiesz się iż dziś sprzedał zboże i gorzałkę, tak niezawodnie pojutrze cały żydowski kahał zalamentuje w niebogłoty. To bestyje całe ci żydzi! krzyczy p. Henryk. Proszę pana, umówili się zemną tak a teraz chcą ina-

czej! *Aj waj! gwult!* krzyczą synowie Izraela; *win nas obizaje! win gorszy od samego Faraona! my będziem chodzić na Sprawnika, na Gubernatora!* Ważne też zmiany zrządził w majątku. Od czasu twego wyjazdu zamieniał cztery razy wozownię na spichlerz i odwrotnie, kuchnię przerabiał po dwakroć, folwark przeniósł na inne miejsce, uczepił nową chorągiewkę na dachu, czterech odprawił i tyłuż przyjął ekonomów.

Ale stój, stój, na miłość Boga! Co mi Henryk! Oto złoto, Rotmistrzowstwo nasi z swęmi córuniami! Oj, oj, piór i pęzlów pęzlów i piór na miłość Boga! Wyobraź sobie Rotmistrza który krzyczy tak iż ogłuszyć może i komenderuje wszystkimi jak szwadronem; wyobraź sobie Rotmistrzowę która widząc cię pierwszy raz w życiu, opowie wiele to jej Marysia dała harbuzów a jak przed rokiem byli oni u kogós tam na balu i jak zakochał się w Ewelce Podsędek. Wyobraź sobie teraz tę Marysię, i tę Ewelkę prościutkie, ciche, serdecznie ograniczone i z tém wszystkiém pełne przekonania że grają, śpiewają, rysują jak..... jak kto? powiedzieli-by: jak Liszt, jak Grisi, jak Wernet, gdyby słyszeli o tych imionach, gdyby niebrakło im do porównań nie już tych, ale najpospolitszych przykładów. Cicho a cicho, głucho a głucho w tój wiošczynie. Ledwo okolnik Sądu Ziemskiego, albo dzwonek *Stanowego prystawa*, przerwą raz w miesiąc umysłową stagnację tego domu. Te ryciny, porozwieszane w bawialnym pokoju, o, wy wszyscy

co macie oczy, uciekajcie od nich na miłość Boga! ten fortepian, o, zatykajcie uszy! Ale to są posażne dziewczęta i jako martwy kapitał kursują tu one i na kontraktach. Przed rokiem pewien olicerzyna zgrawszy się jakoś podczas zapust, wniósł iż nie może przykładniej odpokutować za grzechy i przepędzić postu jak starając się o Marysię. Z Marysią nie trudne były rzeczy. W życiu, gdzie się tylko przywykło patrzeć na obdartego sługusa, epolety w jej oczach zajaśniały jak słońce i to biedne serce oddało się bezwarunkowo, ale pan Rotmistrz nie tak to łatwo kapitulował i poddał kawalera pod najcięższe próby. Zrobił go gumiennym, leśniczym, ekonomem, młynarzem, pisarzem, łanowym nawet: opłata podatków, wydanie koniom owsa, dopilnowanie młocków, żeńców i tysiąc podobnych obowiązków, wszystko to leżało na nim. Chwile miłości, niestety! były krótkie... ach! i to tajemnicze! Otóż-to mi miłość!

Jest też i nasz zawołany Krzemieńczanin, ta Alfa i Omega swojego zaścianka. Już oto upływa rok dwudziesty od czasu jak wysłuchał lekcji w Liceum i upił się razy parę w Dubnie. Tyle odtąd przemian! ale on jak powrócił na wieś, więc po dziś dzień żyje zapasem owych to zdań i wyobrażeń. Ledwie go dojrzeć można tak został daleko od postępu ogólnej oświaty, ale jemu się wyobraża że i dotąd między nami stoi na czele. Zjawi się *nowa* książka (np. *Pojata* albo *Julia i Adolf*): a co pan Erazm mówił o niej?

Mówił że niewarta funta kłaków. A więc sąsiedzi niezawodnie powtarzać będą wszędzie: Pan Erazm mówił że nie warta funta kłaków. Trzeba dodać do tego iż się czynnie zajmuje i polityką, chociaż od lat 20-tu nieczyta żadnych gazet. U niego zawsze nabór rekrutów w jesieni, nieochybna wojna na wiosnę, rewolucja w Paryżu, rozbiór Turcyi, bunt w Egipcie a najtajemniejsze kwestyje gabinetowe, znane są jak kąty własnego domu. (O O'Connellu i rozstrzelaniu Zurbano, ponieważ to rzeczy jeszcze nie tak dawne, więc na następny rok, trzeba spodziewać się, wejda na listę dySSERTACIJ).

Onegdaj byłem na wieczorze u pp. Edwardostwa. Zastałem tam od roku niewidzianych pp. Leona i Augusta. Pan Leon kupił nie opodal odemnie częśćkę wioski, a August jak i przedtém, zjeżdża do ciotki punktualnie w Maju. Obadwa ci panice są chłopcy najlepszego serca, ale też i łgarze *in summo grado*. Pierwszy mieszkał w Litwie, drugi z Podola, obudwóm więc niebrakuje na kuzynach: księciach, hrabiach, na znajomościach z magnatami, a kluczków, wiosek, folwarków, co nie miara! Jeszczeż to półbiedy gdy łgą po osobno; ale gdy traf sprowadzi ich do jednego dyskursu,—o! wtedy z tej obfitości fantazy formuje się morze! Szlachetne współubiegania się dochodzą niekiedy do takiego stopnia entuzjazmu, że i Radziwiłł *panie kochanku* pozazdrościłby im bogactwa wyobraźni, Leon poetyzuje wszystko, ale Au-

gust kłamie po prostu. U pana Leona dusz czterdzieści jedyne jego majątku, nazywa się klucz taki-to a taki; prosta bryka — wiedeńską landarą, dóm mieszkalny z ganeczkiem o dwu słupach — pałacem; altanka na pręcikach z bluszczu — chińskim kioskiem, strumyczek — rzeką; pokoiczek — salonem; swora starych i ślepych gończych — psiarnią, dubeltówka z pistoletem bez kurka — zbrojownią: para bronowłoków — tabunem i tak wszystko co podpada pod zmysły. August przeciwnie: prawi smalone duby o tém co wie i czego nie wie, i to tak śmiało, tak bez zajaknienia się, pewnym, grubym głosem, że nieraz wrzucając ramionami słuchając tych bredni.

Sędzia zdrów, wesół, kochany i szacowany u nas jak zawsze. On sobie nie filozofuje, ale myśli szlachetnie, postępuje uczciwie, jest prawdziwie pożytecznym w społeczeństwie naszym. Prawda że widać w nim człowieka starej daty: nie lubi nosić fraków, jeść ostryg, czytać romansów Paul de Kocka, ale za to obaczysz go zawsze w granatowej węgierce obszytej suto jedwabnymi sznurkami, ze starannie wyłożonymi kołnierzami, ogolonego, zaczesanego, zawsze czysto, porządnie, skromnie. W niedzielę, jak tylko dziesiąta, niezawodnie Sędzia toczy już dziarską piątką z za góry na mszę do kościoła. Po mszy odwiedza proboszcza, sprasza sąsiadów na obiadek, który zawsze nazywa szlacheckim, a w domu u niego wymyto, ubielono i wszystko idzie porządnie jak w zegarku. Wesoly,

otwarty, bez przymusu i etykiety, ale przytem ma przyzwoity takt w obejściu się, nie lubi rozpusty i oszczerstwa. Dziwną ma własność poznawania ludzi; trafny, prosty i razem głękoki sąd o rzeczy, a wszystko to nabył bez żadnych teorii lecz praktycznie. Jego dowodzenia nie trąca ani żakostwem ani sofizmami nowych teorii, ale wprost, zdaje się ożyły, wylęgły na miejscu a rozrabiają się w szczególnie trafnym i oryginalnym sposobie, na przysłowia i przypowieściach narodowych. Daj mu jaką chcesz myśl zawilą, on ci ją rozłoży, dobierze się do jądra, wyprowadzi z niej rezultat najpewniejszy. Puścił się w świat, jak sam powiada, z jedną złotówką w kieszeni, i przez lat trzydzieście dorobił się pięknego majątku. Żyje bez długów, nie skąpo ale i nie rozrzutnie, gospodaruje wzorowie. Z Marysią kochają się od lat dwudziestu pięciu jak gołąbki i nie mówią do siebie inaczej, jak: „Jegomość dobrodziej, Jejmość dobrodziejka.“ Trzeba ażeby termometr rozczulenia stanął o kilka stopni wyżej (co się zdarza ledwie razy kilka do roku), a wtedy on ją zowie „Marysiu“ a ona jego „Stasiu.“

No, i jak tu proszę niekochać Sędziego kiedy on taki pocziwy i tyle w jego słowach prawdy? Ztąd też, jest on u nas wyrocznią, jego obierają kompromisarzem, do niego udają się o radę, od niego zaczynają się wszystkie uchwały, składki, projekta, jego słowa cenią jak dukaty. Ale nikt go bardziej nie szacuje nad dorobkową szlachtę. Temu oto trzeba na posesijkę,

temu włożyć w handelek, temu na coś kolwiek innego, jakie kilkaset czy kilka tysięcy złotych, udają się wprost do niego, spowiadają się przed nim szczerze z zamiarów, z nadziei: on ich wysłucha, wybada, wyrozumie, a skoro postrzeże iż człek poczciwy i opatrzny, że dopomódz mu można, pożyczą żadaną sumkę a w dodatek, daje długą radę i naukę.

Jest tu i drugi pan Sędzia. Głupstwo i zrozumienie tego człowieka niezmnieszyły się ani o włos jeden. Obywatelstwo, tytuł Sędziego, dusz pięćset, siedzą mu zawsze w głowie. Nie cierpię tego człowieka. Oburza mię ta pogarda, to ubliżenie biędnym, to zaprzanie się własnego pochodzenia, ta źle rozumiana duma przez którą chce się oddzielić od uboższej klasy. O, jakże obfitujem w podobnych półgłówków! To klęska, to plama, to hańba nasza!... A toż unizienie się z tem wszystkim, gdy idzie o interes?... Serce boli patrzeć jak ten szkodliwy rozsądnik naszych prowincij, fundujący się li wyłącznie na źle rozumianej wyższości, a upoważniony i kursujący przez majątek, w złą nas wprawia opinię u obcych, a co najgorsza iż wywiera zgubny wpływ na biedniejszą klasę. Temi, są to tak nazwani oficjalisci, którzy odrębną a tak charakterystyczną składali klasę onego czasu, kiedy to jeszcze też prowincije nie poklatkowały się na tysiączne cząstki lecz w kilku zostawały rękach. Wszak wiesz jak to liczna była przed laty gałąź szlachty i jak przez długą a jednostajną kolej życia, odrębnym siebie nacecho-

wała wyrazem? Byli to po większej części ludzie poczciwi, przywiązani i wierni. Służąc z pradziadów po wielkich skarbach, przekonani iż za poczciwe sprawowanie się czekają ich na starość, domek z dożywotnią pensją i opieka dla dorastających pokoleń, służyli ci dobrzy ludzie gorliwie, przychylnie, a co najbardziej, poczciwie, nie obciążając sumienia hańbiącym czynem. Jeszcze przed niedawnymi czasami, widziałem po większych skarbach te ocalone szczątki i z serca kochałem się w tej ich serdecznej otwartości, w tych szlacheckich dworach z fuzją, skrzypcami i kalendarzem na kołkach, z kwiatami na oknach, obrazami i cyfrą gospodarzy na ścianie. A oweż folwarki w kwitnących ogrodami wioskach? owe przy nich sady, gołębniki, ganeczki z czysto wymytemi ławkami, owe zabawy, polowania, zjazdy do kościoła albo na wieczorynki? owe ładne, świeże ekonomówny i ich hołdownicy panowie pisarze, leśniczowie, rachmistrze, owe mazury ze wszystkimi akcesorijami i te gry w cenzurowanego, w wojażera, wszystko to było prostsze ale serdeczniejsze i weselsze niż dzisiaj. Tak rozsadzona po prowincjach szlachta, gospodarząc i bawiąc się na przemian, przechowywała w łonie swem te tylko pojęcia o obecnym ich bycie jakie odebrała przy dworach; tymczasem ogólny stan rzeczy zmieniał się i inne na masę narzucał formy. Rdzeń tych mas nie tak prędko uczuł wpływ zewnętrzny i aż dopiero wyzuł się z biernej roli kiedy zmuszono go do tego. Zaczęły się krat-

kować majątki, napływali coraz nowi dziedzice, nowe wprowadzano ustawy i nieznacznie nikły ogromne magnatów dobra a z niemi i dawniejsze formy gospodarskiego bytu. Pozbawiona miejsc szlachta, tułała się tu i ówdzie bez zasobów i wsparcia, aż przyciśniona głodem i chłodem, czepiała się lichych miejsc po wioskach drobnych obywateli i już samo przez się nie mogła mieć tych wygód, tej niezależności jak niegdyś. Od tych, co byli zanadto już starzy na odrodzenie, nie można już było i żądać odrodzenia: ale byli młodzi, lecz na nieszczęście ci młodzi niemogli się otrząsnąć tak prędko od wyobrażeń ojców. „Źle na świecie!” mówili Ojcowie, źle na świecie powtarzali i dzieci, i szli po tejże samej drodze dalej a dalej z tem przekonaniem, że to nie im tylko lecz wszystkim źle na świecie. Jeśli kto i rozpatrywał się czasami około siebie i mógł wpaść na myśl: czy nie obrać by innej drogi? to znowu z drugiej strony: przyzwyczajenie i bojaźliwa niewiadomość, ciągnęły go na stary trop jak wilka do lasu, bo on zwykł się z tą biedą i jak ów poleszuk, nieśmiało budować sobie z cegły pieca, nie dla tego ażeby to nie było dogodniej, ale że brakło mu na odwadze, przejść z kurnej do wybielonej chaty.

Cóż więc następowało po tem wszystkim? Jak w każdej ostateczności: wynaturzenie się i nędza. Ta niefortunna młodzież, straciwszy się siedząc na bruku do ostatniego grosza, rozlazła się po miejscach, mało już zważając na dogodność, lecz byleby zapewnić mi-

zerny kawał chleba. Ten tam został pisarzem za kilkadziesiąt złotych, ten przyjął obowiązek quasi ekonomy u obywatela, który sam niedawno powstał z ekonomy i sam zamieszkał folwark i sam wypisywał pańszczyzną i był istotnym ekonomem: czym więc tam mógł być ekonom jeśli nie posługaczem? Inny został rachmistrzem miniaturnej rejestratury i przytem odbierał polecenia zastępować miejsce prowentowego pisarza; inny nakoniec leśniczym kilkudziesięciu morgów lasu bez gajowych i wygodnego pomieszkania. I to nic jeszcze, ale zważ że ci nowi *pomieszczyki* są to różnego rodzaju, różnych plemion, dumni, kapryśni; ci znowu, ulegający i biedni. Kiedy tamci nieczuli wędzidla w obejściu się, ci musieli znosić w milczeniu wszystko. Szczęście nie potłumi złych nałogów w głupim człowieku, na to trzeba oświaty, ale nieszczęście może wynaturzyć i najślachetniejszy charakter. Łżony, pogardzany, w ubóstwie i nędzy, pędząc ciągle koczujące życie, on pierwaj zamknie usta, potem ozwyczał uszy, później zobojetni uczucia, nakoniec ubezczelni czoło—i oto masz z prostego, poczciwego człowieka, godną litości i pogardy istotę. Nie posiadając głębszej oświaty, co by go jedna podźwignąć mogła z niedoli a przynajmniej dać wyższy pogląd na rzeczy, on przeciwnie zniża się jeszcze bardziej: zaspokojenie doczesnych potrzeb uważa za jedyną rękomię bytu, tak myśląc osłabia moralność i nakoniec przechodzi do piątego aktu życia w którym kończy

stosownie do tego, jak przemaga jakiego rodzaju siła skłonności — gorzalką albo hańbiącemi czyny.... Mój Boże! wielużto z pięknemi nadziejami młodzieży, przeszedłszy przez podobną kolej, skończyli tak smutnie! I cóż tu więcej obwiniać należy: przyczynę czy skutek?

O, jak mię bolało nieraz kiedym patrzył, jak młodzieniec zdolny do broni lub pióra, tracił młodość na lichej funkcii pisarza lub stajennego, czapkując przed panem, zlizując w kredensie talerze, spełniając najniższe rozkazy, obrywając kpy, durnie i z tem wszystkim, nie mając dostatniego grosza na okrycie grzbietu! A tak otoczonemu głuszą wiejskiego życia, odosobnionemu od postępowego świata, obcemu ustaw o wzajemnych stosunkach w społeczeństwie, ten pan pozyskuje w jego oczach jakąś uległość bojaźliwą i bezwzględną. Czegóż to jest skutkiem jeśli nie ograniczonych pojęć o świecie, o jego instytucjach, jego dążności i potrzebach? Nabralbym ci na to z pod ręki kilkadziesiąt przykładów. Z kolei mógłbym ci wskazać i tych, których jakiś szczególny wypadek na inną pchnął drogę. Podczas kontraktów napływa tutaj tułackiej szlachty mnóstwo. Poznać ich nie trudno z ubogich szat, kornej miny, niepewnego spojrzenia, stłumionych pojęć. Ale jeśli wielka ilość odważa się aż tu szukać dla siebie miejsc, daleko większa nie wyziera z głuchych wiosek, obcą jest nawet w pojmowaniu troszeczkę wyższej cywilizacji. Ten co się niezastanowi

głębiej, nad ich obecnem położeniem, posądzi ich o zły pierwiastek i posądzi najniesprawiedliwiej. To ni mniej ni więcej, jak jeszcze dawnego kopyta szlachta, tylko o tyle niższa od innych moralnie o ile niższa stanem. Duma, otwartość i szlachetna uległość tamtych, żyje i w tych, ale już trąci albo śmiesznością albo zbyt niem ponizeniem siebie. Jezuicka i bazylikańska oświata uczepiła się od ojców i sukcesorów, ale tak sobie — bez wymusu, więcej przypadkowie jak z porządku rzeczy, i to piąte przez dziesiąte, at, jak ta babiego lata pajęczyna, co lecąc z wiatrem, uczepi się pierwszego z płotu kołka. Są nawet, jeśli chcesz, zdania o warunkach bytu o społeczności, o stanowisku własnem, o przyszłości, nadziejach, o polityce nawet, — ale biedne to zdania! Tak i poznasz od pierwszego razu że wylęgte jeszcze z głów konfederackich, albo cuchną miodami Radziwiłła. Kiedy świat, ledwie nie co rok, jak wąż, nową bierze na siebie łuskę, to jakoś dziwnie cudzo, pływają one po dzisiejszej warstwie wyobrażeń. Oto co w nich jest najbogatszego, to uczuciowa strona. Ponieważ te nie mają daty, więc chociaż odziane nie w nowe formy, ale zawsze nie są bez interessu i ceny. Prawdziwe złoto ma swą wartość w najbardziej staroświeckim naczyniu. Wielu z nich noszą ten drogi skarb w swém sercu nie czyniąc z niego użytku, nie znając prawdziwej jego ceny i powiem śmiało: są niem bogatsi od wielu innych przy całej swej nędzy i będą bogatsi aż

dopóki nie wydurzą ich u niego za jaką podejrzaną wartość błyskotkę, jak wydurza żyd znalezione przez prostaczka klejnoty, za kwaterkę piwa.

A może to już zakrawa na kazanie, mój kochany Józefie? Przebacz mi moje zbytnie uniesienie się. Kiedyż-bo-ot, tak, słowo po słowie, myśl za myślą, zagnały mię aż do tego punktu. Tak to w najmniejszej części, w każdej stronie społeczeństwa, z jakiegoś by punktu niepatrzył na nie, skoro wpatrzysz się głębiej, musisz zawsze badać moralny grunt człeka, bo ten jest, że tak powiem, wielkim naszym ogniskiem gdzie ustawicznie pod tysięcznymi kształtami różnorodnie odlewają się formy.

TWÓJ KAROL.

Ale. Ja cię zapomniałem uprzedzić o nieznanym ci jeszcze Panu Ubiornickim, który tu przyjechał z żoną, z tą młodą, śliczną Ewelina!... Zdaje mi się iż ona od czasu twojego wyjazdu jeszcze bardziej wyładniała. Na samo wspomnienie o niej, stają mi mimowolnie w myśli upłynione chwile, twoje stosunki z tym domem, twoje myśli, słowem cały chaos najsprzecznějších uczuć, pod których wpływem zostawałeś kolejno i co cię w końcu wyгнаło od nas na daleką północ i dziś zamieniło może na wyrachowanego zimnego, obojętnego człowieka... Ubiornicki wprost stąd jedzie do Petersburga z żoną, i ma tam zabawić

miesiący kilka, w celu dopilnowania się w ważnym procesie o wieś własną. Widząc się przed tygodniem zemną, wziął on twój adres i miał nawet po przyjeździe być u ciebie

Józef powstał i zaczął chodzić po pokoju. Jego twarz przybrała wyraz jakiejś niespokojności i zadowolenia: znać było iż nowe myśli zaroily się w głowie. — Ewelina! Ewelina w Petersburgu! mówić do siebie, o! jakżebym rad widzieć ją i... i jego coprędzej!

Wtém zajęczał dzwonek w przedpokoju.

— To on! to mąż Eweliny.... rzekł Józef, i przez chwilę, młody, przystojny, elegancko ubrany mężczyzna wszedł do pokoju.

Był to istotnie p. Ubiornicki.



2.

Muszę wam dać lekki szkic Eweliny. Ewelina była prześliczną kobietą. Młoda, świeża, z czarnymi oczami, z czarnymi włosami, wzrokiem pełnym to melancholii to ognia i ślicznie obrysowanymi ustami. Harmonija w tych rysach była zachwycająca: składała się z nich całość, pełna nieopisanego uroku. Patrząc na nią, zdawało się że morze rozkoszy zalało by szczęśliwca w jej objęciach... Te ramiona... te piersi... ta wysmukła i razem pełna pieszczotliwych form postać... słowem, wszystko, aż do drobnej stóпки, zachwycało oczy. Ale była to piękność nie tylko dla oczu; o nie! Przez te zmysły które natura oblekła w tak czarowną osłonkę, biło uczucie, wywnętrzała się myśl, ta myśl, co to w kobiecie promieni się przez serce, przeświadcza nas o jego pełnym życiu i ubiera w nie-

wypowiedziany urok to wszystko co wyprowadzi na jaśnią.

Boże, mój Boże! myślałem nieraz, żeby taka żona malarzowi, poecie, o, oni by umieli czuć, ocenić te przymioty i wdzięki! do iluż-byto szczytnych natchnęła ich utworów! A może i nie tak? myślałem znowu. Może i ten poeta i ten malarz, dotąd tylko promienią się natchnieniem, póki trzymają się pod słońcem, nie zlecą na poziom, nie trąca o rzeczywistość? A może i ten kwiatek, dotąd tylko wonny i uroczy, pokąd niedotkniemy go dłonią? O, nie rozczarowujmy się dobrowolnie!

Pan Ubiornicki, był to człowiek, jak można było poznać i ze starannie układanej toalety, zakochany w sobie po uszy. Zwierciadło i modne suknie były dlań najważniejszym zajęciem i głównym prawie życia przedmiotem. On wnioskował i o ludziach na tejeż zasadzie. Ten kto się ubierał najmodniej był według jego zdania najrozumniejszy człowiek, taki tylko mógł zająć całą jego uwagę, pozyskać przywiązanie, z takim chciał wejść w bliższe stosunki, bo ta powierzchowna tożsamość uprzedzała go niejako już z góry iż znalazł swego wśród obcych, który będzie umiał ocenić go, podtrzymać jego zdanie. Pieszczotliwe domowe wychowanie, powierzchowny polor, nieznamość świata, zniżone do drobnostek pojęcia i jaka-taka twarzyczka, oto co wyradza u nas tę kukielkową młodzież, która zaniechawszy głębszego

kształcenia umysłu, traci pół życia przed zwierciadłem, drugie pół na salonie, i potem przeistacza się w jakiś nijaki rodzaj bez męskiej energii i siły, lecz i bez wdzięku kobiecego uczucia. Jota w jotę taką istotą był pan Justyn. Jego edukacja ograniczała się francuszczyzną, brząkaniem na fortepianie i tańcami. Gdy nakoniec postrzegli rodzice iż synek z laty zaczął nabierać coraz większej śmiałości i dumy, hardo się nadstawiał guwernerom, przechwytywał po korytarzach pokojówki i niechciał się już uczyć zgoła, osądził za właściwsze, zamiast wyłożonego kołnierza z którym chodził do lat ośmiemnastu, obwiązać mu szyję szalikiem, zarzucić już spencerek a natomiast sprawić garnitur modny i wprowadzić do salonu jako zupełnie skończonego człowieka. Poczawszy się bez wędzidła, dopiero zahulał nasz panicz. Powyrzucał książki, zaczął uczęszczać na bale, tańczyć, romansować, sprawiać co miesiąc nowe suknie, jeździć do Kijowa na kontrakty, do Odessy na lato, a gdy powrócił z miasta i łaskawe sąsiadki zaczęły wychwalać przed matką nabyty polor, białość lica, lustr włosów, postępy w muzyce i śpiewie, co gdy mu powtórzyła i mama, upojony pochwałami chłopiec, zakochał się jeszcze bardziej w sobie, zaczął się bać słońca, jeść naczco jaja, polewać olejkami głowę, mydlić się co dnia i przeglądać się w lustrze. A tak nadszedł czas i ożenienia się.

Dziewczyna z którą się ożenił pan Justyn była to, jakeśmy powiedzieli, anioł nie dziewczyna. Wychowanie wprowadzie na tę samą stopę, ale jój wdzięki, jój naturalna bystrość pojęcia, miały widoczną wyższość nad bierną rolą męża. Jój umysł nie lenił się wyrabiać z różnych wrażeń, jednego stałego przekonania, chwycił każdy przedmiot nowy, z niedowierzaniem przyjmował słabszej natury zdanie, ale lgnął namiętnie do takich, których czuł wyższość. Są to zwykle skutki tych żywych uczuć co wyszły na świat bez stałych zasad o pewnej, niezachwianej prawdzie, chcieli ją znaleźć — szukali do koła — i znaleźli.... co? romanse francuzkie pod ręką. Te romanse napelnione całemi secinami najsprzeczniejzych, najróżnorodniejszych idei, na drugie tyle rozgałęziły się idei w pojęciach naszych czytelniczek. To już nie jedna, stała a nie dwuznaczna prawda: to już nie ten przybytek, do którego z jakiegokolwiek zakołatałbyś strony, wstęp mieć będziesz, lecz jedną tylko do wyjścia drogę: tu przeciwnie, jak w magazynie ubiorów, na każdy wzrost, na każdą figurę, wybierzesz odpowiednią szatę. Ty nie pytaj ich uprzednio, czy tak można czynić? Ty czyn i tylko załadaj zasad na swoje widzimi się, zaręczam z góry iż niepowiedzą: Tej szkoły niema u nas.

Ewelina właśnie była kobietą naszego czasu. Z natury żywa, dowcipna i pełna uczucia, ona mogłaby zostać pięknym wzorem cnoty, przykładem dla wielu,

jeśliby umiejętne kształcenie tych darów, umieściło każdy z nich na właściwym stanowisku i odpowiednie dało do wykonania role, jeśliby te piękne przymioty, w pączkach jeszcze, poddane zostały pod pewną stałą ideę, któraby odtąd służyła niejako tłem do rozwinięcia na niem dalszego życia. Tymczasem rzecz się miała inaczej. Pan Sędzia, sztuka harda, nadęta, kupiwszy majątek i nazwawszy się obywatelem, a do tego, będąc obrany urzędnikiem, postanowił dać modne wychowanie swej jedynaczce, jak je pojmują teraz. Trybem więc już zwykłym, przyjęto cudzoziemkę, nauczyciela muzyki i śpiewu, nauczyciela tańców, nakoniec dodano do tego wszystkiego troszkę jeografii, malutką dozę historii, i oto nadpłynął rok siedemnasty, Ewelce podano balową suknię i wprowadzono w towarzystwa. „Ewelka skończyła edukację.“ rzekli rodzice, i wieść ta leciała piorunem między młodzieżą wietrzącą ładnej, bogatej i modnie wychowanej osoby. Obaczyli ją młodzi i krzyknęli: „A, elegancko wychowana dziewczyna!“ Obaczyli starzy i powiedzieli: — „Sędzia dał swej córce edukację, jakby była z książęcego rodu.“ I taką opinię zrobiło jej co—jak się wam zdaje? Kadryl, romans odśpiewany przy fortepianie i kilka dowcipnych fraz powiedzianych we francuzkim języku. A tymczasem, byłożto prawdziwe wychowanie? Nie byłożto właściwie mówiąc, podrzędna warstwa oświaty, ograniczająca się li uszlachetnieniem postaci i ruchów, obciążeniem pamięci i ukształceniem zmysłów?

Wszak przyznajcie że nie nadto, inaczej, nie mielibyśmy jak mamy dzisiaj, całe seciny tak nazwanych *edukowanych* ludzi.

Mówiąc prawdę, nie wiedziała i Ewelina iż strona moralna w niej nie odebrała całe wykształcenia i że to co posiadała pod tym względem, było nabytem już z praktycznego życia, lub na gołą nitkę naczepianem z przykładów i książek, co tuż nawinęły się pod rękę. Zapatrując się na ogół i ona w tymże starała się iść kierunku: nie upatrywała więc w nim nie tylko nic niewłaściwego, ale uważała koniecznem takie postępowanie. I ona, gdyby miała dzieci, także dałaby im wychowanie, i ona, tak jak kobiety wielkiego świata, pojmowała małżeńskie związki, tak ironicznie uśmiechała się na wszystko co wychodziło z przepisów mody, i tak samo sądziła o ludziach z nóg i palców. Była tylko sprzeczność pod jednym względem. Uczucie miłości, zwykle przemagające nad wszystkie inne w tak młodem jak Eweliny sercu, podniesione do ideału przez ustawiczne czytanie romansów, jakoś niemogło obżyć się ze światem i ludźmi. Niekiedy rada by ona już była wyplenić go do szczytu, zagłuszyć w gwarnym balu, ubezczynnić w sobie, widząc jak pustelniczą gra rolę i jak dziś niepodobna dogodzić jego chęciom; ale młodość miała swoje prawa. Ona zawsze w chwile ciszy lub rzewnych dumań, przynosiła na pieśczośliwie trzepoczących się skrzydłach swoich prześliczne ideały miłości, które tak jakoś lubo krewniły się z jej

sercem, tak się przywykało do nich, że bez nich i bardziej smutno i bardziej czczo zdało się być na świecie. Jak tu zaradzić temu? To pytanie nastroczało się jej nieraz, lecz niebyło zaradczego środka. Ona myślała iż związek małżeński zapełni próżnię życia, ale nie! rzeczywistość była daleką od stworzonego ideału. Mąż odpowiadał wprawdzie powierzchownym wymaganiom, ale miłości nieposiadał w jej sercu.

A tak Ewelina zostawała pod wpływem marzeń i jakiejś nieokreślonej nadziei. W takim stanie romanse francuskie najwłaściwiej zaczęły jej przypadać do gustu. Im czytała je chciwiej, tem więcej odkrywała w nich pierwiastku dziwnie stosownego z jej stanem; aż stopniowie z tej amalgamy wrażeń i wniosków powstały w jej myślach formy różnego wyrazu i kształtu, które, ażeby zaczęły process życia, brakło im tylko siły ruchu. Rozogniona wyobraźnia złościła swe skrzydła w oba końce: kierunek jej polotu był jeszcze niewiadomy, ale chwila czynna, porwanie się blizkie.

Nazajutrz o godzinie 12 Sonecki udał się do Justyna. Ewelina była w rannym eleganckim ubiorze. Ciemna suknia tak była jej do twarzy, tak przy niej ponętnie odbijały się białe ramiona; młode piersi tak rozkosznie rysowały się przy nich, stanik tak był szczupły, cała postać tak powabną i wdzięczną, iż niewiem jakbym nazwał tego któryby wpatrując się w tę miłutką całość, nie przeszedł pod wpływ uroku. Sonecki też nie był bez wdzięku. Nic nie było w jego ubio-

rze coby wychodziło z granic przyzwoitości, żadnej oznaki fantastycznego gustu. Modny frak obrysowywał doskonale wysmukłą jego postać, czarne włosy rozdzielone na dwie części, zwijały się dokoła w pełny jeden pukiel. Czoło wysokie i czyste, twarz myśląca i nieco blada.

Rozmowa Józefa z Eweliną była dla obojga pełną interessu i zajęcia. Oboje użyli wszelkich środków by zbadać się mogli. On chciał poznać czem jest dziś w gruncie ta śliczna, tak go niegdyś zachwycająca kobiéta, — a ona: jakiej natury jest to przeobrażenie się człowieka, który niedawno jeszcze tak był pospolitym w jej oczach?

Oto jak mówili po dniach kilku:

— O, trudnoby mi było zdać sprawę z tych wrażeń które działały nieprzerwanie na mnie przez czas tak długi i właśnie w epokę najczynniejszego bo młodzieńczego życia, mówił Sonecki.

— Utrzymujesz pan jednakże iż odmieniły go o wiele? przerwała Ewelina, przebierając jakby od niechcenia stronnice książki leżącej pod ręką.

— I tego powiedzieć nie mogę. Ja poszedłem w świat już z doświadczeniem i znajomością jego. Wszystko co on rozkrył przedemną i czem miał mię zachwycić, nie czarowało mię bom już był rozczarowany i obojętny na to wszystko. Utrzymują że rozum zyskuje, uczucia tracą na tem. Ja rozumiem iż uczucia mogą zostać w pierwotnym swym stanie, poddać

je tylko należy pod pewną, stałą władzę rozsądku. Od tego to zimnego mentora zależy wszystko i wybierając z dwojga jedno, wolałbym zawsze przewagę jego nad przewagę serca. Chcąc być kierowanym nieomylnie, trzeba zimnej natury przewodnika. Uczucie samo przez się, jest to ogień silny własną siłą ale bez metody i mocy. Jestto śliczna korona palmy, ale dla tego śliczna iż rozwiewa się wspaniale nad ziemią, będąc wzniesiona na pniu, bez którego nie miałyby tego stanowiska i tej co ma mocy.

— Pan bardzo podrzędną rolę dajesz uczuciu.

— Bo też ono jak lijołek ma woń w trawie.

— Pan bluźnisz! Czemuż, jeśli nie uczuciu winni są ludzie tyle świetnych czynów? ku czemu skierowałyby się cała ich dążność bez tego budzielnika? Czémbyśmy żyć mogli?

— Gdzie rządzi rozum, tam potrzeba nie wiele tej woni.

— Żałuję serdecznie losu tego biednego pańskiego uczucia, rzekła Ewelina z uśmiechem. Zapewne panowie nosicie termometr na sercu?

— Który zowiemy doświadczeniem, dodał Józef kładąc dłoń na piersi.

Ewelina spojrzała na Soneckiego badającym wzrokiem i w tejże samej chwili spotkała się z jego spojrzeniem. To zetknięcie się promieni tak było silne iż należało użyć całej mocy zimnego wyrazu z jednej,

a uzbroić się w nieruchomość z drugiej strony, ażeby wytrzymać natarcie.

— Poznają teraz, rzekła Ewelina po chwili, iż byłoby nawet nie właściwie żądać od pana czegoś innego, nad pojęcia, jakie zwykle mieszkańce miast, robią sobie o warunkach życia. Tu, gdzie człowiek doprowadza siebie do takiego stopnia analizy, że go, jak dubeltówkę mojego papy, można rozebrać na części i znów złożyć w całość, czém on może być więcej, jeśli nie machiną wprawioną siłą pary do ruchu.

Józef uśmiechnął się.

— Istotnie, rzekł, taki stan jest właściwy wielu; ale co do mnie nie jestem i nie chcę być podciągniętym pod to prawidło. Są ludzie zużyty, przesycony światem, z wypalonem już uczuciem, z obojętną wiarą w to wszystko co trąca o wyobraźnię i tajemniczość, i ci to ludzie żyją wyłącznie przez rozum, pojmują przez rozum i wierzą przez rozum, ale żyją, pojmują i wierzą takim sposobem nie z wewnątrz nabytego przekonania, lecz że nie mogą inaczej, bo wszystkie warunki wiary stracili w materjalnem życiu. O! ale ja daleki jestem, a przynajmniej dalekim być pragnę tego życia! Ja umiem pojmować jego czczość i zimno... Ja, jak skarb drogi cenię uczucie i tylko pożałowawszy nieraz, danej mu swobody, nie przyznaję mu dziś samojstnej siły.

Ewelina była przez chwilę milczącą. Znać było iż tłum sprzecznych myśli zajął ją mocno, że te myśli

nie mogły się ułożyć tak prędko i jednego wyłonić z siebie wypadku. Cożkolwiek bądź, raz wzięwszy już na siebie obronę serca, któremu była winną tyle słodkich marzeń, nieodstępowała od raz przyjętych zasad.

— Ale czyż doprawdy konieczna, rzekła na wpół z uśmiechem, poddawać je pod gderania tego zrzędy, który na każdym kroku wymaga ślepego posłuszeństwa dla siebie, broni właściwych mu rozkoszy i bluźni ze wszystkich jego sympatij? Że te jego sympatije nie zgadzają się często ze zdaniem zimnego rozumu, to prawda, że sprowadzają nawet złe skutki — i temu niezaprzeczę, ale przyznaj pan iż cokolwiek miało-by nastąpić, to zawsze u brzegu tego wiszaru uczepia się i taka cząstka prawdziwej rozkoszy, którą zaliczamy często do najszcześniejszych chwil naszego życia, która, nawet po stracie onej żyć przez pewny czas może. Proszę mi teraz pokazać podobne szczęście, jako wyniosłość kombinacyj czystego rozumu? Maż ona to naturalne ciepło? tę woń nadprzyrodzoną?

— Niech i tak; lecz nim się zgodzę zupełnie, proszę mi pierwiej rozwiązać kilka kwestij z tego stanowiska: Czy Pani wierzysz w *prawdziwą* dziś miłość?

— Czemuż....

— I że ona może wypełnić *trwałem* szczęściem nasze życie?

— Nic w tém niepodobnego.

— I że, *prawa jej* powinny być szanowane przez *ustawy społeczne*?

— O, to już rzecz wcale druga! rzekła Ewelina z uśmiechem i znaczącem spójrzeniem. Pan mię, jak uważam bierzesz za wielką *parafiankę*, Ale ja w swoją kolej zapytam pana; *Czy ustawy społeczne u nas wykonywają się summiennie przez serce?*

— Nie.

— Dla czego? Czy że pozbawiacie uczuć właściwego im życia, tłumiąc w nich wszystko co jest wyższem; czy że dając tym uczuciom wolę buntowniczą i niezależną od włożonych nań obowiązków?

— Z tych obudwu przyczyn, odrzekł Józef, z tą tylko różnicą, że też obie przyczyny tłumaczą tu sobie zupełnie odwrotnie. I tak, co Pani nazywasz wyższem, to tu zowią sentymentalizmem, a jaśniej parafianstwem. Co Pani zowiesz wolą buntującą się, to tu uważa się za wyższą lub rozumniejszą dążność, w obu dwu razach nie żyją wcale w swerze uczuć. Osoba nie wyzwolona z pod ich władzy, zostanie tu najnieszczęśliwszą istotą. Pozory ją omylą, a u celu wyjdą na jaw zasady obojga, wbrew przeciwne sobie. Będzie to jak grunt płodny, przyjmujący w swe łono ziarno pozbawione roślinnego życia.

— Ale na Boga! kiedyż i jak się wcielają te pojęcia? Wszak nie będziesz pan utrzymywał zapewne że się z niemi rodzą.

— Nie, zaiste? Skłania ich do tego ciągle zajęcie się wyrachowanem życiem. My pozbawieni jesteśmy czasu i warunków koniecznych do kształcenia serca, a natomiast nie zawarowani od wpływów co je psuć mogą. My żyjemy pamięcią i metodą, a wy — myślami i uczuciem. Nam zbywa na środkach zgłębiania uczuciowej strony w nas samych, a wiejskie życie, przeciwnie, obfituje w te chwile. My ledwie zdążymy wysłuchać, wybrać, użyć setną częśćkę z tych przedmiotów z którymi tysiące ludzi nastreczają się ustawicznie, niosąc formy i tłumacząc skutki, a wszystko to już przygotowane, już wykończone, tak że je tylko pozostaje przyjąć jak pigułki, gdy w życiu spokojnem, więcej zawartem w sobie i polegającym tylko na sobie, wszystko to przychodzi nie razem, często z trudnością a rzadko bez zgody serca. Ztąd my możemy żyć lepiej lub gorzej, niezastanawiając się wcale nad naszym stanowiskiem, często nierozumiejąc go nawet, a licząc na to, że są co za nas myślą. Pochwyceni tą głuszącą trąbą świata, lecimy w jej wirze z milionami stworzeń, wcale nietroszcząc się na jaki cel i dokąd? Uprzedzani zawsze w naszych potrzebach i pod względem materialnym i pod względem umysłowym, stajemy się jak dzieci, leniwi do przytrudnych zgłębiań, kapryśni i wymagający. Bezwzględny egotyzm zawładnął nami zupełnie. Brak pieniędzy, to jedyna tama zdolna wstrzymać nas w biegu, ztąd też, na uniknienie tego tylko szwanku płodni

zostajemy w sposoby. Ale życie wiejskie, to życie wcale drugie! Tam uczucie najpełniej wstąpi i najpiękniej kwitnie. Nie kłócone ani brukane żadną postronną żądzą, ono jak orzeł, krąży cicho i stopniowie topi się w błękitie lub zniża do ziemi.

— Oto w tém, podzielałam zupełnie pana zdanie, ale czy nie można tu będzie użyć jego broni na zwalczenie przedtém wyrzeczonych myśli? Pan sam w téj chwili na tak piękne stanowisko wyniosłeś moją sympatię, bo nie powiem *metodę*, iż jeszcze mocniej odtąd stać będę przy mém zdaniu.

— Pozwól Pani uczynić uwagę iż jest to dopiero zarys punktu wyjścia, ale bynajmniej nie pogląd na rzeczywiste skutki. Gdybyśmy zesli do wypadków, niezawodnie że ta idealna szata nie przystanie kształtnie do form naszych.

— A to dziwna! dla czego?

— Dla tego właśnie iż jest zbyt idealną. Trzeba być bardzo naiwnym ażeby z całą szczerością serca przyswoić ją sobie i nosić w obec tego świata.

— Dajże pan pokój! odpowiedziała Ewelina z lekką wesołością, widząc jak lice Soneckiego zaczęło przybierać wyraz powagi i przejęcia się zbadaniem rzucanej kwestij. Zabłąkamy się za daleko i najniezawodniej zgubimy się oboje. W te prawdy na serio, mam jakieś dziwaczne uprzedzenie, nie wierzyć zupełnie.

— Może i to ma swoją rację; ale niech mié Pani nie zostawi bez odpowiedzi, pierwszej podanego zapy-

tania: — Czy miłość powinna być szanowaną przez ustawy społeczne?

— Odpowiedzieć na to najłatwiej jednym słowem: *powinna*; rzekła Ewelina na wpół żartobliwie i spojrzawszy na Soneckiego wzrokiem który zdawał się badać i chytrze i ciekawie, czy widzi on trudne jój położenie?

— Zgoda i na to, rzekł najubożniej Sonecki. Lecz jeśli te ustawy znieważą prawa miłości, co wtedy?

Ewelina spuściła oczy, chmurka zamyślenia przeleciała przez jej czoło, ale w mgnieniu oka rozjaśniało znów lice i w niewinną spokojność oblekły się rysy. — A propos Justynie! rzekła naiwnie, zwróciwszy się do męża który siedząc na kanapie gwizdał jakąś aryjkę i wyciągał to jedną to drugą nogę, opatrując czy gładko leżą pantaliony. Czy piękna dziś pogoda?

— Śliczna możesz użyć przechadzki.

— A kupiłeś mi podług wynotowania wszystkie nowe książki.

— Kupiłem *ma chère*.

Ewelina spojrzała nań z wyrazem nieokreślonej dobroci i na znak dziękczynienia podała śliczną białą swą rączkę, którą gdy pocałował, objęła pieśczośliwie jego szyję i wycisnęła pocałunek na czole.

Józef zaledwie wierzył swoim oczóm.

Ewelina w samą chwilę pocałunku spojrzała na Józefa.

Ten patrzył w nią jak w tęczę.
Oboje użyli całej sztuki udawania.
Józef zdał się być zimnym, obojętnym.
Ewelina jakby spójrzała bez zamiaru.
I oboje uczyli iż niemogli jak chcieli oszukać siebie!



3.

Sonecki na usilne proźby Justyna, podjął się nadać ile można lepszy kierunek processowi, wzmoenił go korzystnie stosunkami i protekcją i nieszczędził starań.

Te przygotowania zajęły czasu nie mało, a im w bliższe wchodził Józef stosunki, tém korzystniejsze utrwalał o sobie wrażenie na umyśle Eweliny.

Pan Justyn kochający się w ubiorach i samym sobie, znał już doskonale sklepy: Olivier'a Rutch'a Grobe, Rejnold'a, nosił najmodniejszy frak, składany kapelusze Cimmerman'a, szalik z magazynu Junkert'a, palto od Cypmer'a, szelki nawet kupił sobie inne, a tak wystrojony, nie zwiedził wprawdzie w Ermitarzu obrazów, Akademij, nie wiedział gdzie biblioteki, muzeum i inne osobliwości stolicy, nie zastanowił się

nawet nigdy nad tém, zkąd płynie Newa i w jakiej stronie morze? ale pił czekoladę, u Wolfa, jadł obiady u Izlera i uczęszczał do klubów. Co do Eweliny, ta miała sobie dostarczane przez Soneckiego, ledwie nie co dnia najnowsze francuzkie romanse, odwiedzała teatru, nieopuszczała też i balów, a wszędzie jej nieodstępnym towarzyszem, jej tłumaczem był Józef. Gdy tak bywając codziennie, został prawie domowym, jego obecność stała się dla Eweliny nie już przyjemną tylko, lecz pożądaną i jakby konieczną. Jej się zdawało iż on tylko umiał najtrafniej pojmować jej myśli, wypełniać jej chęci; on miał najgruntowniejsze zdanie, najlepiej wykształcony gust, najprawdziwszą znajomość rzeczy. To zaufanie przekraczało już wprawdzie niekiedy granice w których radziby zawsze mężowie widzieć młode swe żony, trącało też niekiedy o lekkomyślność, wszakże nic tam w istocie nie było złego. Józef utrzymywał się na przyzwoitem stanowisku, nieprzekraczał granic, miarkował uczucia, słowem, był rękojmnią spokojności wspólnej. Były i nieraz chwile — o, jak dogodne do wywnętrzenia głębszych uczuć, do upojenia się rozkoszą..... I cóż? on z zimną krwią ronił je w przeszłość, najobojętniej ocierał się o urok, przed którym żadne młode serce nie oparłoby się za miliony, i z powierzchowną spokojnością wcielał się w swą rolę, jakby nie troszcząc się bynajmniej o to co tracił.

Ale jakkolwiek obejście się jego było skromne, podkopało ono jednakże spokojność Eweliny. Przez czas pobytu jej w Stolicy, utworzył się nieznacznie w niej jakiś nie wyraźny zarys obecnego jej stanu, czego jednakże wytłumaczyć sobie jaśniej nie umiała, to tylko czując iż nie była ztąd zadowolona. W te chwile rozmyślań Józef zawsze nastroczał się jej wyobraźni, i był to jeden tylko przedmiot, około którego lubiły krążyć i cokolwiek uspokajać się jej myśli. Ale czémże był dla niej Józef? Istotą zupełnie obcą, nie mogącą wywrzeć żadnego wpływu na jej losy. Lecz cóż było w tym losie iż tak zdawał się pragnąć zmiany? Takiz stan trwał jak przed tём. Więc z kądże zródło niepokoju? Z własnego serca; ono poczuło iż niema zadowolenia.

Jeśli raz spadnie myśl na ścieżkę taką, łatwo zgadnąć iż w tymże kierunku poleci i dalej. Nic łatwiejzego jak zbrukać tło jej czyste: na to starczy jednej kropli brudu.

Kiedy Józef mówił Ewelinie o swoich uczuciach, nie powiedział on jej nigdy tak, żeby to ją zupełnie uspokoić i zadowolnić mogło. On jej kreślił wdzięk tego uczucia, szczęście jakiego doznać można pod jego wpływem, cierpienia z niём nie rozłączne, skutki pod najróżnorodniejszymi względami, słowem, w tej ślicznej powieści przewijał kolejno żywe i ciemne kolory, plątał w nią obrazy swoje i swoje wrażenia, wskazywał czyjeś rysy tak podobne do niej i mówił że te

mu są najmiłsze, a jednakże nie powiedział jej nigdy że ją kocha: uśmiechał się nawet z ironią na to zużyte słowo, gdy je słyszał wymówione w teatrze lub powtarzał z książki. Wśród takich rozmów, zdało się często Ewelinie że została powiernicą najskrytszych jego tajemnic, że on wypowiadał się z najdroższych mu uczuć, lecz zagłębiając się później w analizę tych rozmów, dziwiła się swej iluzii, bo w istocie on jej nie mówił tak o sobie. Ewelina nie pojmowała siebie. Niepewność i razem ztém lubie jakieś wewnętrzne przekonanie dręczyły ją na przemian. Często zadawała sobie pytanie: ażali nie skłonność własnego serca rodzi te marzenia? Ścieraała więc je co żywo i składała te drobniutkie cząstki pod wpływem już innym z usposobieniem nowém. I cóż? prawda była nie omylną, tenże sam formował się obrazek, lecz czemuż mi go (myślała) nie złożył nigdy sam Józef, lecz ja tylko, ja sama koniecznie?

Przez miesiąc Ewelina już nie mogła nie wyznać przed sobą iż kochała Józefa, ale cóż to była za miłość tak skryta, tak zawarta w niej samej, tak ograniczona od wynętrzenia i zadowolenia? Możnaż ten stan nazwać miłością, kiedy był on mało co więcej nad prosty obrazek usnuty wyobraźnią, jakich tysiące przeciągają co wieczór, co noc, przez nasze głowy? Dziwnyż bo to człowiek ten Józef! myślała często. Widzę iż nie jestem nań bez wpływu, iż on rad zgłębiać najskrytsze moje myśli, wyprowadzać na jaw uczucia, i ztém

wszystkiem tak zdaje się nie żądać nic nadto, tak rad kryć się ze swym egotyzmem iż ktoś by rzekł: albo ten człowiek stanął u mety, albo nie widzi dalej jak do ręki. Ale nie. Jego rozum zdaje się być tak wszechstronnym iż wyprowadzić go zdolny z najtrudniejszego położenia, a przekonania tak dowodne iż zdają się go dzić ogień z wodą. Jemu jednemu radabym zaufała z góry.

Zbadałem teraz tę kobietę, myślał w swą kolej Józef. Zbadałem, bo znalazłem słabą jej stronę i już zawładnąłem całą. Wszak ona odtąd zatracą swe zdanie a zaczyna żyć mojem? Mogę ją prowadzić tak ostrożnie iż nie nadwerzę sumienia, nie wynaturzę serca. Ślicznaż bo to kobieta! Ta jej pełność uczuć zachwyca, czaruje mię mocno. Ewelina byłaby niebezpieczną dla mnie, gdyby nie egoizm, nie ta emancypacyjna filozofija Sand, co się przebija w jej słowach i chce przejawić w czynach. Uchyl tę wadę i ona zda się słabszą istotą, ale dla mnie będzie niebezpieczniejszą. Kontent nawet jestem z tej wady. Przy zbliżeniu się nie wpadnę w prąd tego uroku co ją otacza zawsze, będę mógł patrzeć na nią ciągle tem co dziś patrzę okiem.



4.

Było to już w Maju. Hrabina S. przed wyjazdem swym za granicę dawała bal świetny. Pałac jej zamienił się w czarowny ogród pełny najpiękniejszych kwiatów, przepelniony blaskiem i wonią. Cudne utwory pęzła i ogromne zwierciadła okrywały ściany rześisto oświetlonych salonów; posągi, biusta, wazy, białe karraryjskim marmurem z pod gotyckich łuków oblamowanych różami, obwitych powojem. Pod stopą czuleś albo płyty zwierciadlanej posadzki albo miękkiej puch perskich kobierców.... Ale któż z bawiących się mieszkańców Stolicy nie widział tych ślicznych obrazów gdzie gust i sztuka używają wszelkich środków omamień i uludy ażeby oczarować zmysły, złożyć obraz idealnych rozkoszy i wdzięków, urzeczywistnić to wszystko, co Mitologija rozumiała być wyłączną posiadłością Bogów?!

I oto bal się zaczął. Zabrzmiała muzyka, salony zasnuły się tańczącymi pary. Już skrzyżowały się wdzięczne figury kadryla, przeleciały lekkie wichry walca, rozwinął się swobodny mazur, bal ożył pełniejszym i rozmaitszem życiem. Ruch, gwar, pieszczotliwy szmer atlasów, jedwabi i wpeł głośne rozmowy, wszystko to zlewało się w jedną nótę pełną jakiejś szczególnej przyjemności, jakiegoś upojenia, uroku, pociągających niepostrzeżenie słuchacza w swoje zaczarowane koło.

Pomimo tylu jednakże ponęt, nie nieznam przykrzejszego jak być uczestnikiem tych balów, nie mając ani jednej młodej kobiety z którą możnaby zamieniać się myślami swobodniej, szczerzej wypowiadać się z uczuć, rzucić kilka na ogół uwag, słowem pomówić odrzuciwszy na stronę te zużyte formy salonowych rozmów, które jak maska, kryją zmyślonymi prawdziwe rysy i ledwie na oczy, na usta, pozwalają zostawiać otwory.

Jeszczeż to na prowincii. Tam nie tak zużyte serca, tam jeszcze po kilku słowach zawiązesz rozmowę która zajmie cię przez nie udany interest, nie wymuszoną uwagę, odłoni ci często charakter pełny albo naiwnej prostoty, albo silnego uczucia, albo wprost sobie pocziwy, staroświecki, który przejrzyś jak czysty źródł wody i którego niepokochać nie można; ale tu, tu gdzie raz na zawsze, jak wizytowe bilety, nosi z sobą każdy wykute, odlane frazesa ażeby przy pierwszym spotkaniu się rzucić je sobie wzajem, wymie-

nić jak piłki, tu, gdzie często po całogodzinnej rozmowie żadna myśl nowa, głębsza, otwartzsza, nie związała wzajemnego interesu i rozeszło się i wnet że zapomniato się o wszystkim: kłamane uczucia tu powlekły się ironiją, tam pogardliwym uśmiechem, często sama tylko ironija wyłącznie zaprawiała rozmowę i szczypiącą swą własnością podtrzymywała jej interes, o, mój Boże! jak te bale, te świetne bale odstręczają i nudzą tych wszystkich którzy nie w pokazaniu modnej kamizelki lub białych rękawiczek, chcieliby znajdować przyjemność!

I my, my sami, kiedy nas nieozwyczajonych owionął ten czad miast wielkich, myśleliśmy z początku: O! jakież tu obfitość i rozkoszy i szczęścia! A dziś, kiedy poznaliśmy składowe jego cząstki, mieli możność obaczenia odwrotnej strony, mówimy: O! jakież tu czczość! jakie tu nudy!

Ale to nie wszyscy podobne wnioski wyprowadzają z tych zabaw. Są płytkie głowy i płytkie uczucia, tych do późnej siwizny bawią bale. Przez długą i ciągłą w nich wegetację, zamieniają się im w drugą potrzebę, jak kawa, jak obiad, jak fajka. I szczęśliwi są tem swoim niziutkiem szczęściem, i bawią ich te dzieciństwa! Powiedzcie mi, czy litować się nad nimi czy zazdrościć im trzeba tego życia?

Ale dajmy temu pokój. Przebieżmy salony. Oto skończył się kadryl i rozsypały się tańczące pary, tu ponizały się w ogniwa, tam rozdrobiły się na jedno-

stki, ówdzie jak wazony kwiatów, poformowały się w kolorowe grupy. Gdzież nasza piękna Ewelina? czy odszukamy ją w tym mnóstwie? O, czemuż! ona tak młoda! tak ładna! tak się ubiera gustownie! Patrz, patrz, dla czego to obległ tak ten fortepian rój mundurów i czarnych fraków? Słysząc... leją się pełne życia melodije... Czyjeś białe, drobne rączki biegają po klawiszach... na kruczych włosach widnieje przy stroiku drobna gałązka polnych kwiatów i bieje rząd pereł... przezroczysta gaza obwiewa ramiona... atlas... koronki... nie widać już dalej... ale oto podniosła głowę... powieki... spojrzała... jakie oczy! o! o! to Ewelina!

Ewelina wstała od fortepianu, przyjazny szmer uwielbienia rozległ się do koła. Kilku śmielszych posypali admiracje we francuzkim języku. Ewelina uśmiechnęła się łagodnie, wyszła z koła i usiadła na kanapie. Jej oczy szukały Józefa, znalazły, i Józef wyczytał w nich odpowiedź na ten cały tuzin powszednich komplementów. Rój mężczyzn wił się przed nią. Józef usiadł opodal i najobojętniej bawił się kluczykiem od zegarka pokręcając go na grzechoczącej osi. W tłumie mężczyzn widoczne było wahanie się. Uplynęła minuta (a i jedna minuta milczenia, na balu jest rzeczą ważną!) i najpiękniejsza z kobiet nie miała przy boku Celadona.

W tem jakiś lew petersburski w modnie skrojonym fraku, z puklami na głowie, w złocistej kamizelce, uper-

fumowany i wydmuchany, zbliżył się i usiadł obok Eweliny.

Usiadł, trzeba było zacząć rozmowę, a tu jak na toż brakło do rozchodu zapytań.

Ewelina postrzegła to trudne położenie i umyślnie przedłużyć go chciała.

— Pani grasz przecudownie!

Łagodny uśmiech był odpowiedzią.

— Ah! tak grać! to.....

— Nic nadzwyczajnego.

— Przeciwnie! przecudownie! zachwycająco!

I znów milczenie.

— Piękną mamy pogodę.

— Zaprawdę, czas prześliczny!

— A jakie nocy!

— Cudne!

Lew już nie był w stanie utrzymać się dłużej; wyprężył się, poprawił włosy, powstał i odszedł z wesołym obliczem.

Jego miejsce zajął jaskrawo ubrany jegomość z długą facją trzymający się prosto jak świeca, z krzyżem na szyi, czarnymi bakenbardami i w nowym szaliku który tak mu dolegał iż nie mógł obrócić swobodnie karku.

— Pani zapewne nie oddawna bawisz w północnej Stolicy?

— Przyjechałam tu w Lutym.

— Którego dnia mianowicie?

— Niepomnę, szczerze mówię panu... rzekła Ewelina z uśmiechem dającym do zrozumienia jak mało dla niej ma interessu zaczęta w podobnym kierunku rozmowa.

— Jednakże w połowie miesiąca czy później?

— Zdaje mi się iż około dziesiątego.

— Około dziesiątego! Przypuśćmy że około dziesiątego! Już więc mamy, mówił pan *Czynownik* grubo i powoli, trzy miesiące i dni osiemnaście. I długo będziemy mieli szczęście oglądać Panią w naszych murach jeszcze?

— Prawdziwie, odpowiedzieć nie umiem. To będzie zależeć i od woli i od interessów.

— A, od interessów! A w której jurisdikcii mąż Pani ma interessa? ciągnął dalej badania *Czynownik*.

— W Senacie podobno, rzekła Ewelina nie bez widocznego przymusu, tak jej dzikiem zdało się być to słowo i jeszcze gdzie? na balu!

— A, w Senacie! pozwoli Pani zapytać w którym departamencie?

— Niestety! jesteśmy na takiej drodze rozmowy, odpowiedziała Ewelina nie mogąc się już wstrzymać od śmiechu, iż na żadne pytanie nie będą umiała dać panu zadawalniającej odpowiedzi.

— A, Pani nie znasz w szczegółach tego interessu, rzekł nie wzruszony i niepostrzegający się *Czynownik*,

wszakże wiadomo zapewne musi być Pani, jakim się agituje porządkiem“ appellacyjnym czy *czastnym*?

Dalibóg nic nie wiem! powtórzyła Ewelina z przyciskiem.

— A, i tego nie wie Pani, bo jeśli *czastnym*, to może się zdecydować prędzej: a jeśli appellacyjnym, to z porządku i trzeba czekać niekiedy bardzo długo.

W tem z prawej strony usiadł ogromny, wystrojony i opięty gwardzista.

Czynownik odszedł.

— Pani tańczysz *Polkę*?

— Zostawiam tę przyjemność dla dzieci.

— Ach! jak to można! Pani tak ślicznie mogłabyś tańczyć *Polkę*! W Paryżu jak mi pisał mój przyjaciel, przy Dworze nawet tańczą *Polkę*. Taniec pełny gracji i w modzie! Ja mam wszystkie nowo wyszłe książki w Paryżu o *Polce*.

— I Pan znajdujesz w nim przyjemność? zapytała Ewelina spojrzawszy pobieżnie na oficera wzrokiem który już przedwczesnie zdawał się rozstrzygać zapytanie.

— O! nadzwyczajną! tańczę ją prawie co dnia!

— A propos! wyrwał się jakiś fanfaron w białej kamizelce i złotych okularach. Jakże Pani znajdujesz *Modeste Mignon Balsac'a*?

— Jak wszystko co wychodzi z pod pióra tego pisarza: romans pełny najsprzeczniejszych w jednym i tymże rozdziale myśli, świetny wyobraźnią i życiem.

— Co za śliczny! podchwycił fanfaron jakby obawiając się by ktokolwiek z przytomnych nie uprzedził go wykrzyknikami. *Chef-d'oeuvre!* Jakie passije! jakie charaktery! jakie obrazy! Albo *Le Juif errant* jeniálnego Sue? Czy może być co doskonalszego? Ta *Adrienne de Cardoville, te Rose et Blanche*, co to za osoby! jakie bogactwo obrazów! Nikt w świecie nie napisał nic podobnego!

I w podobnym sposobie mówił jeszcze kwadrans cały, a ponieważ mówił głośno, głowę trzymał ciągle zadartą do góry i sypał słowa bez zająknięcia, słuchano go chętnie, a nawet wielu wzięło go za rozumnego człeka.

Następnie przesunęło się jeszcze kilka oryginałów. Jakiś baron ciągle wyjeżdżający z Karlsbadem i Paryżem, jakiś hrabia traktujący od lat czterdziestu wszystkich na świecie kobiet jednemi i temiż pochlebstwami, jakiś młokos chcący uchodzić gwałtem za skończonego człeka, jakiś z długimi włosami i hiszpańską bródką męczyzna chwalaący wszystko zagraniczne, jakiś blady, schorowany młodzieniec zaprawiający ironiją każde swe zdanie i nic nierozwiązujący z gruntu, aż znudzona Ewelina powstała, przyrzekła jakiemuś nowemu modnisiowi, co zabiegł jej drogę, tańczyć z nim na-

stępnego kadryła, złączyła się z przechodzącymi damami i zgubiła się w tłumie.

Mężczyźni poruszyli się, ożył gwar, swoboda, zaczęły latać koncepta, postrzeżenia, uwagi, wszyscy byli niejako zadowoleni wewnątrznie iż wywiązali się z swej roli.

Jeden Józef przez cały czas siedział i milczał; na Józefa więc tylko rzucono kilka dwuznacznych spojrzeń.

Tymczasem Ewelina znudzona tym ciągłym chaosem i gwarem szukała ustronia gdzieby wolniej odechnąć mogła. Przechodząc po raz trzeci salony spotkała Józefa, podała mu rękę i w milczeniu wyszła z nim na balkon opleciony gęsto powojem i obstawiony wazonami kwiatów. Noc była cicha, ciepła i widna, ani jej jednakże światło, ani światło tysiąca lamp z salonów, nie rozjaśniały przyjemnego tu mroku. Ewelina usiadła na krześle, oparła rękę o poręcz i rzekła do Józefa.

— Powiedz mi Pan szczerze, czy znajdujesz dotąd przyjemność w balach?

— Oddawna ocenilem ich podług wartości odpowiedzi Józef. Serdecznie żał mi niekiedy tych chwil które na nich tak bezpowrotnie ronią się w przeszłość!

— Ach, co to za czczość! ja nie rozumiem jak mogłam gustować w nich dotąd!

— Alboż dziś zdanie już inne?

— Zupełnie!

— O, cóż za powód?

— Sama nie wiem, zdaje się żadnego; czuję jednak że iż jestem w usposobieniu ciągłym, patrzeć na świat zupełnie innem okiem.

— Jest to może skutek nienaturalnego stanu uczuć?

Ewelina spójrzała na Józefa zimnym i badającym wzrokiem.

— Tak, nie naturalnego stanu uczuć, powtórzył Józef. Dopóki jesteśmy wolni sercem, dotąd żyjem więcej zewnątrz, lecz gdy w nas samych bierze życie uczucie o! wtedy serce zawiera się i żyje niejako samo przez się. Jest to stan wszystkich egotycznych poetów, budowników nowych systematów filozofii, wszystkich męczących się nad wynalezieniem siły wiecznego ruchu a nawet... dodał biorąc jej rękę i przyciskając do ust swoich, czy pozwolisz mi skończyć Ewelino?

— A nawet... kochających skrycie od świata... do dała Ewelina. Czy zgadłam myśl jego?

— Jestże to tylko myśl moja?

— O! oby tak być mogło! rzekła Ewelina zmienionym ale wyraźnym głosem. Sama postrzegam iż tak niedoskonałą jestem w mojej roli, że musiałeś już nie od dziś dorozumieć się prawdziwej przyczyny. Zazdroszczę władzy jaką masz nad sobą, gdybym miała podobną, oszczędziłoby mię to od wielu cierpień!

— Ale kto wie, możeby i odarło z uroku?

— Albo pozbawiło uczuć? dodała Ewelina z goryczą.

— Co do mnie, nie! odpowiedział Józef a jego czoło przybrało wyraz dumy. Nikt bardziej odemnie nie mógłby się brzydzić mną wtedy!

— Józefie, rzekła natenczas Ewelina podniósłszy nań oczy w których zabłyśły łzy i tłało wzruszenie, na cóż mię było udręczać tak długo? Czyż nie zba-
dałeś, czyż nie odgadłeś mnie od razu? I ręka jej przyłgnęła do piersi. Oto w tej chwili lżej mi na sercu... Czy kochasz czy nie kochasz mię, ale przynajmniej zniszczona już między nami ta fatalna niepewność, co mię tyle tajemniczych kosztowała cierpienie!... o! zniszczona! dzięki ci Józefie. Ja cię odtąd mogę pytać się śmieiej i równie otwartej żądać odpowiedzi.

I Ewelina ścisnęła namiętnie dłoń Józefa w swej dłoni, głos jej widocznie był zmieniony, usta drżały, serce biło często: rzekłbyś iż długo tłumione uczucia gotowe były buchnąć całą siłą wylewu.

Józef widocznie się wahał... chciał przybrać zimny wyraz oblicza, ale to było już nad siły! Ta kobieta, tak nagle objęta uczuciem, z całą ufnością dziecięcia, z wiarą dziewiczego serca podawała mu rękę, miałżeby on odepchnąć ją od siebie? On widział trudne jej położenie, czuł iż lada dotknięcie wiadomej struny przypomni jej powinność.... wywoła łzy.... podda męczarniom serce... i miałżeby on sumienie być w tej chwili jej katem? O, łzy jej, zdało mu się, spadły-

by na jego serce i paliły je piekielnym ogniem!.... Spojrzał on w jej przyszłość i obaczył ją ciemną i smutną... rozwinął więc co najszerzej przed jej oczyma zasłonę obecnego szczęścia, otoczył nią ją całą i nie obierając z uroku, zagłuszył wszystko w pocałunku, w objęciu, w uścisku, i nie budząc, tak przeniósł w chaos balu, tak oddał ją światu!....

I długo jeszcze potem czuł jak na ustach jego palił się pocałunek kochanki.



5.

Upłynęły dwa tygodnie od owego pamiętnego wieczoru. Pan Justyn doczekał się nakoniec rozwiązania procesu, a że to rozwiązanie było pomyślne, więc był kontent nadzwyczaj, nasprawiwszy więc sukien co najwięcej, nakupiwszy w zapas rękawiczek, szalików, guzików, zaczął myśleć o wyjeździe.

Ewelina była niespokojną. Jakkolwiek spodziewała się oddawna tego następstwa i rozumiała jego konieczność, wszakże dopóki było ono w nieoznaczonej oddali, nie trwożyło ją wcale.

Nakoniec naznaczonym został dzień wyjazdu. Ewelina pomimo całej sztuki udawania, nie mogła przezwyciężyć siebie w tej chwili. Postrzegła dopiero że Józef mówił prawdę i przewidział wszystko. Serce jej widocznie zaczęło się oddzielać z pod wpływu przekonania i wyrozumowanej woli. Była to już nie

podrzędna siła ale coś żyjącego sobą i przez siebie. Zdawało się niekiedy Ewelinie iż ta siła chce się wytłamać zupełnie i z kolei, zagarnąć wszystkie inne pod swą władzę. Walczyła różną bronią i czuła że to była jakaś stugłowa hydra, której życie odradzało się wnet i przejawiało na wszystkich punktach wiedzy.

Kiedy wchodził Józef, ona nie mogła jak pierwej, pokrywać swego wzruszenia. Każdy jej w jego obecności uśmiech ledwie nie bryzgał łzami. Postrzegł to Józef i litość go zdięła nad tą słabą a tak czułą istotą.

Jeśli kiedy byliście zakochani moi sentymentalni czytelnicy, wy zapewne wiecie jak to jest przyjemnie zejść kochankę samotną i przepędzić z nią chwilkę w rozmowie sam na sam, nie żenując się obcych, nie ścieśniając się tą nudną salonową etykieta, tak daleką od zadowolenia i prawdy. Jeszczeż to nic, gdy te uczucia nie wywnętrzyły się w słowach a żyją-li w sercu i tajemniczo, ale gdzie już kochankowie zniszczyli tę granicę, gdzie rzetelne uczucie przybrało swą władzę, mój Boże! jak to i przykro i śmiesznie wracać przed ludźmi do pierwszych komplementów, bając o modnych kadrylach i pogodzie, działać i oddziaływać ruchami marionetki, kiedy tu tyle jest do powiedzenia o droższych i świętszych przedmiotach, kiedy uczucia tak wrą w łonie iż ledwie nie buchną przepelnieniem i tak długo, tak lubo mogą zadawalniać się sobą!... Tak myślał nieraz i Józef, gdy mu stawały kością w gardle całe tuziny modnych wizyt, te wieczne

repetycje jednych i tychże samych rozmów, komplementów, ukłonów.

Właśnie w wilię wyjazdu zdarzył się tak samotny dla Józefa i Eweliny wieczór. Niewiem już czy był skutkiem uprzedniego przygotowania, czy wypadł sam przez się, dość iż Ewelina była samotną w bawialnym pokoju, gdy wszedł Józef.

O! jakże ona była dziś inną od owej płochej Eweliny, która przed kilką jeszcze dniami śmiała się z jego przepowiedni i morałów! Na wszystkie odcienia jej charakteru rozlała się czułość. Jak przed tém najsurowsze myśli obracała w śmieszność, tak dziś gotową była zapłakać z najbliższej pobudki.

Józef przejrzał jak czysty źródł wody jej uczucia... westchnął, i nic nie mówiąc usiadł w rogu kanapy i założył po Napoleonowsku rękę.

— Czy widzisz żem ciągle smutna? rzekła nieśmiało Ewelina.

— Widzę.

— Mnie żal ciebie . . . i łzy jej zakręciły się w oczach.

— Zgadłem że tak będzie!

— Daj mi radę mój luby: ja nie przeniosę tej chwili.

— Radę? któż daje radę sercu? I jeszcze serce co by przyjęło radę?

— O, jaki ty zawsze zimny i okrutny! rzekła gorzko Ewelina. Widzisz moje cierpienia, moje łzy, moją

rozpacz, i jakby naumyślnie przedłużasz te męki! Czego ty chcesz odemnie? Żeby sama znalazła drogę wyjścia? Czy wstydzisz się, czy nie zdolny jesteś podać mi rękę?

Józef spójrzył badawczo w śliczne zwrócone nań jej oczy. Ja mam sumienie, rzekł biorąc jej rękę i przyciskając do ust swoich: ja mam sumienie, powtórzył ciszej ale dobitniej, a dłoń jego ścisnęła co chwila jakby od nieregularnego a gwałtownego uderzania pulsu, jej rękę, a co najbardziej, niechęć obarczać twojego sumienia..... Jakiegokolwiek jest ono dzisiaj, ale przynajmniej bez wewnętrznych wyrzutów i powierzchownej plamy. Kochając mię, bardziej zniewidzisz męża. To złe na cię samą sprowadzi skutki, bo jeśli okażesz mu pogardę, zniszczysz domową spokojność a z nią szczęście, jeśli zaś zechcesz skryć to zobojętnienie, spodlisz się tęp kłamstwem, ono cię zepsuje i o wiele poniży jak w twoich tak i w moich oczach. Widzisz więc że to próg fatalny a zgubniejsza jeszcze za nim droga. Ty mię kochasz i wykryłaś przedemną to uczucie, zapewnia ci ono chwilowe tylko szczęście, ale zastanów się głębiej a poznasz że równocześnie z pozyskaniem onego, niszczysz szczęście przysłego twego życia. Ja jestem wolny, ja kocham cię bezwzględnie, niezależnie od skutków.... ale jakże ty pogodzisz uczucie z obowiązkiem? Gdy dasz wolę sercu, powinność stanie się ci ciężką jak okowy. I to nic jeszcze, dziś, jutro, możesz ją zność

cierpliwie, ale co będzie wtedy gdy rozłączym się z sobą i ty powrócisz na wieś, na łono natury, rozpocziesz ciche, uczuciowe, dumające życie, samotna, z ciągłą obecnością niecierpianego męża? Gdy występku ztrzeć nie będzie można, przeszłości wrócić nie podobna, terażniejszość zda się do niezniesienia, a przyszłość stanie ci w oczach długa, czcza, bez nadziei, rozkoszy i celu!..... Wytrzymaż twe serce te męczarnie? Czy może zostaniesz pokutnicą? Czy wmówisz w siebie, jak umieją u nas wielu, że mąż i kochanek wszystko to jedno?....

— O, bodajbym nieznała cię nigdy! rzekła Ewelina blada, drżąca, wyrrywając się z jego objęć, bo przez cały ten czas trzymał on ją w swych ręku, pieścił się z jej pukłami, całował w usta. Szatan nie będzie dręczył mię dotkliwiej! Maszże ty sumienie stać mi tak okropny obraz przed oczyma?

— Żebym cię nie kochał tak jak kocham, uchyliłbym, a raczej nie wskazywałbym go nigdy tobie. Żebyś ty była pospolitą, albo już zepsutą kobietą! o! i wtenczas niemiałbym nad tobą litości! bo w pierwszym razie, nie czułabyś występku, a w ostatnim miałabyś już przygotowaną do wyjścia drogę. Ale ty nie wynaturzyłaś jeszcze swych uczuć. Przyjąwszy zewnętrzne formy modnej cywilizacji, nie uwodź się nadzieją iż wyjdiesz bez dotkliwej próby. A z resztą, na co ci ta próba? Chceszże dobrowolnie zostać zmysłową i występłą? Czy pragniesz może tego

zadowolenia jakie wystarcza kobietom wielkiego świata? To brudy! to szych! tam niemasz prawdy ani na grosz jeden! Zostać kaleką wcale nie trudno, a tém bardziej żadna to zasługa, żadne szczęście!

— Czy już że ty i naszą miłość podciągasz pod to prawidło?

— A nasza miłość jakąż jest w istocie? rzekł Józef, ziemską, a przynajmniej nie przekraczającą jej granic.

— Tak i ja może myślałam przed chwilą, lecz nie dzisiaj. Ja, co potrafiłam wyrobić w sobie doskonałą teorię naszej miłości, widzę dziś sama iż trudnoby mi ją było utrzymać na oznaczonym stopniu, może to ztąd iż nie zostałam tak wyrachowaną osobą, jakich widziałam wielu. Dziś wcale nie żal mi tego. Bolesnie to wprawdzie mieć uczucie, bo przez nie słyszę ból mej rany, ale gorsza odrętwić je do tego stopnia, iżby obojętnem okiem można było patrzeć na szerzącą się w ciele zgniliznę.

— A ja, Ewelino, widziałem i doświadczyłem że ta chwilowa rozkosz co tak uludnie wkrada się do uczuć, nie jest istotną rozkoszą, ale tylko zręczną kompilacją, często najgorszych pierwiastków. To więc com powiedział, powiedział jedynie dla tego że mi żal ciebie. Wspomniałem, że ty robiąc z siebie ofiarę dla mnie, nadwątlasz może nierozważnie swą przyszłość a twe szczęście, choćby okupem własnego, jest dla mnie i pożądane i drogie.

Ewelina objęła Józefa i gorący pocałunek wycisnęła na jego czole.

— O, nie! ty marzysz mój drogi! rzekła. Prawda, ja wtedy mogę być szczęśliwą, ale jestem nią i dzisiaj. Na co mi więcej dowodów, ja cię Kocham i jestem szczęśliwą! Jutro... obaczmy jak to będzie. Nie każde jutro nasze, a ja czuję iż w mojej wiosce, w moim ogrodzie i kilka jutro mogę przeżyć pamięcią obecnej chwili. I nie mów mi nic więcej o tem, bo słuchać niechcę nawet! Ty masz dziwną jakąś rozkosz, najpiękniejsze moje bukiety kłaść na tło czarne.

— O, niewierz temu! rzekł Józef, podnosząc do ust białą, drobną jej rączkę. Nadmiar nie może być stanem naturalnym, to taka prawda, jak dwa a dwa są cztery. A przy tém...

— Co przy tém? zapytała Ewelina utkwivszy w jego lice, piękne czarne swe oczy.

Józef miał dziką rozkosz miotać uczuciami Eweliny i opatrywać je z stron wszystkich. Gdy dostrzegł wyraz powagi na jej licu, starał się obrócić go w śmieśność; gdy ją znowu widział trzepoczącą się jak ptaszek pod wpływem radości lub uroku, jedném spojrzaniem, jedném znaczącem słowem, odbijał te ruchliwe skrzydełka kobiecej wyobraźni, a po chwili uczepiał je i znów budził do lotu.

— Widzisz sama, rzekł, iż nasza miłość, jak do dzisiaj, ma bardzo skromną minę. Sue, nazwałby ją dziecinną, Soulié głupią, Paul de Kock niema nawet o po-

dobnej miłości pojęcia. Sparaliżujmy ją na tym stopniu i co ty sama powiesz o niej przez pół roku?

— Powiem sobie, że kochała człowieka bez energii.

Józef spójrzył na Ewelinę zimnym, badającym wzrokiem, malowało się w nim podziwienie i jakaś wyższa łagodna litość.

— Niechże przynajmniej wiem czego się spodziewasz odemnie?

Ewelinę zmieszało to proste zapytanie. Poczula iż dając wolę sercu zapomniiała na wstyd, ten najpiękniejszy przymiot kobiety; nagle rumieniec oblał jej lice, usta zadrzały, spuściła oczy i nic mówić nie mogła.

— Ja za ciebie odpowiem, dodał Józef, widząc ją wzruszoną. Ty byś zezwoliła na zerwanie ścieśniających cię dziś więzów a przyjęcie drugich. Ty byś wmówiła w siebie iż z konieczności i bez rozważenia zawarłaś te śluby i jaką intrygą interessu, wzgardziła byś dziś nimi. Ty byś idąc ze mną do ołtarza, rzekła sobie: Oto dopiero idę za głosem serca! A ja ci mówię Ewelino że te marzenia dalekie są od prawdy, mogą cię oszukać i poniewczasie odstąpić rzeczywistość. Wmów sobie raz na zawsze że ten ogień nie ziemski co go zowiem miłością, ażeby palił się czysto, trzeba ażeby się rozniecił w najczystszej atmosferze. Łada chmurka już go ciemni lub gasi. Dla tego to nie wierzą dziś w istnienie prawdziwej miłości, bo

ona nadzwyczaj rzadka a często niemożliwa. Może ją wysnuć wyobraźnia poety, ale najwyższa moralność ledwie zdolną będzie wcielić w krótko trwałą rzeczywistość i to dotąd, póki nie dotknie stopą ziemi. Gdyby się i znalazła para ludzi, którzy uczuwszy taką miłość ku sobie i po odejściu od stóp ołtarza żyć nią mogli, już ta sama miłość, zdolną byłaby zamienić ich w aniołów lub świętych!... Ukochać samemu taką miłością obraz ziemski i przejrzeć go po chwili zaślepienia i obaczyć ziemskie jego przywary, jest to zostać waryjatem, samobójcą, Gustawem, jak go widzimy w Mickiewiczu. Nie szukajmy więc na próżno tej miłości, bo nieznajdziemy jej nigdzie! Dajmy pokój tym ideałom, bo jak nie mamy złotego wieku, tak nie będziemy jej używać w tem życiu!

A ty Ewelino, ty właśnie marzysz o tem szczęściu, które od nas, zbrukanych cywilizacją naszego wieku, tak dalekie! Ty myślisz że to miłość kieruje twojem sercem? o, gdzie tam! Tysiąc innych, niższych i wystarczających nam w tem życiu pobudek, ale nigdy miłość!

My jesteśmy zepsuci, a może, co pewniej, niedoskonali. Niemamy stałych prawd i niewzruszonego pojęcia, a gdzie żyć może prawd kilka, tam żyć musi i fałsz oczewisty. Zastanów się więc, ty miłość swoją bierzesz jako istotną prawdę, a ona może jest prostym skutkiem chwilowej namiętności, albo fałszywie pochlebia twemu egoizmowi, albo poniżając męża, po-

zornie wywyższa mię, wszakże bez istotnego wywyższenia. Któż zaręczy iż nie przyjdzie moment w którym przejrysz bez zasłony, albo przez drugie jakiegokolwiek pryzmo, otaczające cię przedmioty. Obaczysz wtedy że i ja nie byłem bez wad, jak się to może zdaje dotąd, serce twe rozczaruje się tem odkryciem i ty znowu nadwątlisz nietrwałą budowę twego szczęścia!

A ja, o! ty nie znasz mię jeszcze Ewelino! Ja poznałem iż cele naszego szczęścia często dopóty tylko ładne, dopóki nie zbliżym się do nich. Posiąć je, ogarnąć na zawsze, nie podobna! Pod ręką, stają się pospolite. Trzeba umieć użyć go w chwilę spotkania się i zakochać się najszczerzej i rzucić bez żalu, bo jeśli zabawisz się nad niem choćby chwilę dłużej, ono jak nie tykałny kwiat, osypie się z różowych liścików w twych ręku.

Rzadko tam jest szczęście, gdzie je zdajem się widzieć zdała. Zdarza się ono najczęściej tam, gdzie spodziewane najmniej. Ja niezblizam się nigdy do moich celów, patrzę na nie zdała, zachwycam się ich blaskiem, biegnę z całym złudzeniem, ale staję niedobiegłszy mety, lub, jeśli już chcę koniecznie dotknąć go mą dłonią, zawczasu buduję sobie zamiar, obieram dogodną stronę, i tak przygotowany wypełnię tylko plan skreślony uprzednio i wnetże odbiję od brzegu. Te moje czyny często są dziwacznej natury, często wbrew przeciw pojmowanej z głupiego punktu mo-

ralności, często w duchu najczystszej cnoty, wszakże zawsze sumienne. Ja cię kocham Ewelino, ale wiesz jaką miłością? O, nie duchową i nie materialną! więcej uczuciową lecz czystą.... Pełność, siła twych uczuć, czaruje mię mocno, zachwycam się niemi, jak zachwyca się malarz niszczącym obrazem pożaru!....

Ale nie chciałem patrzeć na skutki jego, o, i Bóg mi świadkiem nie chcę, nie żądam!

Zgubić kobietę wcale nietrudno, jeśli ta kobieta już kocha. Można ją przyprowadzić do kresu, i ona nad przepaścią jeszcze, obdarzy pocałunkiem i czułym uściskiem i pełnym miłości wzrokiem.... Nic nie widzi, nie zważa na nic.... Dla niej dokoła świat różowy i wschodzą kwiaty szczęścia. Dusząca atmosfera rozkoszy upaja jej zmysły, rzekłbyś zalewa ją, jak dzień zalewa świat swem blaskiem.

W tём ozwał się dzwonek w przedpokoju. Był to Justyn wracający z tylko co wziętą *podorożną*. Już słychać było jego kroki w sali gdy Józef schylił się do Eweliny.

— O droga moja! dajże mi pocałunek ostatni! szepnął i objął wysmukłą jej postać, przycisnął namiętnie od swych piersi i spoił z jej ustami swe usta. O! jakże ten uścisk pożegnalny był dla obojgu rozkoszny i słodki! Rzekłbyś, pragnęli zamieniać się sercami, przelać wzajem sobie to uczucie, którem przepelniały się ich piersi, ażeby na przyszłość żyć, oddychać niém jak najdłużej mogli.

Ewelina drżała jak listek... Chciała zebrać spłoszone na prędcie myśli—nie mogła!... Pragnęła coś powiedzieć, usta jej nie wyrzekły ani jednego słowa!...

O Aniele stróżu czy ty Szatanie! zasłońcie ich w tej chwili od oczu świata!



6.

Nazajutrz, o godzinie dziesiątej z rana już wszystko było gotowe do podróży. Opakowana karetą stała na dziedzińcu. Pocztowy dzwonek pobrząkiwał co chwila. Śniadanie zastawione było na stoliku w sali, lecz przez nikogo nietknięte. Czekano na Soneckiego. Ewelina blada, smutna, w czarnym lekkim szlafroczku, z zegarkiem u pasa, siedziała przy oknie i wpadała w zadumanie przerywane co chwila zapytaniem przez kogokolwiek z obecnych. Justyn w podróznym surducie przechadzał się po pokoju, to wybiegał do powozu, opatrywał walizy, zapytywał, czy niezapomniano czego, nakoniec spojrzął na zegarek i rzekł:

— Cóż to Sonecki został dziś nierzetelnym? Oto już pół do jedynastej a jego niema! Czy zapomniał o daném słowie, czy co u licha?

Ależ nie pożegnał się z nami! a tobie Ewelino miał podobno przynieść książek na drogę.

Wtem otwarto się podwoje i lokaj Soneckiego wręczył Justynowi list z niewielką paką książek.

— Co to ma znaczyć? zapytał Justyn.

— To od mego pana.

— A sam twój pan czy będzie?

— Nic nie wiem, on musi pisać o tem.

Justyn widocznie był niespokojny. Przeszedł się z listem kilka razy po pokoju, spozierał to na posłańca, to na przytomnych, nakoniec stanął przed Ewelina.

— Na, weź to, rzekł do niej podając jej list, przeczytaj.

Ewelina przyjęła list drżącą ręką, rozpieczętowała i czytała co następuje:

Parochód Unionen. 12 czerwca 184... r.

Szanowny panie Justynie! Ważne interesa zmusiły mię opuścić Stolicę. Odbijam w tej chwili do Hejlsingforsu. Gdy list ten dojdzie rąk Jego, ja już zapewne będę miał Kronsztadt. Przykro mi iż opuszczam Państwa bez pożegnania, lecz niech mię w dobrych waszych sercach usprawiedliwi konieczność. Życzę państwu najszcześniejszej podróży. Pani dobrodziece najpiękniejsze ukłony. Obiecane książki posyłam. Znajduje się między niemi i *Le Juif errant*, nowiu-

tenki romans Eugeniusza Sue, na który życzę pięknej czytelniczce zwrócić szczególną uwagę.

Stały wasz przyjaciel

JÓZEF SONECKI.

Ewelina musiała użyć przymusu nad sobą, ażeby doczytać do końca list, choć był tak krótki. Szczęściem iż wrzucenie jej nie było zauważane przez męża, a może, choć i zauważane to przyjęte na karb powszechnego zdziwienia które opanowało wszystkich. Kiedy Justyn tak gubił się w myślach, to siadał, to znów wstawał, wlepiął wzrok nieruchomy na list Soneckiego, to zwracał go na obecnych, jakby chcąc wytłumaczenia tego niespodzianego odjazdu, Ewelina opuściła pokój a ledwie zawarła za sobą podwoje, tłumiona boleść wybuchła z całą siłą, upadła na kanapę, zakryła chustką oczy, zapłakała jak dziecko....

Justyn długo jeszcze rozmyślał nad fatalnym listem, lecz gdy i po przypomnieniu wszystkich szczegółów postępowania z Soneckim, nie mógł obwinąć siebie, ażeby ubliżył mu lub naraził się czemkolwiek, uspokoił się nieco, odpisał wynurzając prawdziwy żal z tak nagłego opuszczenia przez niego Stolicy, nadmienił o niespokojności i domysłach w jakie wprawił ich wszystkich, i zakończył wynurzeniem niezmiennych uczuć wdzięczności i przyjaźni.

A skończywszy list taki, uczuł się jakby po spowiedzi, poniósł go dla przeczytania Ewelinie, a wręczwszy lokajowi, zabrał się nakoniec szczerze do śniadania, oświadczając iż od stołu wnet do powozu.

A my, jakże? a cóż z nami będzie? Czy przestaniem na tem? Czy zostaniem w Petersburgu, gdzie niema ani Soneckiego ani Eweliny? O! cóż tu znajdziem, czém zajmiemy się teraz? W komnatach zajmowanych przez Ewelinę, cicho i pusto; wspomnienia tylko, jak niewidome duchy zdają się czepiać jeszcze ścian, okien, mebli czas niejaki, ale i te zatrą się prędko napływem innych czynów i innych ludzi.

Popłyniem może za Józefem? O czego! On sam pewno ucieka od dręczących go myśli, a uciec niema siły! Niech on rozgubia swe uczucia na morzu, niech je zostawi na skałach Finlandii, niech pogłuszy w szumie Imatry, on sam chce tego!

Pogóńmy więc za Ewelina... Ale ona daleko już od Stolicy, już Smoleńskie lasy przyjęły ją w swe łono!

Prześliczna to podróż w tych pustynnych lasach Litwy podczas pogodnej wiosny! Prosta perspektywa pocztowego gościńca, rozściela się tak daleko że aż gubi się dla oka w oddali. Po obudwu stronach, to odwie-

czne sosny drzęmią poważnie, to rozścielają się długą taśmą trzęsawiska, ogarniowane najwzdzięczniej olchami i brzezina to ładne grupy drzew wychylają tu i ówdzie gałązki okryte kwiatem z pod papużej osłony, a ptaszęta dzwonią we środku, odzywają się po sitowiacz chruściele i kaczki i słomki zapadają ot tu gdzieś nie dalej jak za tym oto pagórkiem, na tej błoni.

Jednego wieczoru mijają te piękne bory karetą dobrych naszych znajomych. Droga przez ustawiczne piaski i groble była niegodziwa, ale za to wieczór był cudny! Promienie słońca jak swawolne rusalki Zaleskiego, kąpały się swobodnie w cichych topielach jezior, czepiały się drzew, zaglądały w tajemnicze łona samotnych gajów. Ptastwo świergotało jakiś wesołutki z tysiąca tonów koncert, a kulony, żórawie i czaple, przechadzały się nad samymi fosami pocztowego gościńca.

Justyn nie mógł przenieść z zimną krwią tego widoku, kazał stanąć postylionóm, wysiadł z powozu, zapalił cygaro, wziął dubeltówkę na ramię i poszedł naprzód. Karetą po głębokim piasku rznąła się powolnie i ciężko.

Ewelina pozostała w powozie sama jedna. Spuściwszy okna z stron obudwu, przezierała okolice i ta cisza pustynna, ten wdźwięk natury, na której nie znać było prawie ręki człowieka, obudziły w niej uczucia różne od tych, których doświadczała wśród gwaru

i uciech Stolicy. Tu była jakaś słodka i cicha rzewność, jakiś błogi pokój, co wszystką nieczystość albo zlewał z powierzchni, albo pogrążał na dno, a dawał widzieć tło uczuć, jak tło tych jezior, spokojne i jak kryształ czyste; a tam, jakieś zaślepienie, coś niedomarzonego, nie zaspokojonego, jakby ciągły sen pięknych ale dręczących widziadeł... Tam tak ciężko, tak ograniczenie, a tu, tak swobodnie! tak wolnie! dla piersi, dla myśli, dla oka! O, pomyślała Ewelina, piękna moja naturo! na twem tylko łonie można być zupełnie szczęśliwym! twoje tylko wiecznie świeże i wiecznie piękne są obrazy! Co człowiek zrobił w mieście? Wynaturzył siebie, zdzieciniał z wielkiej oderwanej filozofii! Jak dziecię bawi się cackami. Jeszcze gorzej jak dziecię, bo rozumie ruch tych bawidełek... Ładne są wprawdzie te bawidełka, nawet zawracają głowy wielóm, ale kto jeszcze nie przywykł spuszczać się we wszystkim na ludzi, kto nie zbyt zawierzył w automaty i ma serce dla uczuć, rozum dla myśli, o! ten wiele zbrakuje, mało oddzieli pożytecznej treści z tej stugłowej hydry! a i to co oddzieli, albo zamknie w sobie, albo zabierze na łono natury, bo tam tylko od brudu i zużycia przechować te klejnoty można.

I myśl jej z szczeblu na szczebel wspiwała się ciągle do góry, rozpatrywała się w około, aż z kolei zarzała w swe łono i skreśliła obraz Józefa. Już nie zapłakała po nim jak dziecię, ale patrzyła milcząca i smutna w wyobrażone rysy, zdawała się szukać w nich

wyrazu uczuć, które gotową była przyjąć z tak zimną jak on jej uczucia przyjmował myślą. Jej boleść zamieniała się w melancholiję.

Potem wspomniała o dziwnym sposobie jego pożegnania się; śmiesznym jej być się zdało iż Józef, tak pełny szczytnych uczuć, tak troskliwy o ich nieskazitelną, obrał romans Sue, niezabudką tych chwil tak drogich, spędzonych razem. Maż on stosunkowość z naszym dzisiejszym stanem? Żadnej! przeczytałam go już do połowy.

I tak myśląc, wzięła znowu ten tomik do ręki i kończyła rozdział, ale jakież było jej zadziwienie, gdy przerzuciwszy kartkę, postrzegła zręcznie wprawiony kajet, cały zapisany ręką Józefa, jak następuje:

O! czyż zatętni mocniej serce moje w tę chwilę, gdy traf szczęśliwy zdarzy iż ładne twe oczy zbiegną na tę stronicę i przeleją w twe serce moje myśli?.. Kto wie, może to będzie wieczorem, kiedy ty lubisz dumać samotna a ja gdzieś spoczywać na skale... albo, może to będzie podczas nocy, gdy mnie marzyć się będą twe rysy..... albo.... ale któż odgadnie tę chwilę? ja to wiem tylko iż ty długo mnie będziesz niepokoić a wiecznie żyć w pamięci!.....

Ja nie mogłem, niechciałem widzieć się jeszcze raz z tobą. Jest to niby rozkosz a w istocie męka!... Przezułem to i wolałem pozbawić siebie dobrowolnie tej przyjemności którą daje jedno twe spojrzenie, jeden pocałunek twoich ust koralowych.... Bo też to

nic bardziej trującego nad te wasze pieczyoty! najstalszą myśl stoczyć pod stopy z pulchnych waszych ramion!....

O Ewelino! coś ty zrobiła zemną? Ja nigdy nie byłem do tego stopnia bezwładny, ażebym nie dowiedział sobie! A wszakże cieszę się teraz. Moja stałość z którą oparłem się najsilniejszemu jakie kiedykolwiek doświadczałem uczuciu, wróci mi spokojność i pochlebi mej dumie, bo zwyciężyłem w istocie po dwakroć a nie przegrałem ani razu!

Ja ci obiecałem wypowiadać się z moich uczuć, z moich myśli i mojego życia. Dotrzymuję słowa.

Ja cię kochałem Ewelino jeszcze wtedy, gdy służyłem u twego ojca pogardzany i biedny, gdy pędziłem wyrobnicze życie.

Czy przypominasz? Ty byłaś wtedy względem mnie dumną, ty nie zważałaś na prowentowego pisarza, albo śmiałaś się z jego nieśmiałości i ubóstwa.

Wszakże ja miałem honor, szlachetność czynu i prawność uczucia, i może lepiej rozumiałem te cnoty, jak twoi rodzice, jak ty, jak wasi obywatele wszyscy! Powiem ci więcej: one wyrabiały się we mnie z oddziaływania na was że samych i rozrastały bujnie! Ja pokochałem te moje jedyne skarby i postrzegłem iż przewyższam was niemi, a wy przewyższacie mię tylko — złotem!

Po kilku latach ciężkiej próby, obliczyłem się i postrzegłem iż miałem za sobą praktycznym życiem wy-

robiony rozum, miłość pracy, stałość wytrwania w przedsięwzięciu, głębokie poznanie złej strony ludzi; spójrzałem na was znowu i postrzegłem iż przewyższam was o wiele cierniową koroną doświadczenia, a wy przewyższacie mnie tylko — złotem!

O, jakże byłem dumny z tych moich bogactw! Z jaką pogardą i uczuciem wyższości, słuchałem nieraz stojąc u progu, waszych głębokich rozumowań które starłbym na miazgę w dwóch moich palcach! Jak często widziałem bezczelne przywłaszczenie myśli wydarłej żywcem z książki i przyczepionej niekształtnie do fraka; zwichnione pojęcia chwilowego zapału, któremu nie wstanie byłyby dopisać w razie potrzeby ani głowa, ani serce, ani prawica! O, wieleżto razy oddzielałem z waszego towarzystwa jakie nadęte zero, obdzierałem je w myśli z szat, co na nie uczepił los wędrowny i przymierałem je natenczas, jak mierzą rekruta do istotnej miary społeczeństwa.... I cóż? Widziałem jak na dłoni niskie niedołączone stanowisko tej istoty! Zazierałem wtedy do jego głowy, ale trąciła okropnym pustkowiec!.... do serca, a to kruszyło się i gięło od naturalnego powiewu przeciwnego wiatru! spójrzałem naprzód, i widziałem drogę jego życia nudną, błotnistą, ciemną!....

I widziałem was bojaźliwych, przekonanych w duszy iż majątek stanowi właściwie waszą jakąkolwiek wartość, troskliwych o nie wypuszczenie z rąk onego, poświęcających wszystko dla zwiększenia skarbów,

i zdrowie i szczęście własnego życia i spokojność i honor i sumienie nawet.... I myślałem sobie: O, zaślepieni! gromadzicie te skarby dla przyszłych rozkoszy, zmuszacie uczucia wasze ażeby służyły dla kruszcu wykonywały powinność, a potem, myślicie, gdy zbierzem miliony, staniam na wierzchu tej kupy i będziem szczęśliwymi! O, nigdy! Bo człowiek co raz zdeptał wyrozumowanie świętość swojego powołania, nie może później ani czuć rozkoszy prawdziwego szczęścia, ani szczerze nawrócić się do cnoty..... Bo cóż to będzie za skrucha, którą układam w myśli przed chwilą zbrodni?

I widziałem was dumnych, bojących się otrzeć o ramię z biednym, jakby obawiając się zlania z nim w jedną całość, a zasadzających całe pojęcie o wyższości na hardej postawie, grubym z nimi obchodzeniu się, na ustawicznej chęci zbliżenia się z pany. Oni nie dowidzali nas biednych, oni nie mieli nas za ludzi, a ja, patrząc na nich, myślałem: O, czemuż nie mogę przez jaką czarnoksiężką siłę, przemienić się choć na chwilę w bogacza? Tylko co odprawiony pogardliwem spojrzaniem, przyszedłbym do nich wnetże drugiemi drzwiami, i w tenże sam moment gdy się chyła przedemną korne ich czoła, zrzuciłbym z ramion płaszcz mój lśniący, zjawił się w pierwszej mojej szacie i rzekłbym: Wstydzicie się sami siebie! czyż mię nie poznajecie?.....

I widziałem was niskich, pokornych, gdzie szło o interes, kupujących nieprawdę kosztem sumienia i pieniędzy, i potem krzywdzących niewinność. I widziałem obłudę pod maską hipokryzji i młode latorośle waszych familij, a na ich czołach czytałem wyraźnie palcem losu, gorzkie proroctwo Baltazara!.... Bo na czyż zażaprawdę chlubę rosły te pokolenia? Czy żeby wznieść i rozślawić imię wasze? czy zostać dobroczyńcami ludzkości? czy, żeby pojąwszy obecne swe stanowisko zespolić się sercami, umiętnie zastosować się do okoliczności i iść śmiało naprzód, pod wpływem jednej silnej woli i męskiego ducha? Gdzie tam! Wy, jak spłoszone kuropatwy, rozlecieliście się na wsze strony i w śnieg pozatapiali głowy..... Jedni z was oblekłszy się fałszywą poztotą oświaty, zasiedli rodzicielskie domy a wegetując w stęchłej atmosferze dawno przewianych przez świat wyobrażeń, idą, zdaje się na pozór, a w istocie pracują ciągle na jednym miejscu, jak ów koń w stępaku. Kształcący się mechanizm świata, jest dla nich zupełnie cudzy; żyją szczupłym zapasem przeszłości i obstają przy swoim, a jeśli i wezmą coś świeżego, nie będzie to zbadanie dążności myślących ludzi, wcielenie nowej systemy, jakies ulepszenie lub zmiana pożytecznie wpływająca na ogół, ale będzie to frak modny, kocz wiedeński, najlepsze perfumy z Francji, lub coś podobnego.

Drudzy, zasmakowawszy w próżniackim życiu, winie i kartach, objeżdżają powiaty, wietrzą balów, za-

ludnią ją jarmarki, ażeby grać, pić, śmiać się, nie zważać na nic, nic zgoła nie umieć i nic nie robić. Ich rozum tak porośł chwastem od zupełnego zaniechania uprawy, iż każda myśl, jak ziarno na kamieniu, albo leży nie puszczając porośli, lub zwiewa się od najbliższego powiewu wiatru. Nie pojmują wyższego przeznaczenia, nie biorą żadnych obowiązków, nie wypełniają żadnych moralnych funkcji. Żyją oderwanymi jednostkami i wcale nie pojmują obowiązków tej jednostki względem społeczeństwa.

Trzeci process ich działań ten sam, tylko na stopniu najniższym. Utrzymują oni iż to wszystko nie warte uwagi czego niemożna dostać ręką. Powiązali się w towarzystwa, jakby w skutek zakładu z duchem złego iż i w jednym roku można przeżyć całe życie i bez drogi dojść do celu. Im bardziej kto rozrzutniejszą ręką trwoni dary jego, ten podług ich rozumienia, odpowiada godniej przeznaczeniu. Taki stan trwa dopóty, póki młodość i pieniądze są na rozkazy żądy. Gdy która kolwiek z tych sprężyn traci władzę, zaraz całość rozchwiewa się w swoich fundamentach, oddziela od ciała i wyrzuca chorobliwe wrzody.... Ztąd już zaczyna się życie inne, życie jednostki, można wyobrazić sobie na jakich wzniesione szczytach i do jakiego dążące celu?

I ja między tymi to ludźmi pędziłem życie! Te różnobarwne obrazy przesuwaly się ciągle przed moimi oczyma. Miałem możność poznania ich z gruntu, wi-

działem je w różnych okolicznościach i w różnym czasie; bo nie wystrzegano się mię, niepodejrzowano we mnie skrytego badacza ich natury.

Gniewały i smuciły mię te wady, ale najwięcej czułem na wpływ, jaki wywierały one na massie. Budowa jej rysowała się ciągle a gruzy u podnoża świadczyły iż codziennie kruszyły się cząstki tego wielkiego i wspaniałego niegdyś gmachu, wystawionego dziś na niepogody i burze. O, jakże pragnąłem jak szukałem wtedy gorliwie środków, zapobiegających tym skutkom! jak przemyślałem nad sposobami które byłyby zdolne otworzyć im oczy na własną ich zgubę! Zdało mi się że ambony powinny były przemówić językiem Ducha do zepsutych, rozdmuchać w nich przygasłą iskrę cnoty... ale na nieszczęście, nie mogło u nas być drugiego Skargi!... Zdało mi się że dzieła religijne wywrą zbawienny skutek; zjawily się, i cóż się okazało? Te dzieła cudze wałęsają się między ogółem dotąd, jedni ich nie pojmują, drudzy pokrywają milczeniem a inni nie czytają wcale. I nic dziwnego, bo ziarna cnót chrześcijańskich, przyjmują się tylko i zakwitają na gruncie mocnej wiary, a tu jeszcze nie było nawrócenia. Nasza literatura staje tu oczéwistym dowodem.

Tak marzyłem często, ale były to marzenia, ładne obrazki zapału, nic więcej. Przeszły one bez wpływu na ogół, rozwiązały tylko dla mnie kilka kwestij, i wła-

ściwie mówiąc, na mnie tylko samego wywarły niejaki skutek.

Moja niemożność wywarcia wpływu na ogół, zwróciła całą usilność na samego siebie. Raz na zawsze stworzyłem sobie w myśli typ człowieka naszego wieku i do tego ideału starałem się stosować wszystkie moje czyny.

A tymczasem żyłem w ubóstwie i ponizieniu. Pracowałem ciężko, znosiłem nieprzyjemności mojego stanu a przy ustawicznej pilności i rozwadze, szło mi życie jeśli niezupełnie spokojnie, przynajmniej znośno. Co mię zasmucało najbardziej, to iż nie miałem przyjaciela. W klasie niższej, to jest tej, której byłem członkiem, znajdowałem poczciwych z kośćmi ludzi ale tak nieukształconego umysłu, że ani stanowiska swego ani zależności względem drugich pojmować nie mogli, a tém bardziej przewidywać smutne skutki lub zapobiegać onym; kochałem więc ich, szacowałem szczerłość uczuć, cnotliwość czynów, ale nie mogłem widzieć w nich godnych wyznawców mych idei. Klasa wyższa miała zdolniejsze głowy, ale wzajemne uprzedzenie o nierówności stanów, było szkrupułem, który psuł ciągle moje z nimi stosunki, przeszkadzał zupełnemu wynętrzeniu myśli i żywił pewną nieufność, nawet przy szczerzej na pozór wymianie przyjaznych uczuć.

A przyjaciel, powiernik, był konieczny! Nie zadowolony ludźmi, trąciłem o peotyczną strunę moich

uczuc, i ta wskazała mi, kogóż? co? naturę! Z nią to ja często, w dnie wolne od zatrudnień, biesiadowałem godziny całe wśród głębokich lasów, na stepach, na rozlewach pustynnej rzeki i gdzie tylko podobąło mi się piękne jej oblicze. Skoro brzask, dosiadywałem konia i leciałem gdzieś w samotne objęcia mej kochanki. Czułem całą dziwaczość mojej sympatii i z tem wszystkim, jak rozmarzony poeta, jak dziecię, czepiałem się na jej tęczowych barwach, budowałem napowietrzne zamki, kochałem się w mojem dziwaactwie, w tych mozaikowych obrazkach wyobraźni..... Były to najszcześniejsze chwile w mojem życiu!

Wtenczas to wyrobiłem w sobie niepostrzeżenie uczucie piękności i znalazłem cudne urzeczywistnienie tych idealnych form, w twoich Ewelino rysach. Zakochołem się w tobie! ale cóż to była za miłość? Głęboka i tajemna, jak dno nie zgłębionej otchłani! Przy całej sile jej uroku, wszakże nie zaślepiała mię ona. Czułem ciągle moje stanowisko, widziałem wasze wady, nie nawidziałem was jak pierwej, a jednakże kochałem ciebie!..... Za skarby świata nie wynętrzyłbym się przed tobą z moich uczuć. Gdybyś ty przyjęła względnie to wyznanie nie powierzyłbym tobie! Gdybyś ty niem wzgardziła, zostałbym bardziej skryty i mściwy..... Ja zreszto niespodziewałem się od ciebie czegoś innego jak pogardy lub wyśmiania. Ty byłaś zepsutą wychowaniem i ja wiedziałem o tém.

Ja kochałem cię miłością czystsza od ciebie nawet, jakże więc mogłem powierzyć ci to uczucie?.... Ty nie byłaś w stanie pojąć je wtedy..... Wiedziałem iż macie zwrócone ciągle na świat oczy i jego życie zdaniem, a moja miłość jakże mogła przyjść do tej miary? A! gdzie tam! Gdybym nawet zdołał podobać się tobie, tybyś sama nie nazwała inaczej tej sympatij jak dziecinna!....

Ja jednakże byłem szczęśliwy mą miłością. Czemu? Bo ona nie miała rywala! Wielu z młodzieży dobięło się twej ręki, ale żaden nie był zdolny kochać ciebie tém co ja uczuciem i to mi sprawiało jedyną pociechę. I ty gustowałaś w wielu, ale miłość prawdziwa tak była wtedy daleką od ciebie jak słońce od ziemi. Nie chowałaś jej wprawdzie dla lepszego serca, ale czuć jej, jak wszyscy, nieumiałaś. Ta więc miłość, którą ja czułem wtedy, wyobrażała mi się skarbem ukrytym w tobie, mimo twej nawet wiadomości i woli i zdało mi się iż przyjdzie ten czas gdy ja go odkryję dla siebie w twém sercu....

I wiesz, ta myśl dziwaczna kołysała się długo na złotych skrzydłach mojej wyobraźni. Po niej jakim czasie postrzegłem iż czystość moich uczuć, w pierwotnej swej szacie niema znaczenia u ludzi. W obliczu świata, ta cicha sentymentalność moja, jak wiejska dziewczyna, była rumieniącą się i nie mówną. Trzeba było koniecznie dumy do mego czoła, zewnętrznych oznaków wyższości i szacunku dla mego egoizmu,

gdź bez tego, świat zdał się lekce ważyć i rozum i uczucie. Trzeba było iść w świat, zarabiać na imię. Długom się wahał w myślach. Jakoś nie mogłem wytłumaczyć sobie przez żaden sposób, ażeby ten świat, tak próżny i tak dziecinny w tym obwodzie, który przez moje maleńkie widziałem okno, miał mi istotną nadać wartość, wpłynąć korzystnie na mój umysł. Dziś przekonałem się iż wielki świat dla młodego człowieka jest konieczny. Wszystkie jego teorie wyjęte w ciszy, jakby niebyły zadawalniające, wszakże co do niego samego, nie będą pożyteczne. Będą to teorie nic więcej. Można podług nich mniej więcej trafnie sądzić o drugich, ale samemu w ogromne wpadać błędy.

Ale tę prawdę odkryłem już później. Wtenczas poetyczniejsze myśli roily się mi w głowie. Chciałem zostać przynajmniej wiadomym, jeśli nie sławnym. Wytłumaczyłem sobie natenczas z pobudek własnych wyprawy dawnych rycerzy, tę niepohamowaną chęć szukania przygód i rozśławienia imienia, bo był w tém jakiś zaślepiający blask, wywyższający mię nad tłum w oczach świata, w oczach kochanki, nawet w moich.

Jeśli bym z tą myślą opuścił kraj rodzinny, może zostałbym sentymentalnym tylko, ale wiedząc iż moja miłość była więcej marzeniem własnym mojem i nie odwzajemnianą przez ciebie, lubiłem tylko pieścić się niem niekiedy, jak pieścimy często całe godziny myśl dziwną, która nas wznosi nad ludzi.

obdarza bogactwy i honory, podprowadza na skinienie i idealne rozkosze i cudne wdzięki.

Ale żyła we mnie pobudka druga. Ja pragnąłem szlachetnej zemsty nad tym co się na mnie nie poznał, co mną pogardzał, tłumem. Do nich tylko przez odgłos lub bogactwa trafić było można. Wiedziałem iż nikt z nich nie był zdolny poznać i godnie ocenić ani talentu, ani rozumu, ani cnoty.

Cel więc mojego wyjścia na świat, musiał być z samej natury rzeczy inny od celów wielu innych z gorącą pierśią ludzi. Oni szli po imie, po sławę, ażeby zostać godnymi tych nagród, jakie czekały ich czy to na łonie rodziny, czy w objęciach zostawionej kochanki, oni zawsze zwrócone mieli oczy na punkt wyjścia i do niego kierowali swe czyny, a ja, szedłem w świat oderwany całkiem od przeszłości, a przedemną rozścielała się przyszłość bezbrzeżna, a za mną kładły się mgły zapomnienia głębokie!..... O, gorzko mi było nie raz w tej ludnej pustyni! bo niech mówią co chcą, ale boleśnie jest zostawiać i te miejsca do których chociażby się samymi nieszczęściami przywykło! Mnie żal było nadewszystko mojej natury. Gdybym mógł, nieraz chciałbym zlecieć na jej łono, obaczyć te lasy, co szumiały mi tak melancholijnie jesienią, zwiedzić te pola na których błąkałem się często samotny w znojne dnie lata, usiąść nad jeziorem na górze, gdzie nieraz przemarzyłem noc całą, oblecieć jak niewidzialny duch, rodzinny mój domek,

i ogrody, zajrzeć wszędzie, lecz nie zbudzić nikogo, nie widzieć się z nikim, a potem znów powrócić do dalekiego kraju, w gwarze stuleczonej stolicy pogłuszyć rozbrzmione uczucia i otarłszy łzę, zmieszać się z tłumem i z nim razem iść a iść ubitą drogą życia!

O, niechciałem ja wywnętrzyć przed nikim, a tem bardziej przed wami, mego żalu! Wybyście mi odpowiedzieli urąganiem, dali poznać że nie umiał cenić łask waszych, i ja zostałbym upokorzony, znieważony tem bardziej... a ja nie tego chciałem od was! Ja pragnęłem zjawić się przed wami aż wtedy, gdy będę wyższy i oświatą i stanem. Chciałem was przekonać samym sobą o mej wartości, dać świadectwo o świecie iż on lepiej jak wy ocenia zdolnych i cnotliwych ludzi, i gdy stan mój daje mi wstęp i możność objawiania zdań moich, wystawiać wam na widok wady wasze i wskazywać nizkość zajmowanego przez was stanowiska.

O! i taka zemsta byłaby godną cierpień moich! Nic dla mnie nie byłoby przyjemniejszego jak zwalić jednym podmuchem tę budowę nad której wzniesieniem i utrzymaniem pracowały czas długi, wasz egoizm, wasza duma, wszystkie pojęcia wasze. Oczy olśnione blaskiem moich, równych z waszemi bogactw, nie śmiały by niedowidzieć mię w towarzystwach, a rozum wasz nie byłby zdolny ostać się przy fałszu. Zniszczyłbym go siłą prawdy i tak rozebranemu podniósłbym zwierciadło do oczu. Kto wie, możeby choć dzie-

siąty obaczył swą szpetność i okrył się przyzwoitszą szatą.

Wtenczas, myślałem, zjawiłbym się przed tobą i rozebrałbym w twych oczach składowe cząstki twoich pojęć, ten zlepek i modnego wychowania i wyobrażonych uczuć i materialnych pobudek i zdań waszego świata, oblepionych grubą warstwą fałszywego o rzeczy przekonania; rozebrałbym je, wskazał jedno po drugim i dowiódł jak każde z nich jest bezzasadne i błędne.

Wiedziałem przedwcześnie iż mi wcale nie trudno byłoby zachwiać twe przekonanie, bo gruntowało się ono na najbliższych zasadach i przewidziałem iż mógłbym zrobić dowolną sobie igraszkę z niego...ale obaczyłem cię i dojrzałem iż wychowanie twe nie zniszczyło, lecz przytłumiło tylko, dane ci od natury skarby; że jeszcze mogłaś i wartaś być szczęśliwą.

Wiem to dobrze iż przy moich środkach, przy tak szczęśliwej jaką miałem nad tobą przewadze, każdy inny zszedłby z prawej drogi i liczyłby za chlubę skłonić cię do błędu.... potem opuściłby, twoim własnym poruczyłby cię siłom, i ty nie wyszłabyś inaczej z tego położenia jak kosztem sumienia i wstydu... Może byś nawróciła się później, ale kto wie? może byś z zimną krwią została na tem stanowisku i dewizami Soulié, analizą Sand, tłumaczyła i sobie i drugim czyn podobny?....

O, ale ja nie chciałem widzieć cię taką! Bo przyznaj, czem się staje kobieta przejęta tą niszczącą filozofiją? Jak maleje a raczej niknie jej uczucie a natomiast jak wzdyma się zwichniony rozum i sili się zamienić sobą to, czego zamienić nie jest zdolny!...

Niech jak chcą tłumaczyć Francuzi oczéwistą możliwość *metody*, wszakże nigdy ona przez was na praktyce ze skutkiem zastosować się nie da. Nie dla tego iżby mechanizm onej miał być niedokładny, ale że siła budząca ją do ruchu, przenosi siłę i nie odpowiada w taktach ściśle wymierzonemu taktowi maszyny. Ażeby uchylić tę wadę, należałoby uczucia kobiece nagrzewać tylko w pewnych godzinach i do pewnego stopnia ciepła, — Bagatela!

Zegnam cię Ewelino!

Po kilkunastu dniach, ten sam przyjaciel Soneckiego, którego korespondencję umieściliśmy na początku, odebrał od Soneckiego list następującej treści:

Finlandija. Hejlsingfors. 25 Czerwca 184... r.

Mój kochany Karolu! Dopuszciliem się głupstwa, ja-kiego, dając ci słowo honoru, nie powtórzę już nigdy w mojem życiu! Purytanin nawet, wyśmiałby skrupulatność moją! Czy dasz wiarę, zakochałem się w Ewelinie? Zakochałem się szalenie, i z obięć tej czarodziejki, o nierozważny! wyrwałem się dobrowolnie

i uciekłem aż tutaj!... Gdy mię morze okoliło bezbrzeżem i ja spojrziałem ku Petersburgowi i już nie obaczyłem nic więcej, jak złotą kopułę cerkwi S. Izaaka, pełgającą jeszcze jakby z łona wód w dali, o! nie jestem w stanie opisać ci tych cierpień, które wstrzęsły natenczas pierś moją!..... Ach! krew zalewa lice gdy wspominam sobie mój stoicyzm! Ja, tak zachwycający się wdziękami kobiety, tak głęboko wtajemniczony w powab cudnych ich kształtów, tak lubiący zbudzać paroxyzmy ich uczuć i potem rozkoszować się niemi...ja mówię, wszystko to miałem pod ręką, urzeczywistnione w najidealniejszej postaci, i właśnie, gdy byłem w chwili zupełnego upojenia się tym nektarem rozkoszy, który pewno nie powtórzy się już nigdy, dobrowolnie oderwałem od czary me usta!...

Nie, nie datuję sobie tej filozofii, póki mojego życia! Już oto upływa dzień szósty a ja jeszcze bynajmniej nie ochłonąłem z wrażeń! Jest to szal tak mocny iż najhartowniejszy miecz prawdy, stępi na nim swe żądło. Powiedz dziś jeszcze iż wrócisz mi com stracił, okupem szczęścia całego życia, a odpowiem ci, bierz i szczęście i życie, wróć mi tylko pierwszy urok, niech nim pożyję choćby jedną chwilkę!...

Cóż to za kobieta! co to za wdzięki! co to za uczucie! I wy nie poznaliście jej dotąd? nie oceniliście, nie złożyliście u jej stóp swych hołdów? O, jaki u was brak gustu! jak wy cenić piękności nie umiecie!

Nie wiem co bym dał za to gdyby mi malarz mógł przelać wiernie na płótnie jej wdzięki, nadać im tę siłę uroku i w rysach, w oczach, przejawić tenże sam powab, toż uczucie!...

Na pociechę własną mógłbym ci powiedzieć żem szczytniejszego i stokroć chlubniejszego dopiął dzieła, bo skłoniłem tę kobietę ku cnocie, gdy stała już na rozstajnej drodze, pokazałem jej świat w prawdziwym świetle, wykazałem hańbiące nas wady, zwiąłem z jej oczu mgłę fałszywego przekonania i wskazałem czystszą, godniejszą jej przyszłość; ale zimne to zadowolenie dla płomieniącego się serca! Czém ono nagrodzi mi tak wielką ofiarę?

Jak to trudno, mój drogi, pokonywać rozumem uczucie! Ono zawsze ma racje swoje. Najgruntowniejsze prawdy, przystają do niego jak groch do ściany.

Ale jeślibym zagłuszył sumienie a postuchał namiętności i poszeptów zimnego egoizmu, o! zgubiłbym ją, zrobił nieszczęśliwą! Lecz kto wie, a może i nie? Dziś, bo już niesprawdza się podobno na wielu, ta dawnych romansów teorija iż dwie są tylko życia drogi, jedna na lewo a druga na prawo? Wynaleziono pomiędzy nimi graniczną miedzę i chodzą po niej wyśmienicie.

Kto wie, możeby i ona poszła tą średnią drogą? Taką rzeczą ani do tej ani do owej nie należałaby strony, a zatem oddaną by została samej sobie i dążność jej nie byłaby wsteczną.

Tak, ale podrozumiawszy działającą siłę, czy mógłbym kochać się w maszynie wtedy?

Mógłbym.... ale cóż by to była za miłość?...

O, nie! niechciałbym widzieć tego anioła w tej szacie! nie chciałbym kochać go tą miłością!

Czemuż więc, jeśli kochałem ją prawdziwiej i cnotliwiej, nie wynalazłem środka oddalić obecne męczarnie, połączyć się, ażeby nie rozłączyć się nigdy?

Nie, mój drogi! powiem ci prawdę, nie chciałem... bałem się... Ja mogłbym przyprawić ją o boleść i sam zostać nieszczęśliwym. Kto zbadać jest w stanie tajemne pobudki żądań naszych? Na uczucia nasze nie można liczyć wiele. Pospolita namiętność i czysta duchowa miłość, zapalają je jednak. *Ja i ona*, nie przystąpiliśmy do ołtarza w pierwszej niewinności szacie. Świat już wycisnął na nas wpływu swego piętno.

A skoro by znikł urok, ideał zstąpił na poziom rzeczywistości, któż zaręczy iż to samo oko co przed chwilą widziało nie istniejące wdzięki, po chwili, nie upatrzyłoby wad nierzeczywistych.

A więc obecny nasz stan jest szczęśliwszym. Nie obciążył on sumienia, nie znudzi życia. W godziny rozważań czerpiemy ztąd wewnętrzną pociechę; w godziny marzeń, dorysowuję według swych chęci i usposobień, pieścizotliwe obrazki wyobraźni.

Oto żem zakapturzył wybornie moją miłość! Milczmy, może choć cokolwiek uspokoi się w tym stanie.

O, pisz mi, mój drogi, o niej, o jej zajęciach, o wszystkim z czem dziś żyje i co ją otacza, tylko nie wspominać.... albo nie! nie! nie pisz, nie mów mi nic i nigdy o niej, bo jak dziecię gotowem rozwiać jedném dmuchnięciem, ten oto mój pracowicie zbudowany z kart domek.

Twój Józef.



G O P Ł O .

Przyszłość, przeszłość, tu spoczywa
Snem umarłych drżemie sobie,
Fala czasu tak przepływa,
Jak ta woda po jej grobie.

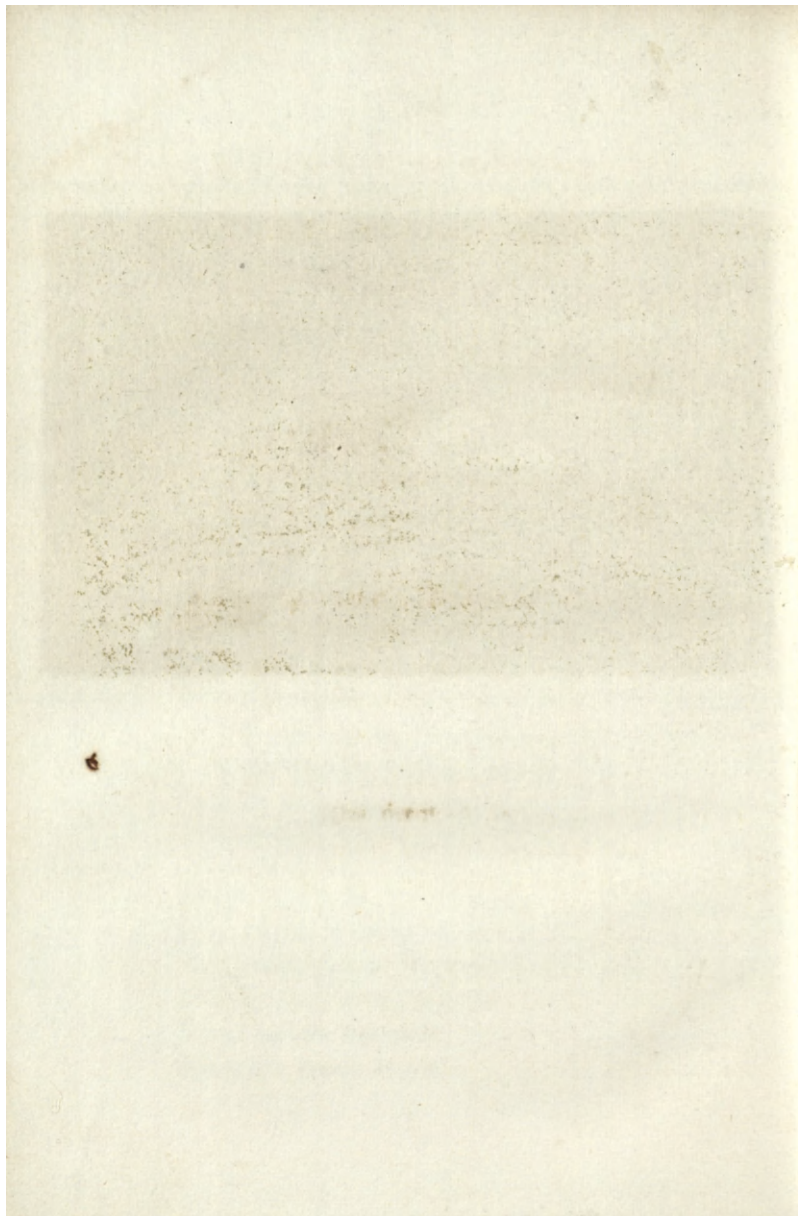
Jasne światło księżycowe
Na jeziorze modrym łśni;
A ja na dno kryształowe
Przez płynące patrzę łązy.

Długo, długo ciemno było,
Lecz się na raz rozjaśniło
Dno piaszczyste w ciemnym Gople:
Znać że Bogi w tej topieli
Z nad jeziora usłyszeli
Spadające łzawe krople.



Lith. par H. Bernal

WIEŻA w KIRUSZWICY
nad Gopłem.



I widziałem ich tak wiele!
Te posągi czarne, srogie,
Krwawy Jesse, Grom, i Lele,
Utopione bożki mnogie.

A na polach w tejże chwili
Zmarli, groby opuścili:
I myśliwskie rogi grają
Tuż, tuż przy mnie wkoło tu!
Słyszę tentent, psy szczekają:
Zmarli wstali z swego snu.

Łódka moja na przestrzeni
W księżycowej fali stoi:
A tu z brzegów mnóstwo cieni,
Leci w oczy duszy mojej.

W rysie skóry przyodziani,
W połamanych hełmach szli,
I jak chmury wiatrem gnani,
Tam daleko znikli mi.

Toż Lirnicy biegli w górze,
Pieśń przy złotej gęśli brzmiąc,
I znikali w szarej chmurze,
A jam patrzył jakby śniąc!

A w dnie wody Jesse stary,
Z bursztynowej spełniał czary
Jakby złoto, czysty miód.
A po gajach pod dębami,
Przed kapłany swe z wieńcami,
Wiatrem płynął jasny lud.

Przez wieczorną chłodną rosę,
Piasek srebrem świecił się:
Tam, Bogunki złotowłose
Majaczyły w modrej mgle.

Cuda, cuda! w takiej porze,
Pewnie Ossijan z swą Malwiną
Siedząc w górach nad doliną
Na szumiące patrzył morze.

I palcami drżącój dłoni,
Potąd arfy budził ton,
Aż we zbroi, z wiatrem do niej
Duch Fingala, zwałił on.

I zniknęli, znowu ciemno,
Księżyc w chmury spadł nademną,
Łódka biegła jak skrzelami
Jakby ryba nad wodami

Przecinała szklistą fal.
 A jam płynął zamyślony,
 Cały w przeszłość zatopiony
 Mgłą jeziora, w chmurną dal.
 I do wyspy Łódź dobiega
Mysza wieża czerni z brzeża,
 Długim cieniem po jeziorze;
 A duch zgrozy który strzeże
 Tę Popielów starą wieżę,
 Rzekł mi: „pragniesz widzieć może
 Zbrodnię w gruzach tych spełnioną
 Oto stoły zastawiono
 I puławy srebrne dają —
 Piją wino i konają!
 A tam widzisz z chat słomianych,
 Idą, idą.... tłum nieznanych
 Przyszedł sędzić zbrodnie krwawe.“
 Dość! już druhu dość!
 Śpiewaj raczej dawną sławę
 Zamilcz dawną złość!
 Po co zmarłych ze snu bud.
 Po co zmarłe cienie brudzić!
 Przebaczenie im,
 Niechby raczej nam jaśniali,
 Jak posągi srebrni biali
 Chrobrym męztwem swym.

Szanuj gniazdo swe ojcowskie

Szanuj Ojców cnoty boskie,

Zniknie próżny żal.

I przepłyniesz przez świat biały

Jak ja w mojej łódce małej!

Przez Goplaną fal.

Teofil Lenartowicz.



ROTMISTRZ JAKUBOWSKI

Legenda z herbarza.

Stary dworzec na wzgórku bieleje.

W prawo oficyny do niego prawie przypierają, w lewo trochę usunione stajnie, środkiem brukowany dziedziniec osadzony czarnemi jodłami. Naprzeciw dworca brama wysoka murowana, z herbem Topor na wierzchu, podtrzymywany przez dwóch wykutych z piaskowca rycerzy, stoi teraz otworem. Po niżej włość w zielonych drzewach i kościółek parafij i kapliczka na rozdrożu maleńka. W żywych blaskach zachodzącego słońca, wiją się sine wstęgi dymów z kominów wioski, a gorącemi promieniami oświecony dworzec, brama, i dalekie widoki sine i liljowawe, składają obraz uroczy, cichy, wywołujący natchnienie w artyście. Wywołały by natchnienie w artyście, gdyby po-

dówczas był tam artysta; ale to było dawno, dawno, kiedy miasto uniesień artysty, na widok cudnych twórców Bożych wylewało się uwielbienie i zachwycenie w modlitwie. Było to bowiem w początku XVII wieku. Stare dzieje! dwieście lat przedziału a tysiąc różnicy! Biała brama stoi otworem, na wpół oparci przy niej, skupieni w gronko, gwarzą zebrani z wioski, dworu i kościołka ludzie. Stara babka z pod kościołka z garnuszkim do okadzania u pasa, sparta na kiju, najżywiej pono ze wszystkich rozprawia, najdziwaczniej głową kręci i rękami macha. Stary także wrotny w szarej kapocie i czarnej czapeczce nieraz dorzuci słowo do opowiadania lub potwierdzi je poruszeniem głowy. Włodarz zamyslił się i kijem grzebie po ziemi, oczy trzymając wlepione w biały dwór. Oprócz tych jest tu jeszcze Kantor z plebanij w czarnym giermaku, gospodarz z pobliskiej chaty z cepiskiem na plecach i dwoje dziewczątek bosych sprowadzonych ciekawością do gromadki. Czarny kosmaty pies na pierwszym planie dopełnia obrazka.

— A cóż stary Jegomość: spytał Bartosz gospodarz.

— Jak był! odparł wrotny poważnie, nie gorzej nie lepiej. Bodaj aby mu nie przyszło pożegnać się z białym światem!

Baba szpitalna głową kiwnęła.

— Puhacz krzyczał, krucy wczoraj na dworcu siedzieli, a gdy Jegomość X. Proboszcz miał wczoraj

mszą Ś. na intencją Pańską, świeca jedna wśród oliary zgasła.

Wszyscy spuścili głowy, babka mówiła dalej.

— No, a cóż? Juściż ludzka rzecz w końcu pójść na lepszy świat, a panisko stare taki sobie niebo wysłużył.

— Któżby już kiedy nie oni! tacy święci ludzie rzekł wrotny.

— Święci powtórzył Włodarz! a co większa bracia, święci modlitwą i święci uczynkiem!

Kantor spójrzał z podziwieniem na wymównego włodarza, jakby go słowa te z ust jego zdumiały.

— Jemu umierać to nic, dodał Bartosz, ale nam bez niego zostać!

— Już, po nim tak nie będzie!

— Oj! co nie to nie! zawołała babka. Stare panisko, święty człowiek, młodego Bóg wiedzieć raczy.

— Ba! i ludzie wiedzą dodał kantor, po co to w bawelnę obwijać. Daleko jemu do ojca!

— Dobra krew nie skłamię! dorzucił włodarz wyszumi się, wyburzy, a będzie jak i ojciec.

Babka głową poruszyła.

— Wy, Wojtku, rzekła do włodarza, niedawności tu z nami, bywaliście po świecie, służyliście potem w Ostrowcu, za oczyma nie napatrzyliście się jak my, ani młodego, ani starego. Starzy to tacy święci ludzie! powiadam wam święci! A z młodego, to tak jak z cien-

kiego drzewka nie wiadomo jeszcze co będzie, czy cepisko dla Bartosza, czy krzyż na chwałę Bożą.

— Kto może wiedzieć co będzie, rzekł władarz, jeden chyba pan Bóg.

— A trochę i ludzie, dodała baba, kiedy drzewko krzywo rośnie, trudno aby z niego co prostego zrobić można.

— Porzucilibyście proroctwo!

— Porzucili albo nie porzucili, to się gada aby się gadało; nie ujmując nikomu, a trudno żeby od starego pana lepszego albo i takiego drugiego Bóg nam dał.

Wszyscy westchnęli.

— A taki chory? spytał Bartosz.

— Oj chory, rzekł wrotny, a i lekarz z Krakowa, bardzo coś głową kręci.

— Boć taki dobrze już i stary. Za Zygmunta tu starego jeszcze poselstwa sprawował, to już lata pewno mieć musiał, a od tego czasu wiele wody upłynęło.

— Widzicie bo, spokojne życie, pobożny a starowiny żywot powinien utrzymywać człowieka na długie lata, dorzucił kantor.

— Wszystko nie na wieczność! rzekł wrotny. Zmilkli, władarz westchnął ciężko, spojrzeli na drogę ku Krakowu, na której nic widać nie było.

— A młodego jak nie ma tak nie ma, dodała baba. Już trzech posłańców wysłali, a doczekać go się nie można. Nasza pani Barbara co raz to przed dworzec wyjdzie, na drogę spójrzy, coraz to pani Anna

wybieży a drogę po swojemu żegna, a pana Wawrzyńca taki nie ma i nie ma.

— A nasze poczciwe panisko, niemal co minuta o syna się pyta.

— Gdzież pan Wawrzyniec? spytał kantor.

— A w Krakowie.

— Cóż za pilna sprawa go tam trzyma?

— Albo to nie wiecie? szybko rzekła babka.

— Juściż nie wiem kiedy pytam.

— Swata się! swata, a kto się swata, zapomni świata! To i on Boże przepuść, może starego ojca zabył.

— Już co to to nie, dodał wrotny, bo kocha go i szanuje jak się patrzy; ale może go nie nadybali w mieście. Bo to szalona słysze dziewczka, może go gdzie za sobą powiodła.

— Szalona dziewczka! mówicie. Oj! prawda! Już to dość że nie tutejsza, ale z obcej ziemi przybyła; nawiozła z sobą obyczajów dziwnych, a ludzie nawet powiedają że czarownica.

— Ej! ej! rzekł uśmiechając się kantor, bogate panie w to się nie wdają, toć wiecie!

— A Malcherowa co ją spalili w Krakowie?

— Wszystko nie takż pani! Co! mieszka jedna! Ale żeby dziewczka bogata a urodziwa miała czarować.

— Wam się zdaje że tylko stare baby obdarte w to się wdają.

— A pewnie, bo coż mają robić?

— A tym czasem pewna, że to czarownica!

— Nu, a z kądże wasza pewność?

— Co wiem to wiem; pana Wawrzyńca pokojowiec, a mój chrzestny syn Janko, nie mało mi o niej nagadał.

— Cóż takiego?

— Posłuchajcież no! Ja wam tu i połowy nie przegadam, ale co na myśl przywlecze się to rozpowiem. Tajni w tém nie ma, cały świat na to patrzy. Naprzód wiecie że panna cudzoziemka, z Niemiec musi, bo wszystko złe z tamtąd nam licho niesie. Otoż niemka, mówią że wielkiego rodu, ale u nich pono wszyscy równi bo od Chama pochodzą. Bogata nie bogata, ale żyje z matką jak królowna w ogromnej kamienicy najętej. A co dziw że młodzież ciągną do siebie jak chcą i robią z nią co zamarzy. A bo to nie czary?

— Zachcieliście kiedy młoda a piękna.

— A mało to pięknych, na których nikt nie patrzy? Posłuchajcież no: żyją jak królowny, codzień uczy, śmiechy, muzyki, tańce, w piątek i w Niedzielę. A zamarzy się im co, to musi być, choćby ptasiego mleka zechciały.

— Za pieniądze wszystkiego dostać!

— Posłuchajcie no! A toż nie czary, że pana Wawrzyńca sobie przyhołubili, hę?

— Temu to i ja się dziwuję, rzekł włodarz.

— A Janko taki mówi, że to wyraźnie czary dodała baba, posłuchajcież no. Panicz wiecie jak wychowany,

gdymby mniszka, i bo nasz dwór nie przymierzając gdymby klasztor też. Pan stary przeorem, pani przeoryszą, a pani Annie tylko sukni brak, żeby była zakonnica. Daj Boże księżom taką pobożność. A i młody pan Wawrzyniec nie gdzie się wychował, nie na co się patrzył, tylko na to.

— Zapomnieliście że wojskowo służył.

— To cóż? A skorupka jak się z młodu napije. Posłuchajcież no! Gdzież to było myśleć, żeby taki święty młody chłopak jak on co pości pół roku, a nigdy pacierzy nie opuści, gdyby był chory i konaający. (Janko świadczy) zakochał się i przyplątał do takiego szalonego stworzenia jak ta dziewczka niemiecka! Boć to tam ni Boga, ni Matki Jego, ni Świętych Pańskich nie znają. Całe u nich nabożeństwo zbiorą się a uczują przy świecach, w piątek Janko widział z mięsem jędzą. Ja niewiem jak im tam żeby nie powypadają. Alboż to nie czary, że pan Wawrzyniec z innemi do niej cholewki smali. Coś mu zadali.

— Co mu zadali? zwyczajnie młody rzekł wrotny.

— Już mi tego niemówcie, żywo przerwała baba, Janko powiada, że zadali, bo tak dla niej oszalał ze się traci ze wszystkim.

Na te słowa wybiegł chłopak ze dworu i przerwał rozmowę.

— A co Pietrusiu?

— Po Xiędza biegnę.

— Pan tak źle? spytał Bartosz.

— Oj! nie dobrze! nie dobrze!

Wszyscy zamilkli oglądając po sobie, kilka łez potoczyły się na oczach, a kantor i baba odeszli do plebanii chcąc po drodze rozpytać Pietrusia, wódarz o kiju powolnie posunął się ku dworcowi.

Milczało poważne stare domostwo i ciche tylko stąpanie słyszeć się dawało w głębi. Nie było to wytworne mieszkanie, ale coś przecie miłego i spokoj owiewał wchodzącego doń. Wrażenie jakie czyniło wejrzenie na staroświeckie jego komnaty, podobne było uczuciu, które wzbudza widok cichego klasztoru. Taż sama cisza, porządek, i pobożności oznaki.

Te tu były na każdym kroku.

W sieniach dwa wielkie obrazy z historii Świętej zajmowały ściany boczne, u drzwi głównych przybita wisiała kropielniczka z krzyżykiem. Wielki zegar stary w drewnianej szafie mierzył powolnym chodem upływające godziny. W pierwszej głównej izbie sklepionej przy ozdobach zwykłych i zwiędłych, krucyfiky i pobożne napisy. Czystość była największym zbytkiem tego mieszkania, gdyż przepychu nad nią innego, nie znalazłeś. Wielka czarna księga pobożnej treści leżała otwarta na stole przy oknie, ale nikogo przy niej i pusto w pokoju.

W drugim dwie kobiet rozmawiały po cichu. Spokojne choć blade i cierpienia wyrazem oznaczone były ich twarze. Starsza w ciemnej szacie i czepcu z po-

pruszonemi siwizną włosami trzymała w rękach flaskę dziwnego kształtu i srebrny kubek maleńki. Młodsza dwadzieścia kilka lat liczyć mogąca w fioletowej sukni w czepku białym także z krzyżykiem na piersi złotym, woreczkiem uwieszonym u boku, miała różaniec na ręku i książkę niewielką. Piękne niebieskie jej oczy mgliła łza przelewająca się w nich, ale smutek rozlany w twarzy nie kaził jej cudnej, anielskiej pogody.

Pierwsza była pani Barbara z Bieszowa małżonka Krzysztofa z Ostrowca Jakubowskiego, herbu topor, na Wadowicach i Teżycy dziedzica, druga córka jej Anna z Ostrowca Hermolausa Ligęzy żona.

— Poślijcie jeszcze raz za Wawrzyńcem, rzekła Anna, ojciec chce go koniecznie widzieć przed śmiercią, i kilka już razy dopytywał mnie z cicha o niego.

— Nie mówcie ojcu, wysłałam trzy razy. Nie poznaję Wawrzyńca! Bóg wie co to jest. Do tej pory nie wraca! Boję się jakiego nieszczęścia!

— Posłańcy może go nie znaleźli, odpowiedziała Anna.

— Trudno, boć zawsze przy niej siedzi.

— Dotąd?

— Ciągle. Wielki to krzyż pan Bóg na nas zesłał! Ta kobieta o zgubę przyprawić go może. Twój mąż Anno, gdym się o nią wypytywała, bardzo się zdawał zmieszany, a i insi nie najlepiej o niej mówią. Cóż

w tём jest nie dobrego. Wawrzyniec czas traci i o Bogu zapomina i . . . tu westchnęła.

Anna pocałowała ją w rękę.

Matuniu kochana rzekła, modłę się gorąco za zbawienie Wawrzyńca! Jeszcze mi Bóg nigdy nie odmówił żadnej prośbie, nie zechce i tej pewno puścić modlitwy, nie obawiajcie się.

— Kochana moja Anusiu, grzeszysz zbytnią ufnością!

— Nie, matko kochana, proszę Boga zawsze dla drugich, nigdy dla siebie i z żywą wiarą, czemuż by ojciec miłosierdzia i łaskowości nie miał mnie wysłuchać?

Módl że się moje dziecko za tego biednego Wawrzyńca. Wiesz jak to było pobożne i święte, jak ty moja Anusiu, a teraz!

— Matuniu ja ręczę, że gdyby i chwilę się obłąkał, powróci na drogę, Bóg łaskaw!

— W niem i nadzieja.

Szelest u drzwi zwrócił ich uwagę, wszedł stary sługa ale na zapytanie o Panu Wawrzyńcu, nic nie odpowiedział.

— Godzinki czy z panną Kunegundą odprawiam? spytał pani Barbary.

— Nie, moje dziecko, zejdzicie się wszyscy do sypialni pańskiej. Pan wasz chce póki mu sił staje, przewodniczyć wam do modlitwy.

— Ależ pan taki słaby?

— Modlitwa nie wysila ciała, a karmi duszę, rzekła pani Barbara. Niech zadzwonią, a wy pocichu zejście się do sypialni.

To mówiąc podniosła zasłonę sukienną drzwi i weszła do sypialni razem z córką.

Izba ta była szczupła, uboga, chędogo i bardzo podobna do celi; na prostym łożu podwójnem, osłoniętem firankami ciemnymi leżał starzec pan Krzysztof z Ostrowca, z krucyfiksem w rękach. Na stoliczku przy nim był różaniec, relikwijny pasek Ś. Franciszka i książka modlitw. Wychudła twarz starca okryta do koła czapczką fioletową oszytą futerkiem, biała, wystawała na poduszkach podniesionych. Gruba kołdra okrywała kościste nogi i ręce, których tylko dłonie z palcami długimi wystawały na piersi spoczywając. W głowach szabla, palma, gromnica, obrazek patrona z Chrystusem na barkach, i święcone wisały wianki. Prosta podłoga dębowa okryta gdzieś niedzie grubem sukniem wyściełała izbę. Na ścianach nie prócz kilku świętych wyobrażeń. Klęcznik stał w kątku. Dyscyplina wisała w cieniu utajona.

Starzec pan Krzysztof, dziedzic licznych włości, niegdy poseł królewski i Rzptej do Turek i Węgier, w grubej szarej koszuli na twardem pośnaniu, przykryty kołdrą sukienną, sposobił się do śmierci, nie z trwogą i niepokojem dzisiejszym, ale z zimną krwią i przecuciem lepszej przyszłości, jakie jedna wiara

daje. Znać było że całe życie uczył się umierać. Na twarzy jego malowało się męztwo pewne siebie, i łagodność niczem nie zachwiana. Usta szeptały coś w zachwyceniu. Usłyszawszy wchodzących, starzec się uśmiechnął podniósł trochę i przeżegnawszy jakby modlitwę kończył, odwrócił do żony.

— A co moja panno? niesiesz mi to lekarstwo?

— Niosę i spodziewam....

— O! nie spodziewajcie się już! Mam przecucie od Boga że ziemskie biedy zakończę. Żal tylko was o! i tego Wawrzyńca szaląputa, co niewiedzieć gdzie zaleciał, a z resztą, żyło się jak ludzka krewkość pozwoliła, o panu Bogu stwórcy swoim nie zapominając, na śmierć patrząc, to i przyszedłszy do terminu nie wielki strach. Prawdać to że stanąć przyjdzie przed Sędzią straszliwym, ale to Pan miłosierdzia. Daj że mi moja panno te twoje leki, wezmę je z twoich świętych rąk, może mi aby tyle żywota przedłużą, żebym Wawrzyńcowi pobłogosławił.

— Wawrzyńciec lada moment nadjedzie.

— Wiesz o tem?

— Spodziewam się.

— A! i ja, już trzeci dzień spodziewam się, a tobie moja Anulku jak się zdaje, bo ty czasem prorokujesz?

Anna zarumieniła się i przebaknęła:

— Ale i ja go lada chwilę wyglądam.

— A! to tak jak ja!

To mówiąc wziął kubek i ucałowałszy żony rękę, wypił lekarstwo.

— Aj! wasze lekarstwo, gorsze tureckiego jadra! rzekł ocierając usta. Gorycz niestłuchana.

— Mówią że to wielki specyfik, na opadnienie z sił.

— A! a! śmiej się Jejmość z tego. Niema lekarstwa na wyczerpanie siły, póki ona jest wydobyć ją można ale kiedy zabraknie niema rady.

— Wy to mój Krzysztofie nadto o sobie zdesperowaliście.

— Uchowaj Boże! alboż to ja się śmierci boję! Smutno prawda umierać na łóżku, nie mogąc krwi przelać ostatka za dobrą sprawę przeciw pohańcom, ale co poradzić? Wola Jego. Napatrzyłem to ja się śmierci! A że mnie jak Wiszniowieckiego nie powiesili na haku za żebro, wielka łaska Boża! Już lepsze łóżko, niż taki zgon wszeteczny. W Węgrzech także hajdamactwo mnie napadłszy w górach, bo to były czasy niespokojne, zsiekło na miazgę, a ot taki przyszło umierać na domowem śmieciisku. Bogu niech będą dzięki za wszystko.

I odwrócił się do drzwi słysząc kroki, podniósł trochę, znać było że jakaś dziwna nadzieja ożywiła go.

— To nasza czeladka na godzinki się schodzi, rzekła zgadując myśl jego Barbara z Bieszowa. Może Jegomość odprawisz nas do pierwszej izby, bo tu i z ducha będącie i,....

— Uchowaj panie Boże! otwórzcie tylko drzwi i niechaj wejda. Miło ich i pozdrowić, a jeszcze mi-lój pomodlić się z niemi. I owszem i owszem. Gdy to mówił, rozszerzono zasłonę i dwór pana Krzysztofa cicho, uważnie postępując po starszeństwie wszedł do izby. Inni za progiem pozostali. Stary pozdrowił ich prawie wesoło, choć trochę smutku ciążyło mu na czole widocznie, uśmiechał się do niektórych, innym słówko powiedział, do innych rękę wyciągnął. Wszyscy witali go, pocieszali, zbliżali się ku niemu z prawdziwą serdecznością: człowiek co ją potrafił u wszystkich pozyskać, musiał też piękne mieć serce. Najlepszą jego pochwałą były wejrzenia i tży w oczach przytomnych.

Po chwilec przyklękli przybyli do koła łóżka, pani Barbara z panią Anną na czele. Stary zwłókł się jak mógł, podłożono mu poduszki pod krzyże i poczęto godzinki.

Piękny to był widok, bo wszysey z takim zapo-mnieniem się z taką gorliwością modlili do ostatka. Nareście ukończono śpiewy i modlitwę, ludzie powoli odeszli, panie tylko i stary wódarz pozostał, z któ-rym rozmawiał pan Krzysztof.

Wieczór się zbliżał, wezwany Ksiądz ukazał się w dzie-dzińcu. Tu dopiero widzieć było znowu potrzeba, jak z *Bogiem* przychodzącego witano kapłana, jak chory nawet wysilił się do ukłęknięcia na jego przybycie, jaką radością i spokojem zajaśniała twarz jego.

Wielkie uczucie połączenia się ze Stwórcą, tak go zajęło że na chwilę o synu zapomniał, cały zatopiony w modlitwie i gorącym rozmyślanu.

Noc już była, nikt przecie we dworze nie spał, dworscy, wieśniacy z przeczuciem jakimś niespokojnym gromadnie cisnęli się w dziedzińcu, a pomimo tłumu, cisza panowała największa. Szepty tylko jak szmer drzew wiatrem poruszanych, wlatywały nad ich głowami. Niekiedy bliżsi ganku dostawali języka od czeladzi i zaraz wieść ta rozchodziła się z szybkością błyskawicy, aż ku wsi podrzucana z ust do ust. Pan śpi! pan się modli! pan gada! panu zdaje się lepiej! Powtarzano z kolei.

Pod staremi jodłami siedzieli z oczyma wlepionemi w okno jego izby: świeży obrzęd ostatniego pomazania niepokoił ich, spodziewali się i bali śmierci starego pana.

A w sypialni u łóżka jego, siedziały żona i córka: stary wzywany aby spoczął, modlił się i głową potrzęsał. Sen kilkakrotnie spadał mu na powieki, a on go ciągle otrząsał z całą siłą woli na jaką mógł się zdobyć.

— Czemu nie zaśniesz kochanku, spytała nareście pani Barbara, sen ci potrzebny, i widocznie klei ci oczy, a jakbyś niechciał zasnąć tylko.

— Moja panno, rzekł cicho pan Krzysztof, boję się spać.

— Dla czego ?

— Wszystko ci mówić potrzeba, moja złota Basieczko ! dodał uśmiechając się, ty to i sama wiesz. We śnie, Bóg raczy wiedzieć, może sen wieczny zgotowany, a tu Wawrzyńca jak niema tak niema.

— Ale ty sobie tym wysiłkiem uszkodzić możesz.

— Cóż moja kochana panno, kiedy strach mnie bierze zapluszczyc oczy, abym już Wawrzyńca nie ujrzał. Coś bo dziwnie nie powraca ! czy się mu co nie stało ?

— Lada chwilę będzie, odpowiedziała żona, posłańcy go może w drodze minęli: a wiecie że po drodze znajomi, może gdzie wstąpił.

— Ja go nie obwiniam ! Broń Boże. Lecz dobrze by zrobił żeby pospieszył, bo czuję że mi się oczy nie darmo zamykają, podobno na sen wieczny. Jakaś błogość niewypowiedziana obejmuje mię, tak sobie zawsze śmierć chrześcijańską choćby w męczarniach ciała wyobrażałem.

Pani Barbara porwała się żywo. Oczy starca jaśniały w istocie blaskiem wielkim, a rumieniec od lat wielu nie widziany, okraślił mu policzki.

— Ludzie pewnie śpią rzekł, a dobrze by ich pożegnać, bo kto wie co będzie jutro, Pan Bóg mój mnie wzywa.

Żona uklękła u łóżka i wyciągnioną rękę cisnąc do ust, rzekła :

— Więc już na zawsze !

— Nie! nie! moja panno! na chwilkę! Znajdziemy się wszyscy w lepszym świecie, na którym daj Boże aby się zasłużyło, na którym nie będzie ani żony, ani męża, ale będą czyste braterskie duchy nasze. Żegnaj że mi moja panno, gdy taka jest wola Boża! A pozwól z serca podziękować za szczęście któreś mi dała, za pocziwe staranie do zgonu. Bóg ci za to w dzieciach pobłogosławi i ujrzysz je na dobrej drodze.

Chwilkę się zatrzymał, potem zwracając do Anny.

— Ty święta moja, módl się za mnie! proszę cię o pamięć na ojca.

— O mój ojczy, mój ojczy łkając zawołała Anna, mogłabym o tobie zapomnieć.

— Czuje śmierć, zawołajcie ludzi, niech moją pocziwą czeladź pożegnają i pobłogosławią. To mówiąc powstał o swojej mocy, pani Anna porwała się i wybiegła.

Wnet co żyło i co było w dziedzińcu ze smutkiem na twarzy, poczęło cisnąć się do łóża pańskiego. Otwarto drzwi na oścież, każdemu błogosławił pan Krzysztof, dawał rękę i zapewniał że o nim nie zapomnieli w ostatniej woli swojej, każdy płakał żegnając go, i tak aż do ostatniego dziecięcia wszyscy zalegli komnaty dworca.

— A teraz rzekł starzec, proszę was o zmówienie ze mną modlitw nad konającym.

Spójrzął na drzwi, nikt już nie przybywał, łza potoczyła mu się z oczów — ostatnia.

Pani Barbara odzyskawszy na chwilę utracone chrześcijańskie mężtwo, uklęka i sama głosem pewnym rozpoczęła modlitwy.

Pan Krzysztof powtarzał je póki mógł, ale widocznie opadał na poduszki, oczy mu się przymykały, wpadały jakby we śnie głębokim, usta lekko uśmiechem słodkim otwarły, rękoma przycisnął do piersi krzyż — nie żył.

Upłynął tydzień i więcej od śmierci pana Krzysztofa z Ostrowca, wszyscy posłańcy popowracali, a Wawrzyńca nie było. Zgodnie powiadali że wyjechał niespodzianie towarzysząc pannie Jzabelli hrabiance von Vriese, do Węgier w odwiedzinny jej krewnych. Matka w początku śmiercią dożywotniego przyjaciela przybita, wkrótce po chrześcijańsku odzyskała przytomność i spokój niezachwiany niczem. Od modlitw przy konającym począwszy, całym pogrzebem i wszystkim staraniem około ciała nieboszczyka pogrzebionego w Wadowicach, sama się zajmowała z przytomnością dziwną. Pani Anna trwała tym czasem na nieustannej wedle zwyczaju swojego modlitwie, nieopuszczając męża. Ubraniem ciała, stypą, wystawieniem grobu, licznymi za duszę modlitwami, rozporządzała sama pani Barbara

z Rzeszowa. Rzekłbyś że oprócz ubrania wdowiego szat podobnych do zakonniczych, nie się prawie w niej niezmieniło. A jednak sroga boleść i tęsknota dolegała ją i zmaganie się na pracę na spełnianie ciężkich obowiązków, do reszty z sił ją wyzuły. W drugim tygodniu poczęła się objawiać słabość w pani Barbarze, na którą ani myślała szukać lekarstwa, z upodobaniem wyglądając śmierci i pobożnie już do niej się gotując. Nie było tam łez, rozpadań się z czułości, ale poważny i przytomny wybór w wiekuistą drogę.

Tym czasem codziennie oczekiwany pan Wawrzyniec, nieprzybywał.

Matka napisawszy list, wyprawiła z nim gońca do Węgier.

Aż i Annę wezwał pan Hermolaus Ligeza, aby do domu wracała. Świętobliwa ta pani, którą późniejsi biografowie w poczet najświętobliwszych i prawie błogostawionych liczą, zawahała się chwilę, czyli matkę mogła opuścić, ale upewniona od niej że posłuszeństwo mężowi winna, nie bez boleści serca, wyruszyła obiecując sobie otrzymać za widzeniem się u pana Podskarbiego pozwolenie chętne, powrotu do matki. Pojechała więc do dziecięcia ukochanego, do swoich poddanych, do swych ubogich i kościołów, ale nie bez łzy żegnając stary dworzec, z którego ojciec już był powędrował na świat drugi, a matka bliska zdawała się pójść za nim.

Pani Barbara pozostała więc sama jedna na pustym dworze, z pamięcią męża i żalem swoim, w osamotnionych komnatach, na modlitwie i pobożnych czytaniach z czeladką pędząc długie godziny i niedoczekując się syna. Spełniając obowiązki swoje do ostatka, gasła powolnie, troszcząc się tylko aby nie umrzeć nie zobaczywszy i nie pobłogosławiwszy syna.

Lecz przeznaczeniem było pana Wawrzyńca, aby nikogo na ojczystym dworze nie zastał. W podróży niespodzianej do Węgier, zabawiwszy się po woli panny Izabelli von Vriese, wrócił gdy już był sierotą zupełnym.

Dwa ciała tylko ostygłe czekały nań w kaplicy Wadowickiej.

Anna szczęśliwie pospieszyła zamknąć oczy umierającej z tęsknoty za mężem matce, ona dla siebie i brata wzięła błogosławieństwo, ostatnie słowa, radę i westchnienie, ona pozostała doczekując się tu brata i modląc się w rodzinnej kaplicy dnie prawie całe.

Nim się zupełnie w tem opowiadaniu rozstaniem, powtórzemy dla podziwu i zbudowania, co o niej zostawili nam bijografowie. Nie będziemy się rozszerzać nad pobożnymi fundacjami jej w Wojciechowicach, Janikowicach, w kollegiach Jezuickim Krakowskim i Sandomierskim, powiemy tylko o życiu powszednim. Gdy małe jej ukochane dziecię, córeczka ciężko zachorowała była, poniosła ją z wielką nie zachwianą ufnością do cudownego obrazu w Częstoch-

wie; tu gorącą modlitwę uczyniwszy, zawołała że nie wyjdzie z kościoła aż ją Bóg wysłucha. I pobożne to zuchwalstwo uzdrowiło córeczkę. Ale życie całe godną ją tej łaski czyniło. Owdowiała, widzi raz wieczorem płonący ogniem dwór bogaty i skarbiec: zbudzona porywa się, unosi dziecię i zdała poglądając na dymiące się zgliszcza, gdy ją pocieszają odpowiada spokojnie:

— Bóg nam to odebrał, abyśmy o niego więcej niż o dostatek marny dbali.

Siedem lat z dziwną zřęcznością wstrzymywała się od pokarmów mięsnych, tak że domowi ani mąż nawet o tem nie wiedział. Białe swój chleb mieniała na zbrukane i suche okruchy w torbach dziadowskich wynoszone, które pożywała martwiąc się. Pomimo to lice jej kraśniało zdrowiem a więcej jeszcze anielskim duszy pokojem. Zwyczajem było u P. Krzysztofa z Ostrowca, że w każdym folwarku żywiono jednego ubogiego, co i u siebie po dobrach Ligęzów zaprowadziła.

Anna czekała na brata, lecz cóż się stało z panem Wawrzyńcem? Zwróćmy się do niego.

W Krakowie od roku mieszkała z matką Jolanda Baronową von Vriesse, Izabella, cudnej i dziwnej piękności dziewczę, za którą co było młodzieży szalonej do reszty głowy potracili.

Jolanda francuzka rodem, wdowa po Baronie Vriesse, mając sprawę w Polsce o dobra spadające na córkę, przybyła tu dla niej, jak skoro ukazała się

i niemało listów do najpierwszych rodzin od Cesarza i panów jego dworu przywiósłszy, jednym krzykiem uwielbienia powitali ją wszyscy. Kto ujrzał Izabellę, padał przed nią na kolana; była to bowiem nie pospolita, wdzięczna, świeża, młoda panienczka, ale istne cudo piękności, doskonała istota, promieniejąca jak zjawisko nadprzyrodzone. Od stóp do głowy skazy na niej nieznać było, chyba za potworność uważać byś chciał tę nienaturalną piękność. Nic bowiem jej nie brakło, a na dobitkę umysł miała prawdziwie męzki, dowcip niesłychany, charakter tęgości w niewieście rzadkiej. Serce jej nie było wcale kobiece i temu patrząc na nią ledwie byś wierzył tak wzrok jej zwodzić umiał. Bez litości, trudna do przywiązania, obojętna, zimna, śmiechem zbywała i radość i smutek i szczęście i klęski: a oczy jej zdawały się być skarbnicą łagodności, dobroci, miłości niewyczerpanej.

Rozpieszczona przez matkę, wychwalana przez bliższych i wszystkich kogo w życiu napotkała, Izabella wzrosła swobodna, nieumiejąca się ugiąć niczem i dla niczego, dumna, swawolna, dzika prawie. Prawem dla niej było upodobanie, chęć własna, przyjemności innych nieznała. Gdy jej powiadano, to się godzi, to się nie godzi: śmiała się nie wierząc jakby żart słyszała. Jakoż matka dozwalała jej wszystkiego co chciała. Ale przyszedł nareście czas gdy granice pewne założyć woli należało: a tu nie było już

sposobu. Słuchając uwag Jolandy, Izabella roześmiała się i ruszyła ramiony, odwróciła i patrząc w zwierciadło rzekła z uśmiechem:

— Jest że co czegoby *mnie* nie można!

Biedna matka za całą odpowiedź uściskała ją tylko. Na tem się skończyło.

W Krakowie tłum młodzieży najdostatniejszej wypełniał dom Jolandy von Vriesse, a Izabella nadwszystko przekładając zabawę wrzawliwą, zgiełk i tłumów oklaski, nigdy nie syta nowych twarzy, bawiła się nimi, zawsze pragnąc więcej a więcej.

Zachcenia jej dziwaczne nie miały miary, granic i względów. Czepiała się świętobliwych starców, to wabiła żebraków ulicznych, słuchając kolejno śpiewu kościelnych i karczemnych piosnek, ciekawa wszystkiego, goniąca za *niepodobnem*. Był to Neron w kobiecym stroju, wielki *niepodobieństwo lubownik*. Im szaleńsze żądanie, myśl, chęć, tem goręcej Ignęta do niego Izabella. Jeśli dla jakiej przeszkody żądaniom jej zaraz uczynić było *niepodobnem*, płakała i jak dziecko tarzała się po ziemi, matki nawet nie szcędząc.

Było to dziecko oszalałe. Ale tak pięknej, wybaczam wszystko, bo spójrzała i rozbroiła każdego wejrzaniem jednem.

Jednego dnia zachciało się jej wędrować po przepaściwych karpatach, to znów drapać się na wierzchołki wież kościelnych, to jeździć niedźwiedziami, to pływać czołnem ciągnionem przez uczone łabędzie, to

zwiedzać dalekie ziemie, to widzieć u nóg swych dziwną jakąś istotę o której posłyszała. Ci co ją otaczali biedzili się w dogadaniu życzeniom dziwnym. Matka płakała a nie miała siły by córkę na drogę rozumu wprowadzić.

Dom Jolandy był zbiegowiskiem najosobliwszych rzeczy, istot i ludzi. Ptaki Indij, młode lwy afryki, niedzwiedzie litewskie, węże drugiego półsferza, ryby złociste z Chin, pióra ptaków, skóry dziwnych istot, małpy i negry, karły, olbrzymy zalegały go wszędzie. Najobrzydliwsze istoty wzbudzały jakiś pociąg ciekawości ku sobie w dziwnej naturze Izabelli. Rzekłbyś że chciała odgadnąć dla czego brzydkie były? Otaczała się niemi myśląc może że je wybada. Astrolog z francyi, alchemik z hiszpanij, malarz z włoch, sztukmistrze, dwór jej składali.

Sypała pieniędzmi jak plewą i nierozumiała niemożności. Posłała jednego za wodą z morza Martwego, drugiego za ziemią z posad Troi, innego za kwiatkiem cudownym Baaras, o którym Aelion wspomina, a co go nasi zowią płomykiem. Taką była Izabella von Vriesse, a na szczęście czy nieszczęście Wawrzyńca z Ostrowca, przyszło mu się z nią w życiu spotkać.

Długo służywszy wojskowo, wychowany religijnie w domu któryśmy widzieli, kołysany pobożną pieśnią, budzony pacierzem, w służbie wojskowej przykłady cnot domowych tylko spotykając, w pod owe czasy obóz był także wojennego niby zakonu zasiekiem, spot-

kał się z dziwnej piękności dziewczęciem i pochwycony jej wzrokiem ulgnął przy niej. Jak król otoczona licznym dworem, przejeżdżała konno z łukiem na ramieniu ulicę Krakowa niosąc wręku białego jak śnieg sokoła, gdy oko w oko, urodziwy, pięknej postawy wyniosłego i spokojnego czoła nadjechał Wawrzyniec z Ostrowca. Wracał on do domu z wyprawy. Izabella przywykła była do hołdów i oklasków, obruszyło ją zimne oblicze młodego człowieka i obojętne spojrzenie. Zastanawia konia, zawraca się i dogania go.

Rozmowa dziwnie poczęta, zimno wiedziona w końcu rozkołysała żołnierza, który ujęty i obłąkany wrócił za Izabellą do Krakowa. Odtąd nie opuścił jej więcej. Stał się najzapamiętalszym z jej wielbicieli, ani rodziców przestrogi, ani własnego sumienia głos jakiś niespokojny, oderwać go od niej nie mogły.

Izabella zaś jakby naumyślnie wynajdowała mu dziwne polecenia i niesłychane dawała rozkazy. Wysyłała jego ludzi w dalekie strony, a gdy spełnił polecenie pogardliwie to przyjmując rzucała mu inne. Wawrzyniec po Polsku oświadczył się o jej rękę i z niemalem strapieniem rodziców którzy przecie zwyciężeni łzami pozwolili na to, ale Jolanda odpowiedziała mu, że Izabella od siebie tylko zależy. Izabella zaś rozśmiała się, zmarszczyła brwi i rzekła. O! posłużcie mi wprzód nim mnie do jarzma zaprzągniecie, poczekajcie!

I jak w starym romansie narzucała mu próby dziwaczne.

Wawrzyniec głowę, pieniądze, czas tracił, zapożyczał się u lichwiarzy i wystarczyć nie mógł dziwactwom panny. Za każdą razą sądził się u celu życzeń i granicy wymagań, a piękna dziewczeczka spychała go znów w położenie pierwsze. Co gorzej inni dzielili z nim nadzieje, miłość, i nic nie zapewniało że w końcu wielkie ofiary nagrodzić się czemś będą mogły, choćby chwileczką szczęścia. Izabella śmiała się z nadziei i z mniemanych praw swoich wielbicieli.

— Gdyby mi się jutro podobało, obdartego, kalekę, brudnego starca wziąć za rękę i poprowadzić do ołtarza, któżby mi zabronił? mówiła. Zrobię co zechcę, pójdę za mąż za murzyna, za lwa afrykańskiego, za Wielkiego Mongoła, za żyda, za kogo zechcę, kiedy zechcę, a jeśli mi się uprzykrzy mój mąż, mój lew, mój kochanek, o niezawodnie go porzucę i wezmę innego.

Wawrzyniowi w głowie się przewracało, a porzucić jej nie mógł. Nie kiedy przy nim budząc jego zazdrość Izabella, rozdawała pocałunki w biały dzień wszystkim urodziwym męszczyznom, siadała im na kolana, zarzucała ręce na szyję: Wawrzyniec się wściekał, uchodził a nazajutrz powracał. Taka była siła tej piękności nie zrównanej, która raz ujrzana, stawała się potrzebą, koniecznością życia, samem życiem. Bez niej jak bez powietrza trzeba było umierać.

Jednego wieczoru Izabella zawołała: Mamo, jutro jedziemy do Węgier, mamy tam krewnego hrabiego Kralicę, słyszałam o jego zamczysku na wierzchołku góry niedostępnej, o dziwactwach, chcę go poznać. Mówią że żonę zamknął, że dzieci powyganiał z torbami, to coś osobliwego, pojedziemy do Kralic. Wy panowie, wszyscy ze mną, kto nie jedzie tego więcej widzieć nie chcę. Każdy weźmie pięciu sług i pięć innych koni, abyśmy obóz mieli nie lada, namioty, łóża, kotary, i wszystko czego mi się zechce, myślcie żebyście zabrali co mi się zechcieć może. A jutro na konie.

Nazajutrz blisko pięciuset koni sunęły się z Izabellą i Jolandą na przodzie ku Węgrom. W drodze jedno tylko napadło ją dziwactwo, strzelania do celu, które trzymać kazała w ręku jednemu z wielbicieli. Wystrzeliła mu kęs twarzy, pocałowała w ranę i pojechali dalej. W Karlicach zobaczywszy zamek i hrabiego, spytawszy go czy prawda że żonę zamknął a dzieci wypędził, na co stary magiar odpowiedział by każdemu innemu szablą; ale cudnej dziewczynie odrzekł tylko przekleństwem dzikiem: zawróciła się wiodąc całą gromadę swoją w góry, tu dwie niedziele polowała, a skacząc po skałach pięć koni pod nią padło. Gdy wrócili do Krakowa, Wawrzyniec zastał wieść o zgonie ojca, o stracie matki i płacząc niewidząc już Izabelli, pojechał do Wadowic w nocy zaraz odwiedzić ich grób.

Zrana, niema Wawrzyńca.

— Gdzie on? spytała Izabella, powiedziano jej wszystko, potrząsała głową i odwracając się rzekła:

— Jedźcie mi za nim, kto go przyprowadzi zapłać mu dając rękę pocałować.

Sześciu rzucili się ku Wadowicom.

Wawrzyniec modlił się na grobie ojca i matki, a Anna Ligęzy żona, pocieszała go łagodnie, opowiadając mu o spokojnym ich zgonie, o błogosławieństwie, o ostatnich chwilach.

— Nie trap się, mówiła, wola to Boża, ale całe życie pokutować powinieneś żeś obowiązku syna nie spełnił dla marnego upodobania w kobiecie wietrznicy, której niech Bóg przebaczy szaleństwo.

— Ty jej nie znasz Anno

— Nie, i znać jej nie chcę. Modlę się za jej nawrócenie.

— Sądzisz że już jest na drodze zguby.

— Sam powiedz! myślałaż kiedy o przyszłości! Jest że to matka dla twoich dzieci, żona dla ciebie, córka dla rodziców co na ciebie z niebios patrzą?

Wawrzyniec milczał.

— A! rzekł po chwili, niewiem kto ona, ale wiem że bez niej żyć mi niepodobna.

— Wszystko podobne przy łasce Boga. Módl się.

— O nie mogę siostrze!

— Zły to znak bracie! Poczciwe przywiązanie wywołuje modlitwy.

— Siostró módl się ty za mnie, ja zginąć mogę, ale oderwać się od niej nad siły moje.

Anna słysząc to rozplakała się i uklękła na gorącą modlitwę. Wstała potem i całując brata w czoło, rzekła mu uroczyście i poważnie.

— Bóg moich modlitw wysłucha!

W tej chwili wpadli wysłańcy Izabelli i nie mogący się im oprzeć Wawrzyniec, zaledwie czarne szaty żałoby przywdziewszy pojechać musiał z niemi.

W progu powitała go groźna Iza.

— Gdzieś był?

Łzy zakręciły mu się w oczach.

— Siadajcie na koń. Na zamku Vriesse, w moim pokoju, na stoliku zostawiłam wyjeżdżając lat temu kilka, węzeł ze trzech wstążek związany, białej, czerwonej i purpurowej, przywiezicie mi go, a spiesznie.

Wawrzyniec płacząc pojechał za węzłem i przywiózł go we dwa miesiące. Izabella rzuciła go w komin obejmując go.

— Dobrze, rzekła, a teraz chce mi się pomarańczy z Malty, jednej tylko. Zerwiecie ją z drzewa i nie będziecie brać więcej nad jedną, a przywiezicie mi ją tak aby się nie zepsuła, gdy mi ją oddacie, będę waszą.

Na podróże i dziwactwa Izabelli Wawrzyniec wszystkie był już dobra ojcowskie zastawił, przecież zubożony do ostatka, upadł jej do nóg, gdy usłyszał że ma być jego żoną. Teżże nocy wyruszył do Malty.

— Zdaje mi się że ten doprawdy mnie kocha, zawołała Izabella, kochał rodziców, i wyrzekł się ich, stracił majątek, zdrowie, wszystko. A! ma jeszcze wiarę, zobaczym czy mi wiarę poświęci! dodała od niechcenia patrząc się w zwierciadło.

Wawrzyniec dość długo dla przeciwnych wiatrów bawił w drodze, pomarańcza obłana woskiem, doszła do przeznaczenia świeża i wonna, ale opatrując ją do koła z miną niesłychaną Izabella, dostrzegła plamki i rzuciła ją małpeczce swojej, która bawiąc się pobiegła z nią w drugi kąt pokoju.

Wawrzyniec otarł pot z czoła zimny, ale nic nie rzekł. Kazano mu przyjść wieczorem. Iza była sama jedna.

— Będę twoją! rzekła po chwili, ale jeszcze jeden warunek!

— Słucham i spełnię lub umrę, rzekł Rotmistrz.

— Ja wyrzekłam się duszy mojej i zapisałam ją szatanowi, musisz uczynić toż samo.

Wawrzyniec pobladł i zakrył twarz rękoma.—Oto pargamin, nóż, pióro krucze, ostatnie żądanie, a potem uczynisz ze mną co zechcesz, będę ci posłuszną.

Oczy jego zabłyły.

— Przysiężesz? rzekł.

— Przysięgnę, odpowiedziała wolno, a co więcej dotrzymam, będę twoją, podpisz.

Izabella spójrzała nań, odwróciła się i znikła.

Nazajutrz, nie było jej w Krakowie, w tydzień, dwa, miesiąc, wieści o niej nie dostał zakochany. Wyjechały obie niewiedzieć gdzie i dla jakiego powodu. Wawrzyniec złamany swoim nieszczęściem powrócił na stary dworzec.

Ale tu wspomnienia, zgryzoty, strachy jakieś duszne wyżyć mu niedozwalały. Tu wszystko przypominało pocziwy spokój młodych lat, dziś stracony, święte, pobożne życie rodziców, od których się Wawrzyniec oddzielił dobrowolnie dla jednej kobiety. Przywiązanie granic nie mające, teraz się poczynano zmieniać w gniew zajadły i pragnienie zemsty.

Chwilami płakał i ręce wyciągał ku niej, wzywał jej, wzywał szatana aby mu ją powrócił, to znowu miotał się jak szalony chcąc się pomścić, chcąc ją zabić. Strumienie łez oblewały mu twarz, ale modlić się jeszcze nie mógł. Anna tym czasem w codziennej prośbie wstawiała się za nim. Przebywszy dni kilka na starym dworcu jak lata długie, Wawrzyniec ujechał w góry, błędził w nich czas niejaki i mimowolnie prawie zawrócił ku Krakowu.

Przez czas niewidzenia Izy przywiązanie jego, namiętność zamieniły się we wstręt, gniew i pragnienie zemsty. Lecz że w pocziwym sercu, nigdy długo to pragnienie ostać nie może, i Wawrzyniec prędko je we łzach utopił. Czuł tylko wzdargę dla niej, wzdargę dla siebie.

Wjechał do Krakowa: sam koń zawiózł go przed dom Jolandy, którego pustym znaleźć się spodziewał.

Znalazł go otoczony tłumem: Jolanda z Izą powróciły. Jeszcze na ulicy pochwycili go wystąnci co go z dawna szukali i poprowadzili do panny, która niecierpliwą się od kilku dni nań czekała. W milczeniu dał się wieść, ale na myśl że ją ujrzy, już mu serce nie zabiło.

W tem głos Izabelli dał się słyszeć z góry wschodów:

— Przecież jesteś Rotmistrzu! Chodźże prędzej! Wawrzyniec włókł się powolnie. Ani jej głos ani spojrzenie nie poruszały go jak dawniej, urok pękł. I wstyd i duma budziły się w niem a rosły.

Iza podskoczyła na przeciw, podała mu rękę z uśmiechem.

— Wszystko skończone, rzekła, jutro się pobierzemy! Jestem twoją. To wszystko były próby tylko. Chciałam być poślubioną człowiekowi, coby mnie kochał, jak ja kochanie wyobrażałam w sobie, coś ty mi wszystko a wszystko poświęcił. Cyrograf był tylko igraszką, wytrzymałeś pogardę, obojętność, dziwactwa, wymagania niesłychane, jestem teraz służką twoją, żoną, niewolnicą!

I uśmiechnęła mu się tak wdzięcznie, tak wesoło a naiwnie, że Wawrzyniec zadrżał pochwycony resztą uroku. Ale wnet odtrącając jej rękę, rzekł cicho:

— Jutro.

— Nie jesteś szczęśliwy?

— Jutro! powtórzył, o której godzinie?

— Biedny! rozum prawie postradał. Jutro! tak jutro wieczorem, jestem twoją.

— Więc do jutra, rzekł.

— Do jutra! Odchodzisz?

— Idę się przygotować.

— Idź a powracaj! na ósmą wieczorną, wszystko będzie gotowem.

— Rotmistrz zszedł ze wschodów nie obejrawszy się, z głową spuszczoną na piersi.

— Biedny, prawie obłąkany! szepnęła nad wschodami stojąc i wzrokiem goniąc za nim Iza, ale od jutra to minie.

Wieść o małżeństwie Wawrzyńca Toporczyka z Ostrowca z panną Izą von Vriesse, rozeszła się po mieście. Wielu zazdrościli, wielu ubolewali, inni wróżyli już o przyszłości różnie. Tym czasem w pałacu pani Jolandy czyniono świetne przygotowania do jutrzejszego obrzędu. Co było dostojnych znajomych spraszano, a Iza zapowiedziała matce, że chce przepychu niewidzianego, chce zdumiewającej ucztę, chce tłumów, chce co może tylko być najświetniejszego, najdziwniejszego. Po uczcie, rzekła, ja i on siądziemy na konie i pojedziemy na dwa na trzy tygodnie w góry, w lasy. Niepotrzeba nam ludzkich oczów do szczęścia.

Jolanda spodziewając się końca dziwactwom córki, wysiliła się na ostatnią ucztę zbyt kowną. Kilkaset

osób sproszonych na nią było, a cały dom strojny w kwiaty, dywany i lampy, a stu muzyków grali na ulicy w ganku. Iza strojna w suknię białą ze złotem, piękna jak anioł z nieba, jaśniejąca weselem, trefić kazała włosy u zwierciadła coraz to różnie, oczekując narzeczonego. Złote iglice i wianki zielone coraz to inaczej wpinano. Czas płynął, posłańcy biegali, pan Wawrzyniec nie przybywał. Wszyscy sproszeni goście zgromadzeni już byli, dziwiono się opóźnieniu, szukano wszędzie, nigdzie znaleźć nie można było Rotmistrza, ani o nim się dowiedzieć.

Iza tupiała nóżką i ścisnęła w rękach kwiaty, które odrzucała zmięte nie do poznania.

Ósma wybiła.

Żywy turkot konia dał się słyszeć na dziedzińcu.

— To on! to on!

Wszyscy naprzeciw wybiegli.

On był w istocie, wytwornie strojny, ale błąd pomieszany, milczący. Wszedł na salę gdzie go tysiąc powinszowań czekały i stanął w pośrodku, nie skłoniwszy się nikomu.

Iza z przeciwnych drzwi wyrwała się jak panthera na pastwę biegnąc, chwyciła go za rękę i milcząca pobiegła do ołtarza. Dał się prowadzić. Wszyscy milczeli, poglądali i szeptali tylko na złamanie tyłu u nas cenionych ceremoniałów.

Ksiądz już ubrany wyszedł do wspaniale ustrojonego ołtarza.

Na zapytanie:—Bierzesz ją za małżonkę? jak piorun głośna, i niespodziewana rozległa się odpowiedź:

— Nie! nie! nie!

Iza cofnęła się zdumiona, wszyscy skupili się ku kobiercowi.

— Nie! nie! nie! powtórzył pan Wawrzyniec. Ani ja, ani nikt nie wezmie jej za małżonkę, kobiety która chce być kochaną więcej niż Bóg, która nieda szczęścia nikomu, bo nie wie gdzie go szukać.

Odrzącił ją. Gardzę tobą, rzekł, nie chcę ciebie. Całe swe życie słuchać się kazałaś jak bóstwo, całe życie bluźniłaś uczynkiem, jesteś szatanem! Ani ja, ani nikt cię nie zechce!

— Oszalał! zawołała Iza.

— Nie! odzyskał rozum! przerwał Wawrzyniec, i rzuca ci wstyd w nagrodę dawnego męczeństwa swojego!

To mówiąc popchnął ją i rzuciwszy wzrokiem na osłupiałych gości, poszedł ku drzwiom. Ale Iza, której oczy zapłonęły ogniem, biegła za nim.

— Lorenzo! zawołała słodkim głosem! Lorenzo! nie uczynisz tego! nie opuścisz mnie, ja cię kocham, ja chcę cię mieć! ty musisz być moim.

— Nigdy!

I szedł ku drzwiom, otworzył je, skrył się w tłumie i zniknął.

Tegoż wieczora, jednym nowicjuszem więcej było w klasztorze Ś. Bernarda w Krakowie.

Ale Iza niespokojna, rozgniewana i w murach zakonnych go szukała. Przebrana po mężku, biegła go kusić do klasztoru, a gdy jak o kamień rozbiły się jej prośby, łzy, gniewy, czarowne obietnice i rozpacz—wgnana za furtę, poprzysięgła się pomścić.

W kilka dni potem przechadzającego się brata Wawrzyńca zdumiał strzał z muru obwodzącego ogród ku niemu skierowany. Kula minęła go, podniósł oczy i ujrzał Izę ze złością rzucającą broń i grożącą mu płomienistym wzrokiem.

— Zrzuc tę suknię i chodź za mną.

Zakonnik nie odpowiedział nawet i uszedł.

Wysłano go nazajutrz kończyć lata nowicjatu w oddalonym klasztorze.

Iza szukała go ale bezskutecznie, w ostatku skończyła rozpaczliwem samobójstwem, pierwszy raz w życiu nie mogła zaspokoić swej woli, a żądza jej rozbiła się o zimną pierś mężczyzny. Upokorzona, oszalała; ukłuła się zatrutą igłą, którą zawsze nosiła przy sobie.

Na tem się kończy podanie o panu Wawrzyńcu z Ostrowca, którego wedle biografów 700,000, utracił na staranie się o baronównę von Vriesse. Ks. Florjan Jaroszewicz powiada, że wstępując do zakonu, rozdał resztę majątności między ubogich. Umarł pobożnie roku 1674. Niesiecki o staraniu jego i wypadkach po-

przedzających wstąpienie do zakonu zamilezał. Dobra Jakubowskich przeszły w dom Ligzów. Modlitwom pobożnej Anny, winien był może Wawrzyniec choć późne opamiętanie.

J. J. Kraszewski.



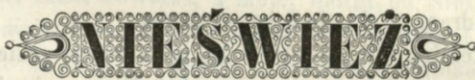
ZDRÓJ.

Między drzewami, srebrnym promieniem,
 Stary źródój szemrząc wodę wytryska,
 I gdzieś w zaroślach z cichym westchnieniem,
 Kryje swe lica — jak odaliska:
 I znowu jęczy — odsłania lica,
 I biegnie dalej — i znów zachwyca.

O gdybyś ludziom promień spokoju,
 O gdybyś szczęście zdroju wylewał!
 Niejeden bard by piosnkę ci śpiewał
 Stawiać potomnym ciebie mój zdroju!
 Niejeden — także zdroju kochany
 Jako cześć niosłby wieniec różany!

O gdybyś zdroju nadziei wodę
 Miłości, wiary — współuczucia cnoty,
 I lat dziecinnych zsyłał pogodę
 I siłą wody krócił tęsknoty;
 Wtedy.... mój zdroju w zamian za wodę —
 W łzach rozczulenia miałbyś nagrodę.

J. Dł.

A decorative horizontal flourish with intricate scrollwork and floral patterns. In the center, the word "NIEŚWIEŻ" is written in a bold, serif font.

DO CZASÓW KSIĘCIA KAROLA RADZIWIŁŁA
ZWANEGO PANIE KOCHANKU.

PRZEZ

Michała Balińskiego.

Kto zna ową postać puł historyczną, puł rubaszną, a zawsze oryginalną, słynnego *Panie Kochanku* z takim talentem wystawioną przez Soplęcę, w którego osobie połączyły się wszystkie przymioty i wady staroświeckich możnowładców polskich, i który był może ostatnim ich typem w epoce przekształcenia się zupełnego arystokracji na krój francuzki pod panowaniem Stanisława Augusta? Kto słyszał o Karolu Radziwille, nie byłoby ciekawym poznać także ulu-

bionego miejsca pobytu jego, Nieświeża, tej stolicy ogromnych jego majątności, w której życie szlacheckie rozwijało się w całej sile swojej i we wszystkich odcieniach tego dziwnego obrazu, jaki o niém tradycja dla potomności zostawiła. Dotąd jednak sama wyobraźnia powieścio-pisarzy żywiąc się podaniami lub świadectwami staroświeckich ludzi, owładała i Bohatorem dramatu i polem jego czynów.

Czytelnicy odlegli zwłaszcza od miejsca gdzie panna potężniej i swobodniej jak król jego, ów Książę Karol Radziwiłł, znają rodzinne siedlisko potentata w świetle mgłą romantyzmu powleczoném. Pióro dziejopisa nie sięgnęło jeszcze do skreślenia, zapewne mniej wdzięcznego ale prawdziwego opisu Nieświeża, z powagą i sumiennością historyczną. Sprobujmyż o ile zasoby zgromadzonych dokumentów pozwolą, podać do wiadomości publicznej przeszłe tego miasta losy, wystawić koleje pomysłności i klęsk przez jakie przeszedł, a nakoniec przypomnieć i te skarby dostatków, te zbiory sztuk i nauk, te pomniki budowli publicznych, jakie w nim wielmożność właścicieli, ich gust lub duch pobożności zgromadziły i wzniosły.

1.

MIASTO.

Kto przyjeżdżał naprzykład w r. 1784 do Nieświeża. podczas niezamiętej jeszcze żadnemi stanowczemi

kłęskami świetności domu Radziwiłłowskiego, kto się zbliżał do niego drogą od zachodu łączącą dwa pocztowe trakty, od Mira i Snowa idące: tego bezwątpienia uderzył piękny widok rozwijającego się przed nim jak na dłoni miasta, ten niewahał się uznać je za stolicę tak przynajmniej znakomitego pana, jakimi byli owi liczni wówczas, a mniej możni od Nieświeżskich magnatów Księżęta Rzeszy Niemieckiej. Cztery wielkie murowane kościoły, Jezuitów, Dominikanów, Benedyktynów i Bernardynów, dźwigały się na widnokrąg ze swojemi wysmukłemi wieżami, cztery obok nich rozległe gmachy klasztorne obrzeżały ulice miejskie poważnemi murami. Kilka innych jeszcze wieżyczek od kaplic i bram strzelało do obłoków, a kilka większych budowli jak ratusz, dwa pałace Książęce, z których jeden nosił nazwę *Oberży*, i dwie bóżnice żydowskie i t. d. górowało nawet nad rynkiem, gdzie prawie wszystkie domy murowane z kramami pięknego stylu, w czworogran go otaczały. Za miastem zaraz widać było wznoszący się poważnie Zamek Książęcy z trzema wieżami, szeroko zamurowany wśród wałów i wodami z rzeki Uszy do stawów idącemi oblany. Poza stawami z lewej strony gościńca Sluckiego stał na górze kościół Ś. Michała przy którym Jezuitci nowicyat swój utrzymywali, z prawej znowu na równie wyniosłym pagórku bielity się pośród drzew odwiecznych mury kościoła Ś. Krzyża i opactwa przy nim Benedyktynów. Dalej nakoniec ale z przeciwnej strony

i od południa, dopełniał tego pięknego krajobrazu widok owego letniego pałacu Ordynatów, *Alba* zwanego, który tak głośno miał znaczenie na dworze *Panie Kochanku*, i który na ciemno-zielonym tle ogromnego parku odbijając swoją kształtną budowę, wzniewał ciekawość przychodnia i chęć żeby go jak najprędzej poznać. Po takim wrażeniu na pierwszy rzut oka, widok wewnętrzny Nieświeża nie zawodził tego, kto w nim był w epoce jego świetności, bo chociaż domy w nim w znacznej części drewniane prócz rynku, ale schludność ich, ruch zamożnej ludności ożywiający miasto otoczone wałem, a nakoniec piękne gmachy kościelne i ratusz ozdobny, usprawiedliwiały zaraz wysokie mniemanie widza o potęgę i dostatkach dziedzica.

Minąwszy przedmieście *Kazimierz* zwane, po przebyciu mostu na strumieniu do Uszy wpadającym, a potem bramy miejskiej, wjeżdża się w ulicę Wileńską a przez nią po za kościołem i klasztorem Bernardynów na rynek. Tam opodal ratusza stoi na innym wielkim placu wspaniały kościół farny z wielkim kolegium pojezuickim. Jest to główna i najdawniejsza świątynia w Nieświeżu, w stylu Korynckim wzniesiona w kształcie krzyża z kopułą; wewnątrz ściany ozdobione godnemi uwagi malowidłami *al fresco*, w wielkim ołtarzu obraz wieczery pańskiej dobrego pęzła. Okryte marmurami ołtarze i kilkanaście z takiegoż kamienia nagrobków rodziny Radziwiłłowskiej powięk-

szają powagę i piękność kościoła. Między nagrobkami odznaczają się najwięcej: pomnik samego założyciela Mikołaja Krzysztofa *Sierotkę* zwanego, w płasko-rzeźbie; Eufemii z Księżąt Wiśniowieckich żony jego, którego malowanie czas już nadweryżył: piękniejszy od pierwszych grobowiec syna ich Mikołaja w młodzieńczym wieku w Bononii zmarłego, składa się z dużej tablicy marmurowej złotym napisem okrytej, nad którą umieszczone jest piękne z białego marmuru popiersie zmarłego. Większy od tych wszystkich i podobno pod względem sztuki wytworniejszy, jest nagrobek drugiego syna Sierotki Mikołaja Krzysztofa zgasłego w dzieciństwie; wzniosła go czułość bolejącej matki, a myśl jej wskazała rzeźbiarzowi kształt pomnika. Jest to dziecię uspięne na wieki i spoczywające na pięknym sarkofagu; wszystko z Kararyjskiego marmuru. Godzien jest jeszcze zastanowienia grobowiec Urszuli z Wiśniowieckich Radziwiłłowej, ukochanej żony Michała Kazimierza Wojewody Wileńskiego i Hetmana W. Lit., nie dla swojej roboty, ale dla tej, której pamięci jest poświęcony. Z sercem to i głową niepospolitą była niewiasta, i w historii literatury polskiej imię sobie zostawiła. Ale powiemy o niej potem, teraz zejdźmy z czytelnikiem jeszcze do miejsca poświęconego na śmiertelny spoczynek zwłokom tych, co kolejną czasu z pysznych podwojów zamku Nieświeżskiego zstąpili tu do umarłej społeczności swych przodków.

W porządnych i świątlych kilku sklepach stoją szeregiem bogate niegdyś trumny, ordynatów Nieświeżskich, oddzielnie od Kleckiej linii, ich żon i dzieci, zaczawszy od sławnego fundatora, tych miejsc Radziwiłła Sierotki. Trochę opodal w tychże samych podziemiach znajduje się kaplica już od stu blisko lat za osobną Bullą Papieżką, urządzona, gdzie dawniej co dzień, później w pewnych epokach, a teraz może raz w rok, odmawiają się msze za dusze zmarłych dziedziców miasta. Wróciwszy z grobów do Kościoła, trzeba jeszcze obejrzeć warte widzenia, bo społeczne wizerunki Radziwiłła Sierotki, żony jego Eufemii i trzeci jeszcze niepoświęcony dobrego pędzla obraz Ś. Heleny, który ma być portretem jednej z Księżniczek imienia Radziwiłłów. Oto jest wszystko co mieliśmy do powiedzenia o tej znaczącej i godnej uwagi świątyni. Ale i dalsze Kościoły zasługują na bliższe ich poznanie. U Benedyktynek w kościele Świątej Eufemii przy końcu miasteczka ku Albie położonym, widzieć trzeba piękne nagrobki alabastrowe dwóch córek Sierotki, w zakrystyi zaś bogate aparata przez fundatorkę oliarowane. Dominikański kościół ma obraz Panny Maryi łaskami słynącej, i dawne portrety fundatorów. Bernardyni chociaż nieposiadają znaczącej świątyni jak tamte, ale mogą się pochlubić dość liczną bo więcej jak 3,000 tomów zawierającą Biblioteką. Między bramami miasta ta co na trakt do Słucka prowadzi, i *Słucką* jest zwana,

najwięcej ściąga uwagę; w kształcie bowiem łuku wymurowana, ma na wierzchu kaplicę z ołtarzem Bogarodzicy. Za nią na przedmieściu zwanem *nowe miasto* jest jeszcze liljalny kościółek murowany Ś. Izydora. Nie brak tu i napisów, które pokazują za jakich możnowładców poczytywali siebie kiedyś Radziwiłłowie, a szczególnie Karol ufny w ogromie swych bogactw i w 11,000 zbrojnej milicyi, którą własnym kosztem mógł utrzymywać. Na tej bowiem Słuckiej bramie od wjazdu ze Słucka widać dumny napis:

Restauratum

Anno Domini 1788.

Dominante Principe

Carolo II.

Z drugiej strony był także napis, ale czas go zatarał, tak, że zaledwo kilka liter pozostało. Lecz jakaś pobożna ręka, blisko wejścia na górę do kaplicy umieściła kwadratowy kamień z takimi wierszami:

N. B. P. J. Chrys.

Maryja w Słuckiej bramie tron złożyła,
 By protektorko z nas każdemu była.
 Nie mało którzy do tey się udali
 Panny y Matki, licznych łask doznali.
 Więc garniemy się do Twojej opieki,
 Miey nas w obronie, aż zawrzem powieki.
 Tu święty pobór, tu cło jest jałmużny,
 Day dla *Maryi*, wszakżeś Bogu dłużny.

A za to weźmiesz nagrodę na ziemi,
Potém y w Niebie na wieki z Świętami.

Robiony r. 1760.

Mniej zważając na ubóstwo tych wierszy jak na duch żarliwości który je nakreślił, dodamy tylko, że obraz Panny Maryi co uświetnia tę bramę i co ją podobną czyni *Ostrej-Bramie* wileńskiej, przeniesiony tu został z kaplicy zamkowej.

Takim się wydaje Nieświęż co do swych murów i kościołów. Łatwo jest wiedzieć kto je wznosił, kto nadaniem rozlicznych swobód ożywił tę poziomą niegdys i ubogą osadę: bo archiwa miejskie lub ordynackie dochowały dotąd autentyczne świadectwa pieczołowitości dziedziców, opieki Królów, bo tradycja, bo zaledwo nie żywe świadki jeszcze, podają z ust do ust tysiączne powieści o świetnych czasach Nieświęża, o przepychu i o dziwach u jego panów. Ale nie łatwo sięgnąć źródła i z odległych wieków wyprowadzić początek tego miasta! Jego historia nie zaczyna się wcale od Radziwiłła Sierotki; na wiele lat przed nim istniał Nieświęż, długo miał swoich książąt ruskiego rodu, bo tu już ziemia słowiańskich plemion, od połowy trzynastego stulecia, kolejną wieków zamieniona w litewską, kiedy oręż Ryngolta i Mendoga rozszerzał państwo litewskie, na żgliskach zburzonych grodów słowiańszczyzny przez mongolskie najazdy.

Pierwsza wzmianka o tem miejscu, pokazuje się u Laptopsów Ruskich pod r. 1224, w którym Jerzy Książ

na Nieświężu poległ w bitwie z Tatarami. Ale wten-
czas jeszcze mało znaczące było zapewne to księstwo,
albo raczej jak Rusini dawniej zwali włość udzielna:
bo je przewyższał w znaczeniu i rozległości pobliski
Słuck, i również mało oddalony Nowogródek. Tak
one jak i Nieśwież w średnich wiekach, były to osa-
dy Słowian pogranicznych Litwie, bronione grodami
drewnianymi i żyjące pod rządem naczelników swo-
ich zwanych Kniaziami, którzy w pewnych może sto-
sunkach hierarchicznych z sobą zostając, podlegali ja-
ko hołdownicy potężniejszym Władcóm naprzód ru-
skim w Haliczu, Włodzimierzu, Kijowie lub w in-
nych miastach panującym, a potem Litewskim na sto-
licy w Kiernowie, Trokach lub Wilnie osiadłym. Je-
szcze w r. 1388 w chwili pierwszego skojarzenia się
państwa Litewskiego z Polską, Grzegorz i Jan Książ-
ęta Nieświeżscy należący do zwierzchności Dymitra
Korybuta panującego w Nowogrodzie Siewierskim,
przyłożyli swe pieczęci razem z innemi bojarami te-
goż Księstwa, do pisma zapewniającego za siebie i za
swego władcę wierność Władysławowi Jagielle i Królo-
wej Jadwidze. Niewiadomo już z jakiego rodu byli ci dwaj
Książęta, ale pewna jest że około roku 1430 pano-
wał w Nieświeżskiej dzielnicy dosyć szeroko rozciągają-
cej się, Fedko czyli Teodor ze krwi Książąt Litewskich
pochodzący. Trudno jest dotąd oznaczyć epokę wyga-
śnięcia linii tych Książąt Nieświeżskich; wszakże mo-
żna się domyślać, że ich posiadłości czy po zmarłych

bezpomnie, czy zabrane za niedotrzymanie wierności, przeszły stosownie do praw krajowych na własność W. Książęcia Litwy. Jeżeli zaś tego nie było, i jeżeli najmożliwszy wówczas w Litwie dom Kiszaków nie otrzymał dóbr owych przez nadanie za zasługi: bezwątpienia musiał je odzyskać prawem spadku. Cożkolwiek bądź Księstwo Nieświężskie wraz z Otyką i połową Łachwy dostało się ostatecznie r. 1533 w dom Radziwiłłowski, po zmarłej w tym roku Annie Kiszczance Wojewodziance Trockiej trzeciej żonie Jana *Brodacza* Radziwiłła Kasztelana Trockiego Marszałka W. Lit.

Syn jego Mikołaj zwany *Czarnym* Wojewoda Wileński Marszałek i Kanclerz W. Lit. otrzymawszy w roku 1547. od Cesarza Karola V. przywilej na tytuł książęcy Śtego państwa Rzymskiego, pierwszy zaczął się pisać książęciem na Otyce i Nieświężu. W owej epoce Nieświęż była to miścina pospolita, drewniana, rolnikami po większej części i sługami książęcia lub żydami kupczącymi osadzona, którego wielki dwór także drewniany opodal się znajdował. Dwór ten musiał już być znakomity co do budowy swej, bo głównym został pobyt człowieka najpotężniejszego w one czasy w Litwie po Królu, to jest Mikołaja Radziwiłła Czarnego. A gdy zważymy że Zygmunt August przywilejem w Wilnie r. 1551 udzielonym, nadał prawo chowania i strzeżenia w Nie-

świeżu praw i przywilejów W. Księztwu Litewskiemu służących, jemu i potomkom jego Książętom Nieświeżskim: możemy nawet wnosić że dwór ten jeżeli nie zupełnie to przynajmniej w części mógł być murywany. Jednakże wtenczas już podzielone na stare i nowe miasto, co do rozległości mało się różniło od dzisiejszego. Miało nawet pewne przywileje sobie nadane przez Zygmunta Augusta, za przyczynieniem się zapewne Radziwiłła Czarnego. Główną jego ozdobą i punktem niejako środkowym był kościół katolicki parafijalny pod tytułem Świętego Ducha, już zapewne przez Kiszków z drzewa tu fundowany, i cerkiew grecka. Odmienił się jednak stan miasta kiedy Radziwiłł Czarny przyjąwszy około roku 1553 wyznanie Helweckie (Kalwińskie), jak w innych dobrach swoich, tak i tu, kościół ten parafijalny spółwyznawcom swoim oddał. Sprowadzony przez niego r. 1559 z Wielkopolski podobno, Wawrzyniec Krzyszkowski, na ministra do tego kościoła nowy ruch wprowadził do Nieświeża. Uczony i w kwestyach religijnych ciągle zagłębiający się, wpływając potężnie na umysły wszystkich obywateli miejscowych i okolicznych, zniewolił naprzód Macieja Kawieczynskiego rządząc dóbr Nieświeżskich do założenia w mieście r. 1562 drukarni, do której na zawiadowcę sprowadził znanego Daniela z Łęczycy, Pińczowskiego drukarza. Wyłaczano więc z razu książki duchowne kalwińskie, a między innymi Nowy-

Testament przedrukowany z Biblii Brzeskiej w r. 1568, z pewnemi zmianami. Lecz umysł Krzyszkowskiego ciągle potrzebujący nowych żywiołów ruchu, ciągle postępujący w reformie religijnej, zaraz od śmierci Radziwiłła Czarnego w roku 1565 przypadłej zaczął się skłaniać otwarcie do Aryanizmu. Wkrótce wdając się coraz więcej w polemikę z Kalwinami, zupełnie się z nimi rozstał, i nakłoniwszy Kawieczynskiego i brata jego oraz wielu szlachty poblizszej Województwa Nowogródzkiego, do przyjętej od siebie nauki, Nieśwież uczynił siedliskiem Socynjańskim w Litwie. Sam został Superattendentem tego wyznania, a drukarnia zajęła się odtąd ogłoszaniem samych już prawie ksiąg religijnych dla Socynjanów i polemicznych przez Grzegorza Pauli, Budnego, samegoż Krzyszkowskiego i innych pisanych. Wtenczas to ukazała się owa dziś tak rzadka Biblija Socynjańska przekładu Szymona Budnego, pod tytułem: „Biblia, to jest księgi starego i nowego przymierza i t. d. w drukarni i nakładem Macieja Kawieczynskiego Starosty czyli Namiestnika Nieświeżskiego. Drukował Daniel z Łęczycy roku 1570. Powtórzono jej wydanie, także w Nieświeżu w roku 1579. — Tak przez lat kilkanaście utrzymywało się ognisko Arjańskie w tém mieście, aż dopóki synowie Czarnego Radziwiłła nie porzucili wyznania helweckiego, a raczej aż póki jeden z nich Mikołaj Krzysztof zwa-

ny Sierotką, dziedzic Nieświeża, nie powrócił ostatecznie na łono kościoła Katolickiego w r. 1568.

Dzieje więc tego miasta za dzierżawy Kisków i Radziwiłłow do tego czasu, nie w sobie niezawierają godnego pamięci, albo raczej nic takiego niewiemy, prócz zmian religijnych o których mówiliśmy teraz. Nowa i rzeczywista epoka jego podniesienia do pewnego znaczenia w kraju, zaczyna się od chwili powrotu Sierotki z ziemi Świętej. Był to jeden z najznakomitszych ludzi wieku XVI, i w rodzie swoim i w kraju. Urodzony r. 1549, wychowanym został w zasadach wyznania helweckiego, którego się ojciec jego Mikołaj czarny Radziwiłł stale trzymał. Przewisko *Sierotka* nadane mu zostało przez Zygmunta Augusta, z takiego przypadku. Znajdując się w dzieciństwie swem przy ojcu na pokojach królewskich, gdy się król z całym dworem do kogoś na wesele wybrał, zapomniany został przypadkiem w jednej z komnat zamkowych. Za powrotem król zastawszy dziecinę w płaczu, zawołał z politowaniem *Sierotka!* I odtąd wszyscy go tak nazywać zaczęli. Dorosłszy lat młodzieńczych, chociaż troskliwie wychowany i w naukach ćwiczony, ale żywy i łatwo każde wrażenie przyjmujący, po zejściu ojca zaledwo lat 16ście mając zaczął prowadzić życie wolne, i zdrowie z przyrodzenia nie zbyt mocne więcej jeszcze osłabił. Niebawnie jednak postrzegłszy się w swoim postępowaniu zmienił obyczaje; zostawszy Marszałkiem Nadwornym Lit. zajął się sprawami pu-

blicznymi, a r. 1568 porzuciwszy wyznanie reformowane stał się nader żarliwym katolikiem. Mężny i pełen szlachetnych uczuć, a do kraju przywiązany, walczył z zaszczytem pod Ulą. Wielkie jego wiadomości, biegłość w obcych językach, znajomość życia dworskiego i krajów Europejskich, zniewoliły stany Rptej do policzenia go w poczet sławnego owego poselstwa wyprawionego do Paryża w r. 1572 dla zaproszenia na tron Polski Henryka Walezego. Zaledwo dwudziesty szósty rok życia w dniu 2 Sierpnia r. 1575 kończył, kiedy wpadł w ciężką niemoc doświadczając okrutnych boleści głowy. Różnych środków używali najbieglejsi lekarze do przelamania choroby, widząc jednak że mu niewiele ulgi przynieśli, uczynił ślub we wrześnie przy mszy, że odwiedzi grób Zbawiciela w Jerozolimie. Wszakże czasu na to pewnego nienaznaczył a lekarstw używał dalej, które nakoniec to zdziały, że choć niezupełnie uleczony mógł jednak krajowi swojemu pod Królem Stefanem zaszczytnie służyć. Roku 1577 odbył całą wyprawę Inflancką. W następnym dopiero przedsięwziawszy przywieść do skutku zamierzoną wędrowkę do Jerozolimy, napisał do Papieża Grzegorza XIII prosząc o błogosławieństwo na drogę, i za otrzymaniem jego udał się do Niemiec. Lecz tam nieznalazszy żadnego towarzysza pielgrzymki wrócił jeszcze do kraju jesienią r. 1578, z mocnym postanowieniem wyjechania na przyszłe lato do Włoch, a ztamąd do Palestyny.

Tymczasem nastąpiła w r. 1579 wyprawa pod Połock, obowiązek rycerski powołał go pod znaki Batorogo; zaniechawszy zatem podróży wyszedł na wojnę i wkrótce w oblężeniu Połocka, z małego działka pułhakiem zwanego w głowę raniony został. To go pobudziło natychmiast do wykonania dawnego ślubu. Po wyleczeniu się więc z rany ruszył naprzód do Cieplic w Czechach, a potem do Wenecyi. Nowe jednak i nieprzewidziane przeszkody, jeszcze i tym razem znieweczyły jego przedsięwzięcie. Powietrze w Grecyi srodze wówczas grasowało, wszyscy mu odradzali poddawać się dobrowolnie na niechybną śmierć; do tego wieść o powtórnej wyprawie Króla Stefana doszła go razem, i tak znowu odwrócony takimi wypadkami od swego celu, przyjechał do Polski niedokonawszy zamiaru. Roku 1581 całe lato Radziwiłł pod Pskowem walczył, jakby zapominając o swojej pielgrzymce. Aż wreszcie mocniejszym duchem przenikniony, rozrządziwszy dóm w Nieświeżu roku 1582, jechał do Grodna w sierpniu dla otrzymania od Króla pozwolenia na tę podróż i pożegnania go: co uczyniwszy wrócił się do Nieświeża i ztamtąd 16 września r. 1582 puścił się w drogę. W Wenecyi przydłużej zabawiwszy, popłynął nakoniec 6 kwietnia r. 1583 na Wschód w pielgrzymjskim odzieniu. Z wyspy Cypru przybił do Trypolu, potem zwiedził Syryą, Palestynę, Egipt, i przez Wenecyą w roku następnym 1584 wrócił do kraju.

W Grodnie znowu Króla powitał, a dnia 7 lipca tegoż roku przybył do Nieświeża radośnie od całej rodziny od wszystkich sług i poddanych przyjęty.

Od tego powrotu i stałego nadal zamieszkania w Nieświeżu, Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, zaczyna się wzrost i pomyślność miasta. Rozległe mając widoki na przeksztalcenie i umocnienie miejsca pobytu swego, zaczął to znakomite dzieło swoje od założenia w dniu 8 maja 1585 fundamentów na Zamek Nieświeżski. Tak usadowiwszy gniazdo rodu swego zwrócił uwagę na jedyny dotąd kościół wyznania Rzymskiego, do którego od chwili porzucenia dawnych opinii religijnych tak mocno się przywiązał, i tegoż jeszcze roku oddał go Jezuitom. Rośli oni wtenczas w powagę i znaczenie po całej Europie, niemniej jak w Polsce, gdzie pod opieką królów walczyli z reformą i nabywali coraz większego wpływu na umysłach szlachty. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł zapisem 18stego maja roku 1585 nadał im wiecznóm prawem majetność swoją Lipsk z ośmią wsiami, i w przeciągu dwóch lat od r. 1586 do 1588 wymurował przy dawnym kościele parafijalnym kollegium. Obok podniesienia chwały Bożej, obok uświetnienia głównego siedliska swojego, wchodziło do zamiarów jego zupełne przeksztalcenie wewnętrznego i materialnego stanu samegoż miasta Nieświeża. Sprowadziwszy różnego rodzaju doskonałych rzemieślników tak cudzoziemskich jako i krajowych, postanowił im zapewnić na zawsze stałą rękój-

mią nowego ich bytu. W tym celu udał się naprzód do Króla Stefana z prozbą o nadanie praw miejskich Magdeburskich Nieświeżowi: do czego Batory chętnie się skłaniając wydał dla Nieświeża pierwszy wiadomy przywilej, dnia 23 kwietnia r. 1586 w Grodnie podpisany. Przezeń miasto porównane w swobodach swoich ze wszystkimi miastami Królewskimi w Litwie, otrzymując prawo Magdeburskie z apellacją od Magistratu do dziedzica, wyjęte zostało z pod wszelkich innych jurydykcyi krajowych tak ziemskich jako i grodzkich. Mieszkańcy jego uwolnieni od opłaty na groblach i mostach na zawsze, a od ceł w Litwie pobieranych do lat pięćdziesięciu. Przytem ustanowione są prócz targów dwa jarmarki, jeden na Zielone świątki, drugi tygodniem przed Bożem narodzeniem, obadwa po niedziel dwie trwające. Z takim przywilejem powróciwszy Radziwiłł Sierotka do Nieświeża, celem rozwinięcia zasad w nim położonych zaraz w dniu 18 czerwca tegoż roku, wydał inny od siebie utrwalający wyzwolenie tego miasta, oraz środki skuteczne do wzrostu jego. Zaręczając w nim za siebie i potomków swoich, iż swobody nadane miastu przez Króla nigdy nie będą nadwerężone ani zmienione, naznacza za kodex obowiązujący księgę praw miejskich niemieckich zwane *Zwierciadłem Saskiem* (*Speculum Saxonicum*) przekładu polskiego Pawła Szczerbicza Syndyka Łwowskiego w r. 1581.

Dalej ustanawia Wojta, uposażając go sześcią włokami gruntu, po którego zejściu sposób wybierania następcy podług tegoż prawa przepisuje, wybór zaś Burmistrzów i rajców wojtowi i mieszczanom przyznaje, zapewniwszy apellacją od urzędu miejskiego do siebie i potomków swoich. Mieszczanie otrzymują tym przywilejem wieczystą własność swoich placów bez wszelkiej opłaty i wolność rozrządzania się nią zupełną. Oprócz tego na pożytek wspólny całego miasta oddaje wszystkie w niem browary, słodownie i gorzelnie, łaźnie, kramy, jatki, postrzygalnią i woskobojnią, a pobieranie i szacunek tych dochodów samemuż miastu przyznaje. Nakoniec miasto otrzymuje na własność dziedziczną sto włok ziemi, z pewnemi warunkami. A naprzód, żeby ci którzy uwolnienia od czynszów nie mają, płacili po kopie groszy, przeznaczając ten dochód na różne potrzeby wedle dawniejszych zapisów i nadań książęcych, a mianowicie na szpital Nieświeżski 40 kop gr. litews., na szkołę kop 24, na organistę kop 8, ostatek zaś obowiązując składać do skrzynki miejskiej. Powtóre żeby do 50 lat według nadania królewskiego, ze sta włok po korcu żyta, a z placów miejskich po groszu proboszczowi opłacano. Dla siebie zaś jako dziedzica zachowuje tylko myto targowe, poduszne i pomierne, nie więcej jednak tych podatków miastu przeznaczając wnosić corocznie do skarbu Książęcego nad 40 kop groszy. Wszakże myto pomienione oraz dochody z kap-

szczyzny (akcyzy) miodu, piwa i gorzałki do lat 50, póki wolność opisana w nadaniu Królewskiem trwać będzie, do kassy miejskiej odstępuje; za co obowiązuje urząd miejski, ażeby Ratusz, bramę jedną wielką od przyjazdu z Mira i drugą mniejszą wymurował i opatrzył dla zamknięcia całego miasta. Tłoki zaś do żniwa dotąd przez mieszczan odbywane znosząc na zawsze, postanawia aby natychmiast z każdego placu osiadłego, po przecie jednym wału około miasta zaczętego usypano. Polecając wręście żeby się mieszczanie wywdzięczając Królowi za nadane swobody, starali murować, wymaga od urzędu miejskiego coroczne rachowanie się w dzień Ś. Marcina na ratuszu z dochodów i rozchodów miejskich, przed dziedzicem i miastem. Prócz tych wszystkich nadań jakimi Książę Nieśwież tym przywilejem obdarzył, warował jeszcze aby miasto ludzi wszelkiego stanu nietylko od używania praw od Króla mu nadanych nieoddalało, ale gdy ktokolwiek prawo miejskie przyjmie a gdziekolwiek z towary swemi jechać zechce, żeby mu świadectwo pod pieczęcią miejską wydane było. I żydzi niezostali od tego wyłączeni, którzy jednak nie Magdeburyi, ale pod jurysdykę zamkową poddani byli. Wspólne wszystkim jeszcze obowiązki na mieszczan włożone: ratowania młynów i grobel od powodzi, oraz miasta i zamku od pożarów. Książę nawzajem zapewnił opiekę i pomoc w podobnych wypadkach, zachowując sobie wolność pomnażania nadal udzielo-

nych teraz swobód, i zaręczając że ani sam ani jego następcy od tej chwili mieszczan Nieświeżskich żadnemi ciężarami ani powinnościami nie będą mieli prawa obarczać. Treść tego przywileju datowanego już w nowym zamku Nieświeżskim, odkrywa wszystkie dobroczynne zamiary Sierotki, pokazuje jak dalece szlachta owczesna nabrawszy światła to w kraju to za granicą, najgorliwiej imiała się wszystkich środków rozszerzenia cywilizacji i pomyślności krajowej pod błogiem panowaniem obu Zygmuntów: mianowicie przez coraz większe pomnażanie swobód municypalnych, tworzenie miast a z nimi średniego stanu to jest klasy przemysłowej. Co do samego Nieświeża widać stąd jeszcze, że były w nim założone szpital i szkoła z przyzwoitem uposażeniem, że obwarowanie miasta murem szybko postępowało. Prócz tego za orędownictwem Książęcia utworzone zostało bractwo miłosierdzia, bo Sierotka prócz wrodzonej sobie gospodarności i przemyślności, miał serce tklive na nędzę bliźniego. Opiekun wspaniały sierot i ubogich, skory do wspierania nieszczęśliwych, zwykł był często mawiać: „niech mnie nie zowią Radziwiłł, ale *Rad żywił*.”

W tym samym jeszcze roku Król Stefan pochwalając to wszystko, co tylko do uszczęśliwienia narodu dążyło, nowym przywilejem w d. 24 czerwca ponawiającym poprzednie swoje nadania, zatwierdził wszystkie te chwalebne rozporządzenia Radziwiłła, i dla zaszczy-

tu miasta Nieświeża, herb mu czyli pieczęć wiecznemi czasy ustanowił. Herb ten ma wyobrażać, podług słów przywileju: „z jednej strony na tarczy połowicę orła czarnego, jakby wzdłuż przeciętego z zupełną głową, z drugiej dziesięć zrębów krzywo wyniosłych, błękitną, czerwoną i żółtą farbą na przemian malowanych (*).” Podanie miejskie także utrzymuje, że klucze złote zachowujące się dotąd w Ratuszu Nieświeżskim, są od tegoż sławnego Króla nadane.

Kształcąc z taką usilnością i tak śpiesznie na miejscu dawnego i zapadłego miasteczka, nowy Europejski gród, a przy nim rozległy i wspaniały zamek nieustępujący podobnym w owej epoce niemieckich i francuzkich panów gmachóm, miał jeszcze inne widoki **Mikołaj Krzysztof Radziwiłł**. Ustawa na sejmie Brzeskim r. 1566 zapadła, nadając szlachcie litewskiej zupełną moc rozrządzania podług woli swej całym majątkiem, jakiej dotąd nie miała, otworzyła drogę do nieskończonej podzielności dóbr ziemskich. Synowie Czarnego Radziwiłła, **Mikołaj Krzysztof** o którym teraz mówimy, **Albert** i **Stanisław** postanowili, raz zapobiegając temu, drugi raz zapatrując się na instytucje majoratów w obcych krajach obwarować: przy podziale majątku ojczystego między sobą, prawem familijném, wieczystą jego trwałość w imieniu Radziwiłłowskiém. W tym celu stanął dnia 16 sierpnia roku 1586 w Gro-

(*) Archiwum miejskie Nieświeżskie.

dnie układ między trzema braćmi w obecności trzech świadków zawarty, a tegoż jeszcze roku dziesiątego grudnia przez Króla Stefana na dwa dni przed zgonem jego potwierdzony: mocą którego wszystkie główne dobra Ołyka, Nieśwież, Mir i Kłeck z przyległościami na zawsze miały zostać w posiadaniu imienia Radziwiłłowskiego, z wyłączeniem potomstwa żeńskiego, ani też pod jakimkolwiek pozorem aljenowane być mogły. Ordynacye takowe sejm w r. 1589 w zupełności zatwierdził (*), a Mikołaj Krzysztof Radziwiłł stał się odtąd Ordynatem na Księstwie Nieświeżskim Hrabią na Mirze, oraz dziedzicem Białej i Czarnawczyc. Kiedy Zygmunt III po wstąpieniu swoim na tron polski potwierdzał na sejmie koronacyjnym 28 stycznia r. 1588 przywileje od poprzednika swego Nieświeżowi nadane: nowy ordynat tymczasem dokonywał z największą usilnością zaczętego dzieła, oraz ozdobienie miasta pomnażał. Jeszcze w tym samym roku 1589 w d. 1 marca wydał on nader ważny przywilej dla żydów, licznie już wówczas w tém mieście zamieszkałych. W nim przypuszczając ich do wszelkich praw przez Króla Stefana Nieświeżowi nadanych, i do handlu na równi z Chrześcianami, wyłącza z pod wła-

(*) Vol. Leg. II. fol. 1284. Ob. także: *Stosunek domu Xiążąt Radziwiłłów do domów Xiążęcych w Niemczech* przez Kar. Fryder. Eichorn, z niemiec. przełożył L. Hr. Rzyszczewski. Warszawa 1843.

dzy miejskiej magdeburgskiej, i poddaje jurysdykcji swojej zamkowej z zapewnieniem opieki dziedziców; ulicę osobną do osiedlenia się naznacza, z wolnością zupełną rozporządzania nadanemi im placami i utrzymywania szynków; domy w rynku do czasu okupienia ich przez Chrześcian dozwała zatrzymać, nadal zaś budowania się żydóm w rynku zabrania, niewstrzymując jednak dzierżawienia domów od Chrześcian, i utrzymywania kram na tymże rynku; pozwala szkołę zbudować i łaźnię, oraz plac za miastem na mogiły kupić; uwalnia od powinności kościelnych i plebańskich, niemniej jak od tłok i wszelkich powinności zamkowych i miejskich z obowiązkiem dawania z każdego placu po funcie pieprzu; w sądach własnego prawa żydowskiego stosownie do przywilejów królewskich używać pozwala; co większa, czeladź chrześciańską utrzymywać ich upoważnia, podług warunków prawami krajowemi przepisanych. Za to wszystko oprócz zwykłej opłaty kapszczyzną zwanej od szynków, do zamku, obowiązuje do sypania wałów i odbywania wart miejskich. Ciekawy ten przywilej zawiera w sobie jeszcze jeden warunek, godzien uwagi. Żydzi zostali obowiązani, do zamykania nie tylko na noc jak zwykle, ale przez całe trzy dni wielkotygodniowe czwartek, piątek i sobotę, ulicy swojej z obu końców. Klucze powinni byli natenczas składać na urządzie zamkowym, który miał obowiązek przestrzegać, ażeby nikt ze starozakonnych niewychodził do miasta,

i nawzajem żeby rozogniona rozpamiętywaniem męki Zbawiciela wyobraźnia Chrześcijan, nie wywierała zemsty na potomkach prześladowców Chrystusa. Radziwiłł chciał mądrze zapobiedz swawoli, może nie tak mieszczan samych, jak żaków szkoły Jezuickiej, z przesądów czasu wynikającej. — Tymczasem ciż sami Jezuici gnieździli się coraz mocniej i świetniej pod opieką i za pomocą Ordynata, który im kościół wspaniały w stylu korynckim w kształcie krzyża z kopułą r. 1589 dokończył murować, chociaż dopiero w r. 1601 został konsekrowany. Prócz tego, dwie inne fundacye duchowne za Sierotki jeszcze powstały w Nieświężu. Pierwsza Bernardynów w r. 1598 przez żonę jego Eufemję z ksiąząt Wiśniowieckich, która już w r. 1597 fundusz im nazaczyła; druga Benedyktynek w r. 1590 przez samegoż Sierotkę sprowadzonych i bogato uposażonych. Zakonnikom tym, swoim nakładem kościół wymurowawszy, w nim zwłoki dwóch swoich córek pochował, których alabastrowe nagrobki dotąd go ozdabiają. Oprócz tych wszystkich dzieł jego, zdaje się że on także jest założycielem o pół mili za przedmieściem Nieświężskim, w obrębie późniejszych ogrodów *Alby*, zwierzynca i domu letniego *Eremitorium* zwanego, który jeszcze r. 1767 trwał w całości. Tak Sierotka powtórny fundator miasta Nieświęża i twórca Zamku, odnowiciel świetności rodu swojego, wyjednał za życia swego jeszcze od Zygmunta III uniwersał w dniu 16 lute-

go r. 1605 zabraniający mytnikom w Koronie i w Litwie pobierania ceł od mieszczan Nieświęskich, dokonał wreszcie chwalebnego żywota r. 1616, i pogrześć siebie kazał w sklepach kościoła Jezuickiego, w stroju pielgrzymkim, w jakim odbywał podróż do Jerozolimy.

Wielkie i znakomite były zakłady, któremi Sierotka główne siedlisko swojej ordynacyi obdarzył, utrzymanie ich w całości, pomnażanie, i dokończenie zaczętych na około miasta wałów następcóm już przekazując. Najstarszy syn jego Jan Jerzy Kasztelan Trocki, prócz zatwierdzenia w r. 1617 urzędzeń ojcowskich, nie miał czasu nic innego zdziałać dla Nieświęża, bo przedwcześnie umarł bezpotomny w r. 1618. Krótkie jego zostawanie na Ordynacyi, tém tylko jest pamiętne dla niej, że w r. 1617 na Zamku Nieświęskim już otoczonym wałami i osadzonym armatą, podejmował wspaniale, idącego przez Nieświęż z wojskiem ku Moskwie Królewica Władysława. Jeden ze spółczesnych obecny temu przyjęciu (*), powiada że: „cechy wyszły z chorągwiami: na wale strzelano z dział, kiedy Królewic wjeżdżał na groblę do miasta i do Zamku: a gdy zaczęto pić za zdrowie J. Królewicowskiej Mości, taki był grom z dział osadniczych, że ledwie okna w domach całe zostały. Pan Trocki z wielkim przepychem ugościwszy Królewica i dwór jego,

(*) *Muskiewicz* w pamiętnikach.

podarował mu dwa największe działa, Królewicz zaś trzeciego dnia wyjechał.“ — Niewiele miał co nowego do przyczynienia Nieświężowi, następca bezdzietnego brata na Ordynacyą, a młodszy syn Sierotki, Aleksander Ludwik Radziwiłł Wojewoda Połocki i Marszałek nadworny Litewski. Używając dostatków przez ojca nagromadzonych, strzegł tylko przez trzydziesto-kilkoletni ciąg rządów swoich, całości rozlicznych zakładów hojnością rodzicielską wzniesionych. Za niego Władysław IV przywilejem 2 marca r. 1633, nadania poprzedników dla Nieświęża ponawiając, miasto od myta i ceł na lat 12 uwolnił, jarmark w czwartą niedzielę adwentu ustanowiony, na 24 lutego przeniósł, i nadużycia żydów chciał wstrzymać, których też i Ordynat postanowieniem swoim 7 marca r. 1647 tamę na niejakiś czas położył. Była to epoka wzrostu i pomnażającej się pomyślności miasta, które pod opieką dziedzica i osłoną praw municypalnych niemieckich podnosiło się rzemiosłami i handlem, ozdabiało się murami. Nie długiej jednak trwałości był ów stan błogi Nieświęża; podzielił on wkrótce los całego kraju, którego gwiazda zaćmiła się niespodzianie pod niefortunnym panowaniem Jana Kazimierza. Na chwilę przed owemi klęskami jakie miały kraj cały obarczyć, piątą z kolei Ordynat a syn poprzedzającego Michał Kazimierz Książę Radziwiłł Krajczy, a później Podkanclerzy i hetman polny Litewski, przez wydany dla Nieświęża przywilej w sierpniu r. 1654, prócz zwykłego

zatwierdzenia dawnych nadań, ustąpił do skrzynki miejskiej kop 60 myta targowego, na dalsze murowanie sklepów kupieckich i bram miejskich, kapszczyznę zniósł, uwolnił mieszczan od budowania młynów i mostów, zapobiegając zaś łatwym pożarom polecił przenieść z miasta łaźnie i browary wyznaczwszy na nie osobne miejsce nad stawem; nakoniec zmusił żydów do ponoszenia wszystkich powinności publicznych w mieście, od których się starali zawsze uchylać jak np. od popisów żołnierskich, odbywania wart, sypiania wałów, stawienia parkanów i t. p. — Nie korzystał już Nieświęż z tych mądrych rozporządzeń swojego pana, bo zaraz w tymże roku 1654 wojska Cara Aleksego Michajłowicza, po zwycięstwie pod Szkołowem nad Januszem Radziwiłłem odniesionem, większą część Litwy aż za Mińsk ku Wilnu zajęły. Nieświęż w zapasach tej ciężkiej wojny, razem z wielu innymi miastami, po większej części w popiół został obrócony. Stany Rptej mając wzgląd na straty od mieszkańców poniesione, od wszystkich podatków i stanowisk żołnierskich do lat czterech uwolniły (*). Jednakże wśród zajęcia Litwy przez obce wojska, korzystał z każdej sposobnej pory do umocnienia miasta Michał Kazimierz Radziwiłł i tak mocną załogą swoim kosztem utrzymywaną je opatrzył, że Nieświęż

(*) Za poprzedniem wysledzeniem przez Gród całej szkody. Vol. Leg. IV. fol. 474. Anno 1574.

najściślej opasany w r. 1660 przez Chowańskiego zdołał wytrzymać długie i ciężkie oblężenie, z którego dopiero zwycięstwo Czarnieckiego pod Lachowiczami, stanowczo go ocaliło. Jednakże klęski jakie spadły w owej wojnie na to miasto, przyprowadziły je do wielkiej nędzy. Tak zaś usilnie wielką tę niedolę jego mieszkańców przekładał Stanóm Ordynat na sejmie r. 1661, że ustawa tegoż sejmu prócz zapewnienia zwrotu Radziwiłłowi poniesionych kosztów na obronę Nieświeża, uwolniła też miasto na lat cztery od stacyi żołnierskich i podatków oprócz ceł królewskich i czopowego (*). Po abdykacji Jana Kazimierza, obrany po nim król Michał oprócz potwierdzenia poprzedzających przywilejów, nowym w d. 29 października roku 1669 w Krakowie wydanym, mieszczan Nieświeżskich, od myt i ceł na zawsze, a od cła głównego na lat 15 oswobodził: co Konstytucya Sejmowa roku 1670 do lat 20 przeciągnęła (**), z powodu jak wyraża klęsk przez nieprzyjaciół i przechody wojsk krajowych miastu zadanych, i przez wzgląd obwarowania jego, które Książę Radziwiłł do skutku przyprowadza dla większego bezpieczeństwa i ozdoby państwa. Spokojność powrócona w kraju, pozwoliła odetchnąć mieszkańcom Nieświeża i wybrnąć pomatu z ubóstwa. Czynnienie dopomagał do tego Książę Michał Kazimierz,

(*) Vol. Leg. IV. fol. 822. Konst. an. 1661. Tit. *Miasto Nieśwież*.

(**) Vol. Leg V. fol. 11.

pan rozumny i rządny. Jednym z dowodów chwalebnych jego usiłowań do podniesienia zniszczonej stolicy Ordynacyi, jest jego uniwersał 20 stycznia roku 1673 ogłoszony, w którym zachęcając do osiedlania się w Nieświeżu zapewnił przybyłcom wszystkie swobody prawem niemieckim warowane, z wolnością w każdym czasie wyniesienia się z niego. Jakoż garnęli się liczni osadnicy do miasta, a dwie nowe fundacye kościelne przydały mu więcej ruchu, i przyczyniły się do ozdoby jego. Pierwszą z tych uczynił Bazyli Bakanowski podstoli Smoleński, r. 1672. dla Dominikanów, wsparty przyłożeniem się Książęcia. Zrazu wybudowano im drewniane *Oratorium*, lecz wkrótce wymurowany był kościół i konsekrowany pod wezwaniem Ś. Jana Chrzciciela. W prezbiterium znajdują się dawne portrety fundatora i Książęcia Michała Kazimierza, a w ostatnich czasach umieszczono w ołtarzu obraz Bogarodzicy łaskami słynący. Druga fundacya w r. 1673 Opactwa Benedyktynów za miastem z kościołem Ś. Krzyża, jest dziełem samego Książęcia, który im sumę 36,000 złp. na dobrach swych zapisał. Nie tak rychło jednak, bo aż przez Karola Stanisława Radziwiłła syna pierwotnego fundatora, nowa ta osada duchowna w zupełności dokończoną została, i Sejm dopiero aż w r. 1690 ją zatwierdził. Słowem musiały te wszystkie nadania i nowe zakłady polepszyć nieco byt mieszczan, i postać miasta porządniejszą uczynić, kiedy przejeżdżający przez Nieśwież w roku

1678, do Moskwy, Tanner Czech, razem z Ks. Michałem Czartoryskim posłem do Cara, pisze w dzienniku swojej podróży, że tu widział mury otaczające miasto, obszerny rynek, piękne domy, i zamek otoczony wałami i fossą, opatrzony w spiżę. Wstąpienie na tron Jana III podało sposobność Ks. Michałowi Kazimierzowi jako mężowi siostry Królewskiej, wyjednania nie tylko aprobaty poprzedzających przywilejów, i ochronienia mieszczan od opłaty ceł i myta, lecz nadto innego jeszcze przywileju, przez który Król w nagrodę za mężne po kilkakroć odpieranie nieprzyjaciela i utrzymanie miasta Nieświeża otoczonego przeważnemi nieraz jego siłami, ustanowił tu dla polepszenia bytu obywateli miejskich czteroniedzielny jarmark od 25 sierpnia zaczynać się mający (*). Katarzyna z Sobieskich Radziwiłłowa po zgonie męża rządząc przez lat 12 Ordynacją, ważną przysługę jej oddała urządzając stan kupiecki w Nieświeżu. Ustawę w tym celu dla cechu kupieckiego napisaną, Król Jan III na Sejmie r. 1681 dnia 2 kwietnia zatwierdził. Oprócz tego żydzi tamtejsi przez swoje ciągłe nadużycia, ściągnęli uwagę tej pani i byli powodem do polecenia danego Magistratowi Nieświeżskiemu (r. 1688 d. 21 lutego w Żółkwi), aby odtąd do żadnych urzędów miejskich nie byli przypuszczani, a podczas targów i jarmarków nie wazyli się czynić żadnych poborów. Za

(*) Przywilej w autentyku uszkodzonym znajduje się w archiwum miejskiem.

jej epoki także Jan III inny jarmark cztero-niedzielną od wstępnej niedzieli naznaczył (*). Pomimo tych wszystkich środków, stan miejski w Nieświeżu przez klęski wojenne przyszedłszy do wielkiego upadku, nie mógł być tak łatwo z niego podźwigniony. Przemysłniejsi i obrotni żydzi korzystając ze wszystkich sposobów zubożenia się, zagarnęli po ustaniu wojny cały handel od zubożonych mieszczan. Szlachta i możne duchowieństwo, zaczęli nabywać od nich w części domy, place i grunta; reszta ich przechodziła w obce ręce za długi, przez zastawy, a nawet i przez legata. Tym sposobem stan miejski za ledwo staraniem Sierotki utworzony w Nieświeżu, pomimo nadanych mu swobód, znalazł się w przeciągu jednego tylko stulecia na schyłku swojego istnienia. Zaradzając temu ze swojej strony syn Katarzyny Radziwiłłowej Książę Karol Stanisław, wprzód Podkanclerzy a potem Kanclerz W. Lit., przy objęciu ordynacyi, rozporządzeniem swoim 4 kwietnia r. 1692 w Białej wydanem, włościan swoich którzy osiedli w mieście chroniąc się wojny do daty powyższej, uwolnił z poddaństwa i pod prawa miejskie oddał, wszystkie jurysdykcyi szlacheckiej i duchownej w Nieświeżu zniósł i miastu okupować je pozwolił, a mieszczanom długi zaciągać bez wiedzy Magistratu surowo zabronił. Za ledwo przy takich usiłowaniach podupadłe miasto

(*) Przywilej roku 1682, dnia 26 marca datowany w Jaworowie.

dźwigać się nieco zaczęło, kiedy powtórny najazd Szwedów napełnił Litwę nowymi klęskami długiej i ciężkiej wojny. Od początku r. 1706 Karol XII wyprawiwszy się z Polski do Litwy celem wyparcia Augusta II, z wojskiem polskim, oraz posiłkami Saskimi i rosyjskimi w Grodnie stojącego: pomimo całej swej uwagi na to miasto zwróconej, nieomieszkiał wysyłać w głąb kraju podjazdów swoich dla zdobywania miejsc warownych i niszczenia majątności należących do stronników Augusta. Do najgorliwszych między niemi należał właśnie Kanclerz Radziwiłł. Podpułkownik Szwedzki Trautfetter jeden z takich partyzantów, dowiedziawszy się że 1,500 kozaków z pod dowództwa Mazeppy, nieprzyjętych w Zamku Nieświężskim przez miejscowego Komendanta, rozłożyło się w samym mieście: postanowił napaść na nich niebawnie. Tym końcem mając 180 jazdy swojej poszedł do Nowogródka i zabrawszy z sobą tamtejszy garnizon Szwedzki złożony z 270 konnicy, udał się najspieszniej z całą tą siłą do Nieświeża. Tak zaś przezornie urządził swój pochód, że jeszcze przed świtem d. 13 marca stanął przed miastem. Wnet kazawszy zsiąść z koni Dragonom uszykował z nich trzy bataljony, a resztę jazdy zostawił w odwodzie, i co prędzej niedawszy się obejrzeć kozakóm bramy opanował. Wtenczas Szwedzi ze wszech stron uderzyli na nich, lecz kozacy dzielnie się bronili. Stając na rynku w szyku bojowym, zawaliłi ulice zeń wychodzące jak mogli najlepiej i silnym ogniem przy-

witali Szwedów, którzy jednak tak ich przewyższali taktyką i bronią, że kozacy stracili dowódcę swego i 300 ludzi w zabitych, oraz cztery działa. Tymczasem Trautfetter rozkazawszy przybyć swojej konnicy, opanował wszystkie ulice, ażeby nikt nie mógł ujść z pogromu. Wszakże 500 kozaków zdołało przedrzeć się i osadzić jeden z klasztorów Nieświężskich, a reszta ich schroniła się do domów rynek otaczających, skąd tak zaczęła rżęsiłą strzelbą dokuczać Szwedom, że dowódca ich zmuszony był zapalić miasto. Zginęło wówczas w płomieniach około 600 kozaków, do niewoli zaś dostało się ich stu ośmdziesięciu. Co do tych którzy się zawarli w Klasztorze, Trautfetter musiał im dać pokój, gdy napaść nie byłaby łatwą, a rozkaz zniszczenia innego oddziału kozaków powoływał go śpiesznie do Lachowicz (*). Nie tu był koniec wszystkich nieszczęść Nieświeża i ruiny jego dziedzica; Król Szwedzki uwziąwszy się na zgubę Augusta II, postanowił zniszczeniem posiadłości wiernej jemu szlachty zmusić ją do opuszczenia strony Saskiej. Miasto wprawdzie spalone dogadzało widokom Szweda, ale Zamek Nieświeżski stał nietykalny, mocno obwarowany i w załogę stosowną opatrzony. Karol zamierzył go zdobyć, i w tym celu opuściwszy Lachowicze niedawno opanowane, z mocnym oddziałem pułkownika Creutz, poszedł do

(*) *Adlerfeld*: Histoire milit. de Charles XII, Amsterd. 1740 T. II.

Nieświęża. Zamek tamtejszy jak go Szwedzi wówczas znaleźli, miał cztery bastiony, porządne kontraskarpy, i wały w dobrym stanie, na których stało 17 dział spiżowych i cztery żelazne. Za przybyciem Króla Szwedzkiego do miasta 10 maja r. 1706, jego Adjutant jeneralny Rosenstierna wezwał natychmiast z rozkazu Królewskiego, dowodcę załogi Zamkowej dwieście zbrojnych liczącą do poddania się. Odmówił dowodca, a Karol XII kazał mu powiedzieć, że jeśli natychmiast nie odda warowni, i jeżeli zmusi Szwedów chociaż do jednego wystrzału: będzie powieszony z całą swoją załogą. Po takim zapowiedzeniu dowodca przerażony i większością sił nieprzyjacielskich, i groźbą Króla którego powodzenie i samo imie już postrach wzniecało: za upływem czasu do namysłu danego, zdał się na łaskę i poszedł w niewolę. Wkrótce jednak całej tej załodze Nieświężskiej wrócono wolność, z pogroźeniem śmiercią jeżeli się kiedykolwiek odważą wojować przeciw Królowi Stanisławowi Leszczyńskiemu lub Królowi Szwedzkiemu. Wtenczas to po stopieniu dział wałowych, wszystkie warownie Zamku Nieświężskiego zostały zburzone z rozkazu Karola XII, dla tego że należały do Kanclerza Radziwiłła, a miasto z okolicznymi włościami zrabowane i do reszty prawie spalone.

Długie, letargiczne uspokojenie kraju po takich klęskach, dozwoliło też leniwie odradzać się Nieświężowi ze zwalisk swoich. Jeszcze takim było, kiedy wierny Augustowi II Kanclerz na kilka lat przed zgonem

przyjmował tu z wielką gościnnością Króla swojego. Puł wieku jednak zaledwo mu dało zapomnieć ran od Szwedów zadanych, do czego troskliwa opatrzność dzieciów najskuteczniej pomagała. Michał Kazimierz Książę Radziwiłł drugi tego imienia Ordynat, Wojewoda Wileński i Hetman W. Litewski, syn Kanclerza, najwięcej usiłowań i pracy położył do podźwignienia go z upadku. On to postanowieniem swoim r. 1724 d. 26 lipca wszystkie dawniejsze przodków nadania potwierdziwszy dla miasta, dopuścił wszystkich chcących w niém osiadać do praw miejskich, z zapewnieniem zupełnej wolności wyniesienia się. Rządy jego w Nieświeżu pamiętne są ustawą wielkiej wagi, w kraju mającym gwałtowną potrzebę dzwigać swoją obronę wewnętrzną. Michał Kazimierz dla przyzwyczajenia mieszczan do ćwiczeń wojskowych, ustanowił w r. 1731 strzelanie do tarczy każdorocznie na dzień trzeci Zielonych świąt odbywać się mające pod swoim przewodnictwem, do czego wszyscy bez wyjątku mieszczanie Nieświeżscy obowiązani zostali. Główniejsze warunki téj ustawy były. „Kto najlepiej trafi do tarczy, taki Królem ma być mianowany, i z tryumfem *ornatus insignio* pasa axamitnego ze srebrnemi tabliczkami, na ratusz prowadzony, a w osobny protokół *ad perpetuam memoriam* zapisany. Król ów, uwolniony był na cały rok, od robocizny i posług miejskich, a mógł wypalić bez opłaty jeden warzatkę i dwa piwa; wzajemnie zaś był obowiązany trzymać klucze od Szychhauzu zbudowanego za wałami

i klasztorem PP. Benedyktynek, strzedz go, załatwiać zdarzające się naprawy, i swoim kosztem sprawić srebrną jeden łót ważącą tabliczkę z imieniem swoim i datą wyboru.“ (*) Przez ciągłą opiekę i nakłady tego znakomitego męża, jednego z najdostojniejszych ordynatów, Nieśwież powstał z ruin i wałami na nowo się otoczył. Za niego kościoły w Nieświeżu przysły do dawnej świetności i nowej ozdoby nabrały. Na wzgórzu o ćwierć mili od miasta (**) Jezuiści już w pierwszej połowie XVII wieku, za pomocą różnych dobrodziejów wzniesli dla nowicyatu swego drugi klasztor z kościołem Św. Michała; Książę Michał Kazimierz wziętą tę fundacją podniósł, wymurowawszy dla nich kościół trwalszy w r. 1736, który w roku dopiero 1738 d. 3 maja Biskup Wileński Michał Zienkiewicz konsekrował. Bernardyni za pomocą Księcia założyli w roku 1756 o milę od Nieświeża osadę fabryczną zwaną *Połośna*, do wyrobu sukna na habity zakonne przeznaczoną. Sam Ordynat oprócz fundacji Ś Michała wymurował dla Jezuitów w mieście obszerny klasztor, a kościół w sprzęty opatrzył; wyjednał zaś Bullę u Benedykta XV papieża w r. 1750, urządził w grobach fa-

(*) Wiadomość ta czerpana z archiwum Zanku Nieświżskiego razem z wielu innymi źródłami tu użytymi, udzieloną została autorowi przez P. L. Kontratowicza archiwistę ordynacji, za upoważnieniem przyjaznego naukom historycznym krajowym P. Adolfa Dobrowolskiego.

(**) Położenie tego kościoła odosobnionego od miasta, dało powód do znajomego mieszkającym w okolicy Nieświeża przysłowia: *Odsunął się jak Śty Michał od Nieświeża!*

milijnych pod tymże kościołem Jezuickim kaplicę, o której jużesmy wyżej powiedzieli. Groby te zamknęły wkrótce zwłoki zacnej małżonki jego Księżnej Urszuli Franciszki z Wiśniowieckich urodzonej r. 1706, do której mocno był przywiązany, i którą dla jej cnót rzadkich, pobożności i światła wszyscy uwielbiali. Pogrzeb jej w r. 1753 był wspaniały, pięciu Biskupów, dwóch opatów i niezliczona moc duchowieństwa, znajdowała się na nim. Cały niemal stan rycerski i wszyscy Senatorowie Województw Nowogródzkiego, Mińskiego i Wileńskiego, przybyli oddać jój ostatnią posługę. Pani ta czczona od całego Nieświeża, wpływała czynnie do wszystkich usiłowań męża ku podźwignieniu miasta, a upodobaniem swém w pobycie na Zamku Nieświeżskim, przyczyniła się do wykształcenia poloru towarzyskiego między obywatelstwem. Jej to osobiście lub wspólnie z mężem należy odnowienie Kościoła Benedyktynek, odbudowanie Kościoła Ś. Michała, i upiększenie wspaniałej świątyni Jezuickiej w mieście. Ona wreście zamiłowana w literaturze polskiej, przysłużyła się jej napisaniem dla teatru zamkowego i ogłoszeniem w Drukarni Nieświeżskiej kilkunastu sztuk dramatycznych. Typografia ta jak widzieliśmy wyżej założona od czasów reformy religijnej, po jej upadku stała się nieczynną, bo Jezuici mieli osobną swoją drukarnią. Później dla zamieszkań wojennych i zniszczenia miasta, przysła do zupełnego opuszczenia; raz w niej tylko podobno z rozkazu Kanclerza Ra-

dziwiła, za przybyciem do Nieświeża Augusta II, wybijano gazety czasowe. Książę Michał Kazimierz zachęcony upodobaniem żony swojej w naukach, wydobył ją z zapomnienia, i na nowo wzorowie na swój czas urządzać rozkazał. Król August III na prośbę Książęcia dał mu w r. 1750 d. 27 sierpnia przywilej na nią, w którym tak wyraża: „drukarnię w mieście Nieświeżu *ab antiquo* istniejącą, a *injuria temporum* zaniechaną, na nowo *erigere* pozwolił.” — Sztuki te przedstawiane były nieraz za życia Autorki, w epoce podźwignienia Nieświeża przez Ks. Michała Kazimierza Hetmana od r. 1746, przez amatorów, w obec zgromadzonych z pobliskich województw gości i krewnych Ordynata. Teatr był urządzony w gmachu nazwanym *pałacem*, który się wznosił na przeciw fary w mieście (*).

Zdaje się że za tegoż Ordynata, po którego śmierci w r. 1772 zaszłej, wdowa jego Anna z Mycielskich Radziwiłłowa rządziła dobrami, zamek Nieświeżski po wojnie Szwedzkiej z gruntu wyporządkowany został,

(*) Wyszły one z drukarni Ordynackiej, pod tytułem: *Rome-dye i Tragedye* przednio dowcipnym wynalazkiem, wyborym wiersza kształtem i t. d., znamienite, przez JOX. Radziwiłłową Wojewodzinę Wileńską i t. d., złożone, na wspaniałym Teatrum Xiążęcym w Nieświeżu, sprawą najzacniejszych dam i Kawalerów nieraz pokazane, teraz przez przytomnego świadka i wiernego domu Książęcego sługę do druku podane r. 1754. W dedykacyi podpisał się Jakób Pobóg Fryczyński Kapitan i komendant Żołujewski. Bez wyrażenia miejsca druku, in folio. Piękne wydanie, w małej liczbie exemplarzy.

i że mury jego zburzone po większej części wzniosły się na nowo. To zaś pewna, że pałac letni Alba zwany przy dawnym zwierzyńcu wymurowany, jest jego dziełem. Opowiedziawszy dotąd w ogólności kronikę miasta, pójdźmy następnie poznać, o ile wycieńczone źródła pozwalają, i ów zamek który tylu znakomitych książąt był mieszkaniem, tyle skarbów sztuki i nauk, tyle bogactw zawierał, i ową Albę tak później wslawioną za **Karola panie - Kochanku!**

2,

ZAMEK I ALBA.

O dwa tysiące kroków od miasta Nieświęża wznosił się w pierwszej połowie 18 wieku zamek Ordynacki z wielu niekształtnych gmachów złożony, nad którym trzy wieże odmiennie wysokością i rozmiarem górowały. Wały z czterema narożnemi bastyonami, dwadzieścia cztery dział na nich rozstawionych, i głębokie przekopy, stanowiły jego obwarowanie i obronę zewnętrzną. Otoczony był ze trzech stron znacznemi jeziorami i stawami: z czwartej tylko przez most zwodzony, grobla Słucką zwana, łączyła go z lądem i miastem. Najdawniejszy dotąd dochowany opis czyli inventarz zamku zawierającego kilkaset w ogóle izb różnej wielkości, jest z roku 1558. Podług niego, dzie-

lił się on na właściwą fortecę i kamienicę zamkową. W tej kamienicy to jest we właściwym pałacu zamkowym, liczone w 17 wieku dwanaście ogromnych sal, ozdobionych kosztownymi sprzętami, malowidłami i rzezbami w marmurach i alabastrze, oprócz mnóstwa innych komnat różne przeznaczenie mających.— Inwentarze zamkowe, tenże sam w r. 1658 sporządzony, i następnie po nim z lat 1673, 1771 i 1767, dostarczają nam sposobności do poznania innych części zamku prócz mieszkalnej, przeznaczenia ich i tego wszystkiego co się w nich mieściło. Najpierwszy z porządku był:

CEKHAUZ. w którym podług opisu r. 1658, znajdowało się: 84 hakownic w drzewo osadzonych, około 30 sztuk szturmaków spiżowych, ogromna ilość broni ręcznej, zbroi i samopałów. Opis zaś roku 1673 dodaje, że tu było 100 kamieni prochu, wielki zapas saletry i siarki, kilkanaście gromad kul i granatów. Przy tym arsenale liczyły się działa na wałach rozstawione i cztery na dziedzińcu zamkowym, wszystkich w ogóle 28 według inwentarza z r. 1658, a przeszło pięćdziesiąt podług opisu w r. 1767 sporządzonego.

RYSTKAMERA, czyli podręczny arsenał, obejmował do tysiąca sztuk ręcznej broni tak myśliwskiej jako i wojennej. Strzelby jak wyraża spis z roku 1767, wszystkie niemal nabijane złotem i srebrem.

SKARBIEC. Najdokładniejszy opis jego uczyniony z polecenia Anny z Księżąt Sanguszków Radziwiłłowej,

wdowy po Karolu Stanisławie I, wymienia następne godniejsze pamięci osobliwości i bogactwa.

a. PAMIĄTKI: Bożek pogański, *którego kto niechciał adorować był od niego pchnięty*; miecz Ś. Piotra, którym uciął ucho Malchusowi; miecz od Maxymiliana Cesarza przy nadaniu dostojności księżęcej Radziwiłłom r. 1518 dany; miecz złoty od Karola V. Cesarza r. 1547 podarowany; oszczep Cara Iwana Groźnego; szabla mahometańska cudnej piękności, dar Zygmunta Augusta; laska jednoróżcowa Księżęcia Sierotki; druga cynamonowa od tegoż z Jeruzalem przywieziona; laska z pobrzeża rzeki Jordanu wycięta; nóż kapłanów pogańskich którym zabijali ofiary w Egipcie; płaszcz Księcia Sierotki; kapeluszy Kardynałski Jerzego Radziwiłła. — b. KLEJNOTY: naprzód tak zwane szkatułowe, dyamenty, rubiny, perły, w rozmaitych oprawach, ułożone w skrzyniach, w liczbie 939 sztuk, powtórę: klejnoty ś. p. Księżęcia Jmci (Karola Stanisława I) których się niezazywa, pod tym tytułem były rozmaite ozdoby i sprzęty drogiemi kamieniami sadzone, w ogóle sztuk 417; po trzecie, pierścieni sadzonych dyamentami, szmaragdami i różnemi brylantami, sztuk 30, między któremi ważniejsze są: pierścień z głową murzyna od Króla Zygmunta Augusta, drugi z herbem Janina od Królewicza Jakuba Sobieskiego, pierścień z wyobrażeniem Karola XII Króla Szwedzkiego, inny z wizerunkiem Stanisława Leszczyńskiego, i wiele innych osobliwych; kamieni dro-

gich różnej wielkości nieoprawnych około 3,000 sztuk. **BRÓŃ.** Szabel oprawnych w drogocenne kamienie 40, z tych jedna od Zygmunta Augusta, sześćdziesięciu dyamentami, druga familijna 202-ma różnej wielkości osypana, przytém mnóstwo podobnej wartości muszkietów, buzdycanów, buław i zbroi. — **RZĘDÓW** kosztownych na konie 20. — **SREBRO.** W puharach, wazach, lichtarzach i dalszych sprzętach stołowych lub pokojowych, znajdowało się tego kruszczu przeszło tysiąc sztuk, wazy same ważyły 62 grzywien i lutów 8. — **NUMIZMATA.** Medalów i monet Europejskich z roku 1721 lub nieco wcześniejszych, oraz greckich i rzymskich znajdowało się sztuk 853. — **INNE SPRZĘTY:** **Ko-**bierców 63, luster i zwierciadeł 117, zegarów wielkich 34, zegarków mniejszych w złoto i kamienie oprawnych 12, pieczęci tak litewskich po Radziwiłłach **Kanclerzach** pozostałych, jako i familijnych 6, ksiąg (album) z różnemi zapisami domowemi, i portretami 8. Miał być jeszcze tajemny skarbiec, o którym tylko wiedział zawsze Ordynat i jeden ze starych sług przysięgą do sekretu obowiązany. W nim jak powiadają, znajdowały się między innemi, posągi lane z czystego srebra naturalnej wielkości dwunastu apostołów, i wiele naczyń szczerozłotych.

ARCHIWUM zamkowe zawierało w 17 wieku prócz listów i przywilejów **Królewskich**, listów **Monarchów** i wszystkich prawie **Książąt Europejskich**, ważne dokumenta bądź autentyczne bądź w kopijach lub mi-

nutach własnoręcznych, dotyczące się spraw publicznych Polski i Litwy. Największą jednak okrasą tego szacownego składu świadectw autentycznych do dziejów narodu, były oryginalne dyplomata zawierające przywileje i nadania Królewskie dla Litwy, zaczynając od aktu Unii obu narodów za Władysława Jagiełły. Radziwiłłowie bowiem linii Nieświężskiej dziedzicznie i wiecznie mieli sobie oddane do chowania i strzeżenia takowe dyplomata, na mocy przywileju nadanego Książęciu Mikołajowi na Ołyce i Nieświężu Wojewodzie Wileńskiemu, Marszałkowi i Kanclerzowi W. Lit. przez akt w Wilnie na sejmie litewskim r. 1551 we wtorek po wszystkich świętych, od Zygmunta Augusta wydany.

BIBLIOTEKA umieszczona w osobnej sali ozdobionej kilkunastu kolosalnej wielkości popiersiami filozofów starożytnych z fajansu, w fabryce Książęcej we Swierznieniu robionemi, składała się w 17 wieku i na początku 18 wieku z kilku tysięcy ksiąg tylko. Katalogi nie wymieniają wcześniejszych dzieł nad r. 1600, a liczba dzieł francuzkich przewyższała ilość polskich i łacińskich.

ZBIÓR OBRAZÓW. Od początku samego założenia zamku Nieświężskiego w XVI wieku, już Książę Sierotka zaczął ozdabiać ściany poważnych komnat swoich portretami rodziny Radziwiłłowskiej i Królów, a może nawet i obrazami historycznymi. Tych jednak ostatnich liczba znakomiciej urosła dopiero w 17 stu-

leciu. Spis malowideł zamkowych sporządzony w pierwszych latach ordynacji Michała Kazimierza Wojewody Wileńskiego i Hetmana W. Lit., to jest zaraz po roku 1724, wymienia między znakomitszymi obrazami następujące :

- Koronacja Królowej Barbary.
- Nadanie dostojności Księżęcej Św. Państwa Rzymskiego Mikołajowi Radziwiłłowi Czarnemu przez Cesarza Karola V. w r. 1547 w Wiedniu.
- Sejm Piotrkowski za Zygmunta Augusta na którym ten przywilej potwierdzony został r. 1549.
- Obrządek oddawania Kapelusza Kardynalskiego Jerzemu Radziwiłłowi.
- Przebycie Wisły pod Zawichostem przez Mikołaja Radziwiłła w r. 1384.
- Dobycie Sokalu przez Krzysztofa Radziwiłła w r. 1579.
- Wzięcie Kijowa za Jana Kazimierza.
- Poselstwo Popodyłły Kozaka przysłanego od Chmielnickiego do Janusza Radziwiłła.
- Dobywanie Starodubowa.
- Bitwa Janusza Radziwiłła pod Białą Cerkwią.
- Ratyfikacja tamże umowy Zborowskiej z Chmielnickim.
- Bitwa pod Kijowem z Kozakami i Tatarami.
- Dobywanie zamku Bobrujskiego.
- Zwycięstwo pod Łojowem w r. 1649.

Późniejsze opisy wyliczają do tego zbioru należące portrety: Władysława Jagiełły, Witolda, Iwana Groźnego i wielu innych Monarchów, Wojszmida protoplasty Radziwiłłów. Liczba zaś portretów samych Radziwiłłów, ich żon, dzieci, oraz spowinowaconych z nimi, Illniczów, Wiśniowieckich, Szydłowieckich, Wołłowiczów, Jabłonowskich, Ostrogskich, Sobieskich, była nieskończona. Jedne z nich, w inwentarzu r. 1658 mają napis „Świętego Franciszkowego malowania” — drugie są z podpisem: Malarza Wilanowskiego.” — Oprócz tego cośmy dopiero wymienili, znajdowały się obrazy w przedmiotach religijnych, mitologicznych i krajobrazy; niektóre z nich były płodem najświetniejszych artystów Włoskich i flamandzkich. Między innymi znajdował się także krajowego pędzla, portret kmiotka ze wsi Czuczewicz który przeżył lat 140, za Ks. Michała Kazimierza Hetmana. W ogóle cały zbiór obrazów zamku Nieświeżskiego po wojnie i rabunkach Szwedzkich zawierał podług ich spisu w 1779 roku, jeszcze 984 sztuk różnego rodzaju malowideł na płótnie i drzewie.

KAPLICE dwie aż były w zamku. Pierwsza z nich dawna, jeszcze za Sierotki razem z tym gmachem powstała; drugą nową założył ów tyle razy wspomniany Książę Michał Kazimierz Hetman, w tym jedynie celu żeby w niej osobno umieścić obraz N. Panny Maryi, cudownego początku, jako drogą pamiątkę po Królu Janie III. Tablica marmurowa w kaplicy znajdują-

ca się, taką wiadomość o tym obrazie podaje. „Wtenczas kiedy się podobało Boskiej Opatrzności uwolnić Wiedeń od długiego i ciężkiego oblężenia Turków, za pośrednictwem Jana III Króla Pols., w dniu 17 września roku 1683; Stanisław Jabłonowski Kasztelan Krakowski objeżdżając miasto, dostrzegł pod gruzami murów zwój płótna zgnieciony i przytłoczony kopytami końskimi. Kazawszy go do siebie przynieść, ujrzał obraz Bogarodzicy i słowa na nim wyrażone (*angelorum manibus*), z jednej strony: *Vinces Joannes* (zwycięzysz Janie), z drugiej *Eris victor Joannes* (Będziesz zwycięzcą Janie). Zdumiony temi proroczymi wyrazami zaniósł Jabłonowski obraz Królowi, który natychmiast nakazał ściśle o nim miejscowe śledzenie. Trudno jednak było dojść pomimo wszelkich usiłowań, kto był właścicielem obrazu, jaką koleją znalazł się pod gruzami, i do jakiego Jana ściągała się przepowiednia. Powiadano wprawdzie, ale bez żadnej pewnej zasady, że ten obraz był niegdyś z Włoch przywieziony, przez Jana Kapistrana wsławionego zwycięstwem nad Turkami w Węgrzech. Cóżkolwiek bądź Król jakąś analogiją tego napisu do swego imienia uderzony, zaraz go w swojej Kaplicy obozowej umieścił, a prorocstwo to zagrzewało bohatyrski umysł jego w chwilach walki z Muzułmanami. Po śmierci Królewskiej 17 czerwca r. 1696 w Wilanowie przypadłej, Królowa Marya Kazimira zabrała go z sobą do Rzymu. Później dostał się obraz Królewiczowi

Jakubowi, a następnie został własnością, Michała Kazimierza Radziwiłła, który go jakieśmy powiedzieli w kaplicy zamku Nieświężskiego umieścił.”— Antoni Tyszkiewicz Biskup Żmudzki w asystencyi dwóch innych Biskupów, i liczego duchowieństwa, przy wielkiem zebraniu Senatorów i obywatelstwa, w dniu 18 czerwca r. 1758 poświęcił tę kaplicę pod tytułem Nawiedzenia N. P. Maryi

GISERNIĘ, czyli raczej *Ludwisarnię* w osobnym budynku utrzymywano także w obrębie zamku Nieświężskiego; i w niej były lane owe działa żelazne na wałach umieszczone.

WIĘZIENIE nakoniec, ten niezbędny przydatek zamków warownych w średnich wiekach, dopełniało liczby wszystkich budowli zamkniętych wałami. Inwentarz r. 1658 wymienia oddzielną turmę; są jednak ślady, że w podziemnych sklepach zamku znajdowały się także więzienia. Co się tycze utrzymującej się dotąd tradycyi, jakoby od zamku aż do góry Święto-Michalskiej, ciągnęły się rozległe lochy: te zapewne służyły do wycieczek podczas oblężenia.

Do uzupełnienia tego, jakkolwiek nader ogólnego rysu dziejów i fizjonomii Nieświeża, w epoce poprzedzającej ostatnie lata jego świetności, wypada koniecznie wspomnieć także i o *Albie*. Bo też *Alba* owa, tyle

głośną się stała po całej Polsce, za Księcia *Panie Kochanku*, że niepodobna o niej zamilczeć pisząc kronikę Nieświeżską. Położenie tego letniego mieszkania Ordynatów Nieświeżskich jest bardzo miłe, a nawet możemy powiedzieć, piękne. Mnóstwo przezroczystych wód, cieniste drzewa, sady owocowe, wzgorza porośłe zielonemi gajami, a wszystko oparte na tle ciemnego lasu zamieszkanego od mnóstwa zwierząt i ptactwa: wszystko to powabnym stało się ustroniem dla zmordowanych nieraz przepychem wspaniałości zamkowej panów Nieświeża. Szkoda że wiadomości o tym miejscu w aktach archiwum Zamkowego pozostałe, dosyć późne są, i sta lat nawet nie sięgają. Zwierzyniec sam niezawodnie istniał już za czasów Sierotki. Ale romantyczny religijny umysł jego, prócz zabawy myśliwskiej nie szukał tam innych rozrywek. Chwile wolne od łowów i spraw domowych, były zajęte dumaniem i pobożnemi myślami. Nie było więc żadnego pałacu wśród owego zwierzyńca, tylko dom pustelniczy, gdzie może nieraz po swoim powrocie z Ziemi Świętej, w tej samotności wiejskiej myśl tego pobożnego rycerza wieku szesnastego, przenosiła się w ubiegłe lata jego pielgrzymki, i błądząc po świętych okolicach otaczających odwieczne mury Solimy, powracała nakoniec spocząć w pośród zielonych lasów rodzinnej Litwy! Później, za jego następców, miejsce to nabierając coraz większego przyozdobienia, razem z postępem sztuki w Europie, stało się letnim pobytom Ordynatów i otrzymało nie-

wiemy dla czego, nazwisko *Alba*. Najdawniejszy opis jej z roku 1758, pokazuje już, co od czasów pierwszego fundatora a raczej restauratora Nieświęża, następcy jego, a mianowicie Księżę Michał Kazimiérz Hetman, i uczona żona jego Urszula Wiśniowiecka, dla tego miejsca uczynili. Oto są główne zakłady i ozdoby tego miejsca, w opisie onym wspomniane.

1. *Eremitorium*, dommurowany we dwie linije, zamknięty po bokach murowanemi parkanami. Tam na podwórzu ogródek, a w nim pośrodku rozłożysta lipa. Nad główném wnijsciem posąg Ś. Mikołaja: wnętrze wszystkich pokojów poważne i święte, ściany pokryte malowaniem *al fresco*. Znajdziesz tu obraz wieczerzy pańskiej na murze, to cierpiącego Chrystusa, to SS. pustelników. Na gzęmsach i nad kominkami widać wszędzie ozdoby religijnej treści z gipsu wyrobione, jak *np.* głowę Chrystusa na tuwalni, dwie kości na krzyż złożone, krucyfiks, Najświętszy Sakrament i t. p. Jest także kaplica z ołtarzem Maryi Matce Boskiej poświęconym, a przy niej mały zbiór pobożnych książek, których podług późniejszego spisu w 1767 roku było tu 67. Nad drugimi drzwiami stoi posąg Ś. Krzysztofa. Opisujący tę budowę w r. 1758 dodaje, że w wielu częściach swoich potrzebuje naprawy. Świadectwo to o dawniejszém jej istnieniu, i te dwa posągi SS. Mikołaja i Krzysztofa, dają poznać podług największego prawdopodobieństwa, iż Księżę Sierotka był założycielem domu pustelniczego.

2. *Pałac letni* Książęcy, wymurowany w ogrodzie o piętrze, nie jest wielkim ani pięknym. Szcupłość jego w stosunku do potrzeb i dostatków dziedziców, łatwo się pojąć daje przy wielu innych licznych budynkach, które w obrębie cienistych gajów Alby rozrzucone, mogły służyć do wygodnego umieszczenia w lecie dworu i gości. Co do stylu budowy, szkoda że mniej o nią dbano; dwie trójkątowe wystawy od przodu i z tyłu nie mają wielkiego powabu dla oka. W pałacu tym były tylko dwie sale i około piętnastu pokojów; sprzęty jednak i ubranie ich odpowiadały zamożności panów, pełno było marmurów i alabastrów, pięć wielkich i wspaniałych zegarów, dwadzieścia ośm zwierciadeł, i t. d. Książę Michał Kazimierz Hetman W. Lit. był tej budowy twórcą w r. 1758, w którym zaledwo została skończoną. Prócz ogrodu otaczającego ów pałac, był inny jeszcze zwany włoskim, a w pośród niego stał (jak świadczy późniejszy opis z r. 1767) inny letni pałacyk zwany:

3. *Konsolacya*, ale jak wyglądał? o tém niemamy wiadomości. Dalej przy tym ogrodzie znajdowały się:

4. *Figarnia*. — 5. *Dwie pomarańczarnie*, a w niej drzew pomarańczowych i różnych innych exotycznych sztuk 695.

Za dwoma pomienionemi ogrodami rozciągał się już zwierzyniec, w którym prócz innych zwierząt, inwentarz z r. 1767 wylicza: Bawołów sztuk 9, Jeleni 17, Da-

nielow 8, Wielbłąd 1. Wpóśród niego pomijając różne małe budowy, znajdowały się:

6. Dwie wielkie *Altany*.

7. *Rękodzielnie* sukienna i płócienna.

8. *Persyarnia* tak zwana, czyli fabryka pasów, która jednak w owej epoce była nie czynną, zapewne dla tego że inna tego rodzaju w Słucku kwitnąca, coraz większej zalety nabywała.

Czas nie zachował nam żadnych domowych dziejów Alby, gdzie jednak Ordynaci Nieświeżscy z upodobaniem długie chwile życia swego przepędzić lubili, gdzie Karol Stanisław Radziwiłł Kanclerz W. Litewski, świadek tylu burzliwych przemian w kraju, niezmienny ów przyjaciel Augusta II, życia dokonał. Historya Alby rozwinęła się później dopiero, za bliskich nam czasów, i wzbudziła ciekawość powszechną w kraju, obecnie zaś zajęła nawet pióro niejednych i niepoślednich pisarzy w kraju. Lecz my do epoki tylko słynnego *PanieKochanku*, zamierzylśmy rozpowiadać dzieje Nieświeża. Może czasem coś więcej o tém powiemy.



BUKIET JESIENNY.

Nim chłodna jesień zamrozi ogrody
A ciało ziemi pokryje pleśń biała,
A potem przyjdą wichry, niepogody
Ostatni bukiet dłoń moja zerwała.

Z bijącym sercem, z namiętmem okiem
Szukałem kwiatów do skromnego wiana
Nademną niebo z posępnym obłokiem,
Dokoła ziemia we mgle zapłakana....

Tu liść pożukły toczy się w dolinie
I głuchym szmerem żegnają się drzewa....
Żal ten wymówny pod niebiosą płynię;
Bo czyliż drzewo odżyć się spodziewa?

A dalej kwiatów powiędle korony
 Gną się ku ziemi przy niemej rozpaczy...
 Bo kwiat jesiennym wichrem zamrożony,
 Nigdy jutrzeńki życia nie zobaczy.

„Wieszcu mój młody — duch kwiatów zapyta:
 „Dłoń twoja splata podarek ostatni.
 „Lecz czy go uśmiech anioła powita....
 „Albo ogrzeje miły uścisk bratni?

Na błoniu życia usłanem bogato
 W tęczy kolorach — w nadziei sukience,
 Przedrzywał dzionek — przespał swoje lato
 A teraz idzie bawić czyjeś ręce!

Natura matka strojąc w świetne szaty
 Wątlami dźwiatwę obdarzyła siły....
 Ach! taki wyrok czeka wszystkie kwiaty
 Przy wschodzie życia już bliskie mogiły!

Oby pod skrzydłem miłości — przyjaźni
 Usnął ten bukiet snem cichym dziecięcia
 A może kiedyś w świecie wyobraźni
 Przyjdzie dla niego chwila w niebowzięcia!

Marcelli Głuski.

MARYJA LUDWIKA

Z GONZAGÓW

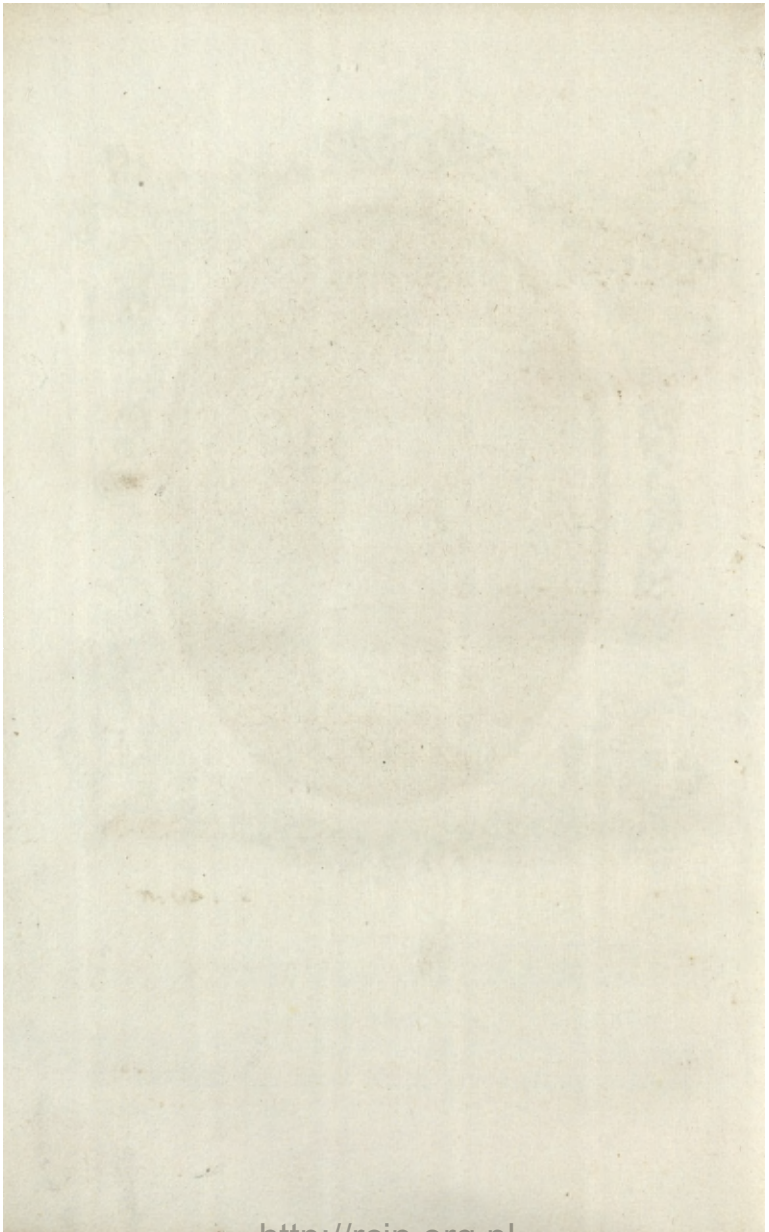
KSIĘŻNICZKA MAŃTUAŃSKA**KRÓLOWA POLSKA.**

Z pomiędzy księżniczek zagranicznych co na tronie polskim zasiadły, po *Bonie* włoszce żadna tyle wpływów na naród nie wywierała, co *Maryja Ludwika*. Jeżeli pierwsza, nic oprócz zaspokojenia swych namiętności, dumy i chciwości na celu nie miała: to druga, piękniejszą kartę dziejów zająć powinna. Przebywszy w młodych latach, twarde losu wypadki, zahartowana niemi, mężkiego charakteru, w 35 roku życia zasiadłszy tron polski jako małżonka *Władysława IV*, nie mogła rozwinąć tego hartu duszy, przywiązania do kraju,



MARYJA LUDWIKA

Królowa polska.



odwagi którą podnosiła upadłe dusze nawet wojowników, jak dopiero wtedy, kiedy oddała rękę Janowi Kazimierzowi i zarazem uchwyciła samodzielnie wodze rządu. Swoją powagą, staraniem, skarbem, utworawszy mu drogę do tronu po śmierci brata Władysława IV, dała mu tytuł, a ciężar panowania dźwigała silną ręką.

Imię jej musi łączyć historia z najpamiętniejszymi wypadkami nieszczęśliwych lat panowania Jana Kazimierza, i nie jedno wspomnienie poświęcić. Zamierzwszy w obszernym zarysie opisać życie tej królowej, podajemy tu z téj pracy mały wyjątek.

Maryja Ludwika córka Karola I Gonzagi księcia Mańtuańskiego, urodziła się w mieście Newers 1611 roku, a wychowanie odebrała na dworze francuzkim. Bogata cudną pięknnością, ujmującym wdziękiem, zamężna posagiem, w piérwszych lat wiosnie, ujrzała w około siebie rój wielbicieli. Z tych, pozyskał wzajemność brat króla Ludwika XIII, książę Orleański, a miłość jego pochlebiała młodej księżniczce. Związek ten nie podobał się królowej matce, dumnej i gwałtownej Maryi z domu Medyceuszów, która na rozerwanie onego natychmiast użyła surowych i ostrych środków. Dworzanie, uniesieni litością nad przesładowanymi kochankami, ułatwiali im, i nastęrczali różne

sposoby widywania się już to na przechadzkach, już na polowaniach, bądź też w kościele. Nieuszło to bacznęj uwagi królowej matki, rozkazała więc Księżciu Orleańskiemu w imieniu króla, ażeby wszelkich stosunków zaniechał z księżniczką Mańtuańską. Pierwszy raz w życiu książe ten niedołążny, pokazał stałość umysłu, nie dbał na zakazy matki, i postanowił, za pomocą księżny de Longueville, przy której mieszkała Maryja, wyjechać skrycie z Paryża i w najbliższym z licznych miast swoich, ślub wziąć z kochanką. Czujna królowa matka oburzona tą zuchwałością syna, wydała rozkaz uwięzienia Maryi wraz z księżną de Longueville. — Dnia 28 Marca 1629, wychodząc księżniczka Mańtuańska ze swego mieszkania, przez liczną straż otoczoną, zaprowadzoną została do wieży warownego zamku Vincennes.

W okopiałej bez żadnych sprzętów izbie, bez łóżka, ognia i żywności, osadzona za żelaznemi kratami, a okno wązkie z zbrudzonemi szybami słaby promyk dnia zaledwie przepuszczały, oderwana od swych przyjaciół i służących, a co najboleśniej od swego kochanka, uczuła od razu całą okropność swego położenia. Księżna de Longueville nie lepszego doznawała losu. Pięć tygodni strawiła młoda osiemnasto letnia Maryja, w tém osamotnieniu, w tej męczarni: daremnie z dnia na dzień karmiła ją nadzieja; za każdym oszukany m oczekiwaniem rozpacz jęj się powiększała, i lzy rzewnej krasa świeżości zbladła, blask spójrzenia przygasł. Do-

szła do wiadomości Ludwika XIII tak sroga kara księżniczki: nie pochwalił srogięgo postępowania, i rozkazał wypuścić z więzienia. Opuściła Maryja dnia 4 Maja smutną wieżę, w której tyle cierpień doznała, tyle łez spłakała. Zaledwie odetchnęła świeżym powietrzem, zaledwie wróciła do swego mieszkania, sroższy ją cios dotknął. Książę Orleański, ów kochanek, dla którego miłości tyle wycierpiała, okazał się niewiernym, i do innej piękności poniósł swoje hołdy. Piękna Maryja, nie robiła mu wyrzutów: ale odtąd wzgarda i nienawiść zajęły miejsce silnej bo pierwszej miłości księżniczki.

Po śmierci ojca księcia Mantuańskiego i księżny de Longueville prawdziwej swęj opiekunki i przyjaciółki, Maryja osiadła w Nevers, a po kilku latach wróciła do Paryża.

W owym czasie zajaśniał na dworze Ludwika XIII młody, bladego lica, twarzy smętnęj, oczu czarnych a pełnych ognia i życia, pięknego wzrostu Henryk d'Estiat Markiz de Cinq-Mars, Wielki koniuszy. Prędko wznosił się na dworze tego króla w łaskach, zyskał względy nawet kardynała de Richelieu, tak głośniego w dziejach Francyi przewagą swoją nad Ludwikiem XIII. Cinq-Mars dostąpił wkrótce godności Wielkiego koniuszego: ujrawszy w pełnym wdzięku Maryja, jakkolwiek małego wzrostu, ale nader kształtnej postaci, a przy silnie czarnych włosach i oczu, dziwnęj białości lica, eo jęj wdzięk podnosiło: niemógl być obojętnym, i z całym

uczuciem młodego serca ukochał. Maryja licząca prawie wówczas lat dwadzieścia ośm życia, długo była nieczułą na zabiegi najdorodniejszego, i najprzyjemniejszego z całego dworu króla, Wielkiego koniuszego. Z początku duma jej jako księżniczki wstrzymywała i odpychała od człowieka niższego rodem: ale później zwyciężona jego wytrwałością, jego miłością, została najwzajemniejszą: a wkrótce ciche szepty, przemieniły się w rozgłos że zbyt z nim ściśle stosunki miała.

Cinq-Mars uszczęśliwiony miłością Maryi, powziął zuchwałą myśl strącenia z wysokości Armanda Duplessis kardynała de Richelieu, aby władze mu wydarł, i sam panował pod imieniem niedołęznego Ludwika XIII. Wciągnął do tego planu książąt krwi królewskiej, zrobił umowy z dworem hiszpańskim: a chwila jedna, miała wielką zmianę zaprowadzić.

Tymczasem Richelieu, starzec z głosem chrypliwym, zaledwie rzadką siwizną okryty, więcej ołysiały, przy tych oczu dużych, i łagodnym spojrzeniu, twarzy bladej i szczupłej, ustach małych ledwie znacznych, zdawał się w uspieniu. Tylko czoło szerokie, i mała biała spiczasta broda, nadawały całemu obliczowi wyraz głębokiej myśli i przenikliwości. Ten starzec na pozór już uchwycił nić całego związku, i przygotował pysze Cinq-Marsa upadek krwawy. W jednej chwili rozkazał uwięzić i Wielkiego koniuszego i znakomitszych jego współników. Pierwsza Maryja dowiedziała się natychmiast o uwięzieniu kochanka: rozpacz ją ogarnęła, ale

dodała zarazem odwagi. Wielki koniuszy miał znaczną liczbę jej listów: tajemnice w nich musiały być nie małej wagi, kiedy użyła wszystkich środków do ich wydobycia. Natychmiast przywołuje swoją przyjaciółkę pannę de Rambouillet, zwierza się jej we wszystkim i zaklina, aby starała się za pośrednictwem pani d'Aiguillon o zwrócenie tych listów. Trwoga i rozpacz Maryi nie miały granic. Biegnie sama w nocy do pałacu Rambouillet, a ztamtąd do Palais Royal, dla widzenia się osobiście z panią d'Aiguillon, która tam się schroniła z powodu puszczonej pogłoski, jakoby kardynał zamierzył ją porwać. Przerażoną Maryję przyjęła uprzejmie, obiecała swą pomoc. Ujęty przez nią intendent Russillańskiego wojska Des Yvetteaux, otworzył szkatuły Cinq-Marsa dla wyszukania listów Maryi. Obecny temu kamerdyner Wielkiego koniuszego, rzekł mu żartobliwie: „Znajdziesz tam pan czego nie szukasz ani spodziewasz się znaleźć.” Jakoż usłużny dla Maryi intendent pomiędzy listami, znalazł i listy miłosne swojej ukochanej małżonki.

Jak była przerażająca boleść księżniczki, tak równa choć chwilowa nastąpiła radość, gdy odebrała te listy, o które się z taką dobijała rozpaczą.

Cinq-Marsa opuścili w nieszczęściu wszyscy: wszyscy zadrżeli przed silną wolą i władzą Richeliego, sam król się ukorzył i opuścił ulubieńca swego. Cóż mogła biedna i nieszczęśliwa Maryja: drugi raz, a teraz może więcej dotkliwie, i szczerze, opłacała łzami swo-

ją miłość. Richelieu wyrok już wydał, Cinq-Marsa głowa spadła pod toporem kata d. 12 września 1642. Maryja nie znalazła współczucia swojej boleści, spotykały ją tylko szyderstwa i urągowiska zepsutego dworu. Uśmiech wesołości znikł z jej oblicza, żal i troski zastąpiły miejsce swobody, zgasł ogień życia w tych pięknych oczu, co się dawniej tak żarzyły uczuciem szczęścia i miłości. Dwa lata przetrwała w tój żalobie, w tём smutnym opuszczeniu: gdy Władysław IV król polski po zgonie Cecylii Renaty owdowiał; pomimo starań cesarza austriackiego, który mu na raz aż 16 portretów księżniczek domu Rakuzkiego do wyboru przysłał, zażądał ręki Maryi, z którą dawniej jeszcze chciał się połączyć, kiedy ta księżniczka była w samym kwiecie wieku. Władysław IV wahał się w wyborze pomiędzy córką księcia Neuburskiego wojewody Renu, arcyksiężniczką austriacką, a Maryją Ludwiką. Napisał przeto do posła swego Zawadzkiego wysłanego na zwiady czyby księżniczka Neuburska nie przyjęła wiary katolickiej, aby wstąpił do Francji i zobaczył księżniczkę Mańtuańską. Gdy przybył ze swego poselstwa Zawadzki, donosząc królowi, że księżniczka Neuburska niechce odstąpić swego wyznania, przywiózł zarażem z sobą wybornie malowany, cudownej urody obraz księżniczki Maryi, i o jej wielkim posagu zdał sprawę. Zdawał się Władysław przychylić do tego związku, ale stronnictwo dworu austriackiego przeważyło, i pojął Cecylię Renatę.

Teraz spełniał Król dawne życzenia: wspaniałe poselstwo przybyło prosić o rękę Maryi i odbyło uroczysty wjazd do Paryża 29 Października 1645 z przepychem i okazałością. — Nowa zorza zabłysła dla Maryi, której wdzięki już wielce spłówały, a ciężkie brzemie trosk burzliwych, wryło na jej licach głębokie ślady.

Opaliński Wojewoda Poznański zaślubił ją w imieniu swego Króla. Po uroczystym obchodzie, na wyjeździe z odwiedzinami pożegnalnymi, przybyła już jako królowa polska i do ksiączęcia Orleańskiego pierwszego swego kochanka, którego miłość opłaciła więzieniem. Książę i żona jego obojętnie przyjęli ją w gościnie, bo zazdrościli świetnego losu Maryi. Książę w żarcie wspominał jej o dawniejszych zamiarach, i dawnej miłości.

— Mój Książę (odrzekła mu bez namysłu) było to zrządzeniem nieba żeśmy się niepobrali, bo ja urodziłam się na Królowę, a ksiączęcia przeznaczeniem jest, że musisz zawsze pozostać *Monsieur*.” (*)

Wjazd jej od granic polski, był raczej tryumfalnym obchodem. Cały zbytek i przepych, rozwinęli magnaci, szlachta, i mieszczenie, w przyjęciu swojej królowej, i żadna za prawdę niedoznała podobnego uczczenia. Zarozumiali francuzi przyznali, że nie francyja podobnego przedstawić nie może, gdy wzrok ich olśniał

(*) Bracia królewscy i stryjowie mieli tytuł *Monsieurs* (de France).

od tego ogromu przepychu, który na całej drodze po miastach, pałacach, i zamkach, spotykali.

Przybyła wreszcie do Warszawy: zchorzały Władysław IV i zmęczony podagrą, zaszły w lata, ociężały otyłością, czekał przybycia królowej, siedząc w krześle w katedralnym kościele Ś. Jana. Po powitaniu Jerzego Ossolińskiego kanclerza w. koronnego przystąpiła do króla małżonka swego, a przyklękawszy na jedno kolano pocałowała go w rękę. Władysław zimno przyjął ten pierwszy dowód jej przychylności, poważnie spoglądał na nią, a nieznalazszy w niej tak przechwalonych wdzięków, obróciwszy się do posła francuzkiego de Bregi wyrzekł:

— Taż to jest ta osobliwa piękność o której tyle powiadaliście mi cudów?

Zpostrzegłszy tę oziębłość królowa, zmieszła się wielce: a dosłyszany zarzut jej wdziękom tak oburzył, że nad wieczorem wyrzekła z płaczem do Pani de Guebriant która ją przywiozła do polski. „Lepiej podobno byłoby napowrót wrócić do francyj.” Zapomniała, że tyle przebywszy smutnych kolei życia, trudno utrzymać wdzięki na licach z których młodość bez powrotu uleciała. — Teschniła do Francyi, bo tam zostawiła tyle drogich sercu wspomnień.

Z powrotem do zdrowia Władysława IV, zmniejszała się jego obojętność, wszakże to było więcej pozornie, bo nie znalazłszy w niej ani wdzięków prze-

chwalanych, ani łagodności i uległego charakteru pierwszej swojej małżonki Cecylii Renaty, unikał, i niecierpiał Maryi Ludwiki.

Królowa z drugiej strony, zrozumiawszy swoje stanowisko, męskiego charakteru, czynna, chciwa rządów i intryg, do których na dworze francuzkim nawykła, cierpiała wielce, mniej dbając o miłość króla, że nie dał się jej mieszać do rządów, i raz nawet w uniesieniu za daleko posunioném do garnków i kuchni odesłał. Te domowe niezgody powiększyły się, gdy schorzał monarcha całą swoją nadzieję i narodu pokładaną w małym swym Zygmuncie z Cecylii Renaty, po śmierci tego dziecięcia utracił, a cierpienia jego podagryczne coraz się z wiekiem pomnażały. — Maryja Ludwika miała w tem pożyciu, tak gorzkie chwile, że każda inna księżniczka porzuciłaby nieznośne związki. — Zahartowana przecież w szkole doświadczenia, w pochlebnych dla siebie widokach blizkiej przyszłości, uzbroiła się nadzwyczajną cierpliwością, i dla ujęcia sobie narodu, po nastąpić mającym wkrótce bezkrólewiu, gromadziła mniej nawet godziwym sposobem skarby, które po śmierci Władysława IV rozrzucała pomiędzy magnatów największy wpływ w kraju mających, aby włożyć na skronie Jana Kazimierza koronę, któremu rękę oddała.

Dopięła zamiarów, dla których tak długo z takim poświęceniem cierpiała niesmak domowego pożycia:

uwieńczyła koroną Jana Kazimierza, a sama pochwyciła silnie do rąk wodze rządu.

Odtąd dzieje nasze, dla jej imienia, nie jedną kartę poświęcić muszą.



SPIS PRZEDMIOTÓW
PODŁUG IMION AUTORÓW.

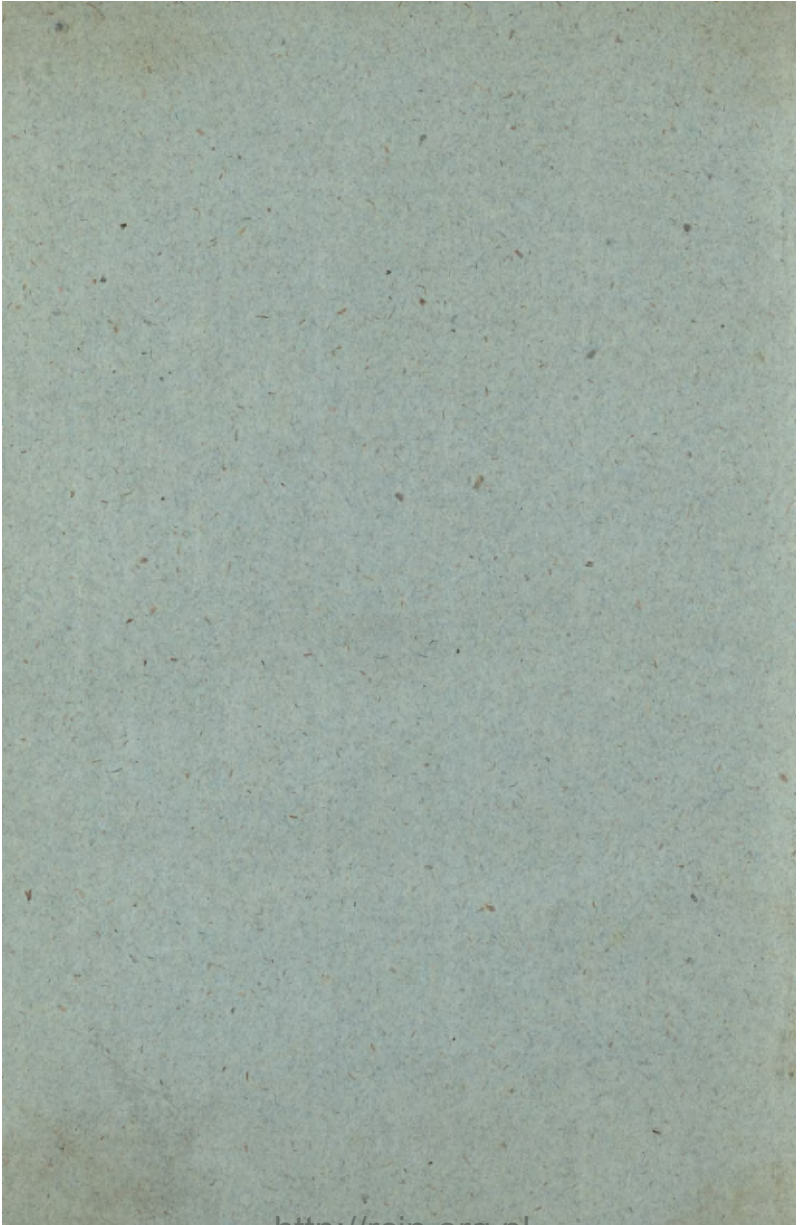
	. str.
<i>Anonim.</i> — On i Oni. Powiastka	139.
<i>Baliński Michał.</i> — Nieśwież do czasów Rsięcia Karola Radziwiłła zwanego <i>Panie-Rochanku</i>	283.
<i>Gunther Gabryella.</i> — Muzyka	64.
<i>Gawarecki Wincenty Hipolit.</i> — Olsztyn, wspomnienie historyczne	79.
<i>Głuski Marcelli.</i> — Bukiet kwiatów	334.
<i>Gajda K.</i> — Sierota	75.
<i>H. J.</i> — Poranek	1.
— — — — — Źródło	282.
<i>Rosiński Ad: Am:</i> — Popas w Alta-Wieda, opowiadanie starego Żołnierza	3.
<i>Kraszewski J. J.</i> — Paliwoda i Zawalidroga wyjątki z gapiografii powszechnej	67.
— — — — — Rotmistrz Jakubowski legenda z her- barza	243.

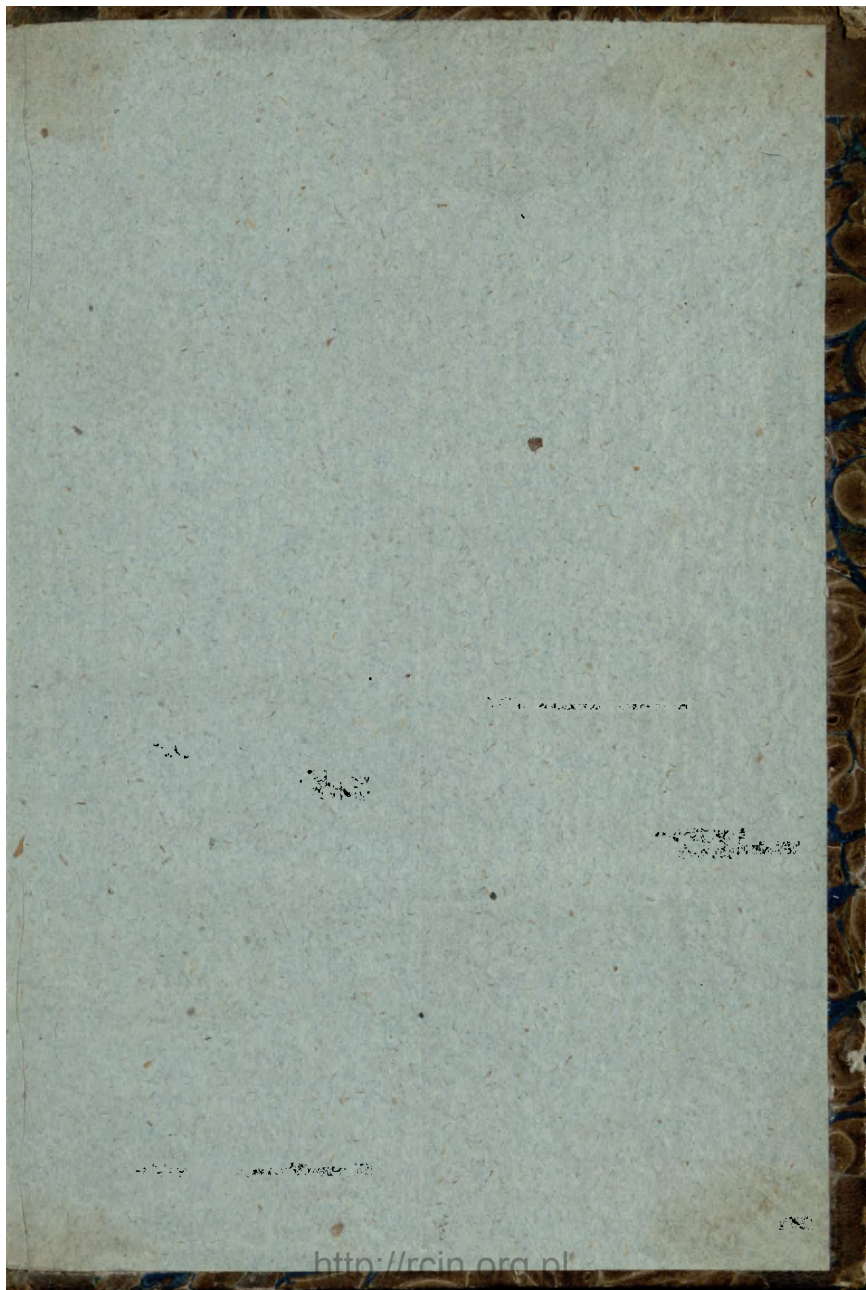
	<i>str.</i>
<i>Korsak Julian.</i> — Prometeusz, przekład z L. Byrona . .	94.
<i>Lenartowicz Teofil.</i> — Kindżał, z Rossyjskiego z Ler-	
montowa	78.
— — Gopło	240.
<i>Morzkowski Michał.</i> — Nad Morzem	136.
<i>Smokowski Wincenty.</i> — Alexander Orłowski	97.
<i>Wójcicki Kazimierz Wład.</i> — Marya Ludwika Gonzaga.	336.

RYCINY.

Władysław IV Król Polski.
 Maryja Ludwika Królowa Polska.
 Wieża w Kruszwicy nad Gopłem.



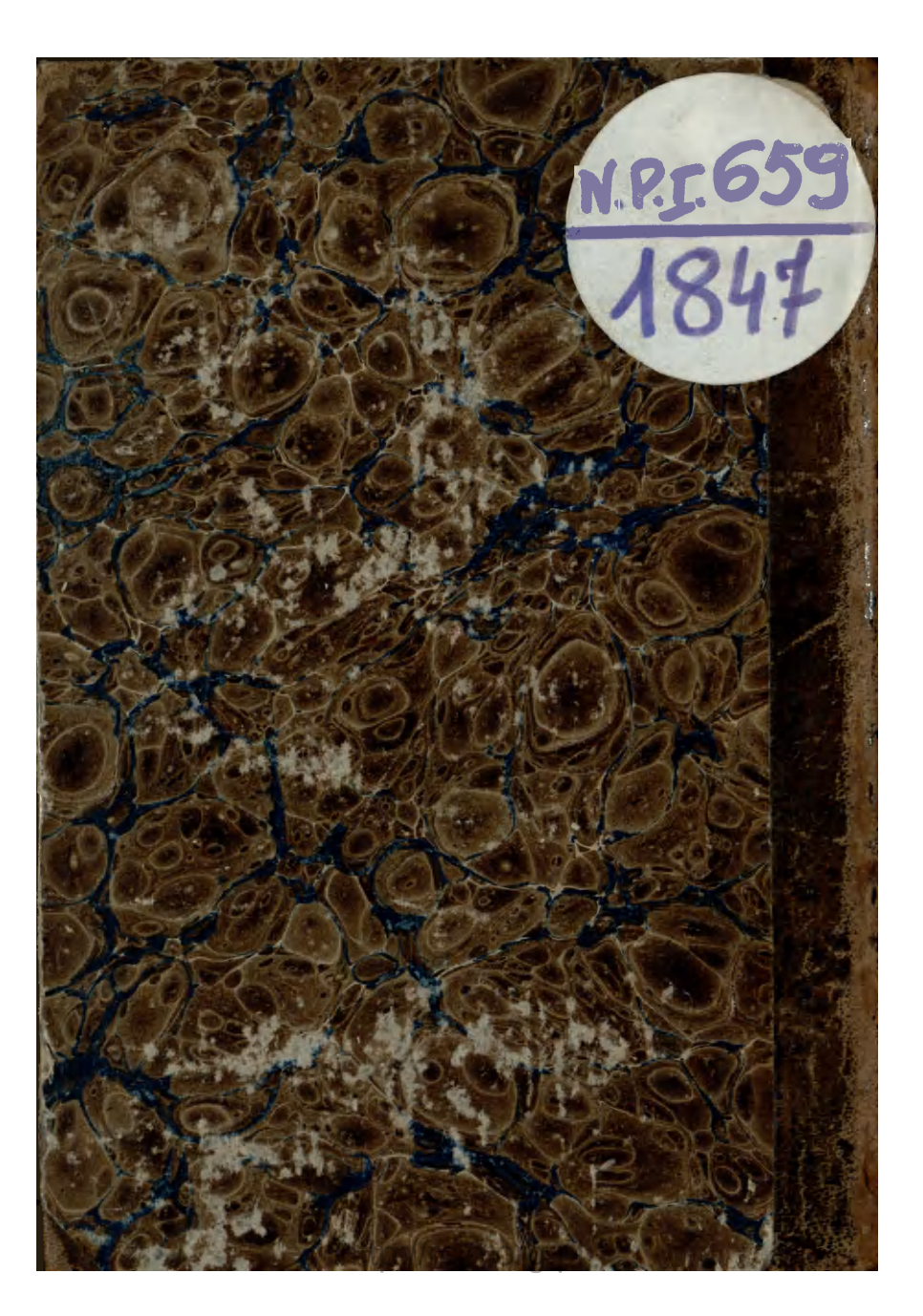




THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

1910

The image shows the front cover of an old book. The cover is decorated with a marbled paper pattern featuring brown, tan, and cream-colored swirls, with thin, irregular veins of blue ink. The right edge of the cover is bound in dark brown leather. A circular white paper label is affixed to the upper right corner of the marbled area. The label contains handwritten text in blue ink, divided by a horizontal line. Above the line, the text reads 'N.P.I. 659'. Below the line, the text reads '1847'.

N.P.I. 659

1847